

MALWINA FERENZ

*Anioły
do wynajęcia*

FILIA

MALWINA FERENZ

*Anioly
do wynajęcia*

FILIA

Mojemu mężowi i trzem córkom –
sensowi mojego życia

*szukam świata
w którym jedna jaskółka
czyni wiosnę
gdzie szewc
chodzi w butach
gdzie jak cię widzą
to dzień dobry
szukam świata
w którym
człowiek człowiekowi
człowiekiem*

Jarosław Borszewicz

*** (Szukam świata...)

Prolog

Elektroniczny zegarek stojący na biurku przy komputerze pokazał drugą w nocy, dając tym samym do zrozumienia, że już sam fakt, że ktoś to wskazanie dostrzegł, należy uznać za wysoce niestosowny. Druga w nocy to pora, kiedy zegarki mogą informować świat do upojenia. Mogą wręcz wydzierać się analogowo – za pomocą drewnianej kukułki wydającej z siebie odgłos paszczowy, który nawet po pijaku trudno pomylić z kukaniem – lub cyfrowo, wyrzucając w przestrzeń partie fotonów z nastaniem każdej kolejnej sekundy. Jeśli ktoś się temu przygląda, zamiast spać, czynią to z fochem i bywają nieco skrępowane.

Zegarek na biurku Eleny nie bardzo wiedział, jak się zachować, ponieważ jego właścicielka po zerknięciu nań nie poświęciła mu potem ani sekundy uwagi. Wpatrywała się natomiast intensywnie w ekran komputera, kręciła z niedowierzaniem głową, a na jej ustach zagościł uśmiech, z początku skąpy, potem coraz szerszy, aż w końcu Elena zakręciła się na obrotowym krześle i głośno roześmiała.

Patrzyła na stan swojego konta bankowego.

Tak, tak, ze wszystkich szalonych decyzji życiowych, jakie

podejmowała, ta pobiła wszelkie rekordy wariactwa. To było jak skok w przepaść z zamkniętymi oczami i pytaniem zadany już w locie: „Przepraszam, czy tam jest woda?”. Owszem, Elena nigdy nie miała problemu z opuszczaniem strefy komfortu, wprost przeciwnie – jak mogło pokazać jej dotychczasowe życie – na sam widok majaczącej gdzieś na horyzoncie wyspy stabilizacji kierowała swój statek w zupełnie innym kierunku, ale tym razem to naprawdę przesadziła. Pomyślała sobie jednak o wszystkim, co się wydarzyło na przestrzeni tych kilku ostatnich miesięcy, aż do... – właściwie który dzisiaj? Ach, tak, już 15 maja 2018 roku – no więc od połowy września aż do maja i stwierdziła, że gdyby miała decydować raz jeszcze, zrobiłaby to samo. Nigdy w życiu nie przypuszczała, że rzeczywistość może jej zafundować (zupełnie gratis!) tyle gwałtownych zwrotów akcji, tyle niespodzianek, tyle emocji, że egzystencja przypominała poranne wsiadanie do rollercoastera i wysiadkę dopiero wieczorem, kiedy już człowiek kompletnie nie przypominał siebie samego.

Och, oczywiście, że wszystko sobie zaplanowała. Przemyślała każdy krok, po czym i tak zdecydowała się skoczyć w ciemno. Życie jak to życie, roześmiało się w głos, po czym zakpiło z niej, każąc jej grać rolę, której wcześniej kompletnie nie przećwiczyła, do scenariusza, który samo napisało. Bo tak. Tak to już jest. Życie to premiera bez próby generalnej i na dodatek bez przewidzianych powtórek. A jednak... Kiedy pomyśli o tych wszystkich emocjach, o tych ludziach, których poznała, to czy można było postąpić inaczej? Pewnie tak, ale cóż. Wszystko można, ale nie wszystko warto. Elena teraz widzi, że innej drogi nie byłoby warto wybierać.

Usłyszała kroki z tyłu za sobą, a potem ktoś położył jej ręce na ramionach, pochylił się i złożył na jej szyi długi pocałunek. Odwróciła się i uśmiechnęła.

– Romeczku, zostawiłeś mi ślad po szmince. Mówiłam, żebyś nie brał tej w kolorze strażackiej czerwieni, trudno zmyć ślady.

– Daj spokój, zaraz i tak idę do łazienki. W końcu kiedyś trzeba – odpowiedział mężczyzna przyjemnym barytonem. – Po prostu nagle poczułem ochotę na twoją szyję. Jakbym miał jakieś przyzwoite kły, to wpiłbym się w ciebie bez litości.

Elena przyciągnęła go do siebie, chwytając ręką za dekolt bufiastej sukienki w odcieniu słodkiego rózu i namiętnie pocałowała w usta. Odchyliła się i ze śmiechem starła z warg czerwoną szminkę. Romeczek odruchowym gestem poprawił biust, po czym zatrzepotał długimi rzęsami, co w jego zamyśle miało wyglądać uwodzicielsko. Sztuczne rzęsy z lewej powieki odkleiły się i z wdziękiem sfrunęły na ziemię. Podniósł je i bardzo niekobieco podrapał się po łydkach skrytych pod różowymi rajstopami.

– Ładnie ci w tym kolorze – powiedziała Elena, przyglądając mu się i nie przestając uśmiechać.

– Wiem – przyznał mężczyzna. – W końcu jestem blondynem z jasną cerą. Jestem wręcz stworzony do rózu.

Ziewnął głośno i szeroko. Mózg najwidoczniej wcisnął czerwony przycisk, informując, że jedzie na rezerwie i za moment po prostu się wyłączy.

– Zmęczony?

– O matko, jeszcze jak! Wykończony! Tyle się dziś wydarzyło!

– To połóżmy się, Romeczku.

– Tak, tak, położymy się, tylko wcześniej chyba musisz się o czymś dowiedzieć.

– O tak.

– Wiesz, o co chodzi? – Romeczek zamrugnął zdumiony.

– Domyślam się. Ale ty też musisz o czymś wiedzieć.

– Oho! No to mamy ukrytą prawdę.

Elena westchnęła i ostatni raz zerknęła na stan konta. Tak, muszą w końcu porozmawiać. Chyba nie można tego dłużej odkładać. Gdyby ktoś kilka miesięcy temu powiedział jej, że tak właśnie się to wszystko potoczy, powaliłaby go śmiechem. Kilka miesięcy temu sprawy rysowały się zupełnie inaczej...

POCZĄTEK

1.

Elena westchnęła. Niedziela handlowa w galerii to taki czas, kiedy człowiek wie, że przychodzi do pracy bez sensu. Zwłaszcza jeśli się pracuje w butiku roszcującym sobie pretensje do miana luksusowego. Skądinąd słuszne. Był to jeden z takich sklepów, w których ceny zaczynały się daleko dalej po tym, jak możliwości Eleny się kończyły. Nigdy nie przestała się dziwić, że zawsze znajdzie się ktoś chętny zapłacić piętnaście razy więcej za coś tylko dlatego że to coś ma określony napis na metce. Albo nie tylko na metce, najlepiej po prostu na froncie lub gdziekolwiek, bo przecież istniało uzasadnione ryzyko, że ktoś inny metki zwyczajnie nie zauważy i nie zacznie w związku z tym szanować właściciela odzieży bardziej niż innych ludzi. Może więc cała tajemnica tkwiła w tym, że nie kupowano drogiej szmatki, tylko dostęp do społecznej łoży VIP. Przynajmniej tak to widziała. Tak czy inaczej za dostęp trzeba było słono zapłacić.

Większość, ba, nawet ogromna większość klientek kręcących się po butiku nie miała odpowiedniej ilości pieniędzy, by wystarczyło im na klucz otwierający bramy raj, ale przecież zawsze można było ciuch po prostu przymierzyć. W niedzielę taką jak ta całe

pielgrzymki przemierzały przestrzeń sklepu na trasie od wieszaków do przymierzalni, gdzie po wciągnięciu na siebie tego i owego następowała sesja fotograficzna. Właściwie autosesja. Wystarczyło zrobić obowiązkowy dziubek, pstryk, pstryk, potem wrzucić foteczkę w ocean mediów społecznościowych i już człowiek mógł poczuć się lepiej, czyli jak nie on sam. Po zakończeniu sesji wskakiwano we własne ciuszki i spokojnie udawano się w rejony sklepu samoobsługowego po jakieś świeczki zapachowe i podróbkę Crocsów za piętnaście złotych, słowem, po to, co jest tak niezbędne w niedzielę i bez czego absolutnie nie można się obejść do poniedziałku.

Elena nie miała nic przeciwko mierzeniu ubrań, sęk w tym, że część była zwyczajnie niszczone. Tu ślad szminki, tu smugi po pudrze, tam pozostałości antyperspirantu, naderwany zamek błyskawiczny (Co?! Ja w to nie wejdę? Ja nie wejdę? Ja?! Zobaczycie! Ojej...) i tego typu sprawy. Zabrała z wieszaka przy przymierzalniach kolejną partię ciuchów, przyjrzała się im krytycznie i zajęła się tym, co głównie robiła w niedzielę – odwieszaniem rzeczy na przynależne im miejsca.

Och, to nie jest tak, że praca w ekskluzywnym butikiu nie miała swoich zalet. Jedną z nich była regularnie wypłacana pensja. Niewysoka, bo przecież mówimy o stanowisku zwykłego sprzedawcy (myśląc „zwykły”, Elena westchnęła ponownie), ale stała i regularnie pojawiająca się na koncie. To było ważne. Ze względu na Romeczka. Drugą zaletą była możliwość przemyślenia sobie wszystkiego jeszcze raz od początku. Co też było ważne. I też ze względu na Romeczka. Ciekawe, że każde z tych przemyśleń, które odbywało się gdzieś między wieszakami z bielizną a rzędem supermodnych bluzeczek w jakieś farfocle, niezależnie od tego, jak długo by trwało, zawsze prowadziło do tego samego wniosku.

Mianowicie, że tak już dłużej nie można.

We wrześniu 2017 roku minęło pięć lat (mój Boże, jak to zleciało!), odkąd Elena Wołodymerewna Rusłan przyjechała ze Lwowa do Wrocławia przyniesiona tu na skrzydłach miłości, które dodatkowo napędzał silnik wielkich nadziei. Obecnie wszystko wskazywało na to, że były to nadzieje tak wielkie, jak niespełnione. Albo przynajmniej szansa na ich spełnienie leżała gdzieś pod murem

i dogorywała po cichutku, wychłostana batem bezwzględnej rzeczywistości. Och, życie jej i Romeczka dokądś wytrwale zmierzało, tylko niekoniecznie był to kierunek, w którym Elena chciała się poruszać.

Zmierzało bowiem rączym kłusem ku bardzo wielkiej przepaści.

Słabo się orientowała w historii Polski, zwłaszcza tej współczesnej, nie mówiąc już o sytuacji politycznej, nie mogła więc znać słynnych bon motów słynnego polskiego noblisty. Gdyby je знаła, dokonałaby ich parafrazy, mówiąc, że nie o takiej Polsce marzyła. A nie marzyłaby wcale, gdyby właśnie nie Romeczek.

Pięć lat temu trzydziestoletni wówczas Roman Słowacki (nazwisko zobowiązuje!) pojawił się w jej życiu nagle i nieoczekiwanie, wyskakując jak filip z konopi, a ściślej rzecz ujmując, nie wyskakując, a wskakując i nie w konopie, a do restauracji. Roman poczuł przemożną potrzebę wskoczenia do jednego z lokali, które były tak licznie rozmieszczone w obrębie lwowskiej starówki i oferowały turystom (głównie Polakom) specjały kuchni lwowskiej oraz ukraińskiej. Zrządzeniem losu trafił tam, gdzie akurat pracowała dwa lata od niego młodsza Elena Rusłan. Oczywiście nie miał pojęcia, jaka jest między nimi różnica wieku. Nie miał nawet pojęcia o jej istnieniu aż do momentu, kiedy stanęła przy jego stoliku uzbrojona w notesik oraz długopis i zapytała aksamitnym altem, co podać. Roman podniósł wówczas wzrok znad przewodnika turystycznego i najpierw zatrzymał go na wysokości bioder Eleny skrytych pod czarną, ołówkową spódnicą, częściowo osłoniętą przez biały, przewiązany w pasie fartuszek. Przesunął spojrzenie wyżej i zatrzymał je na drobnym, acz najwidoczniej jędrnym biuście, czego można było się domyślać za sprawą rozpięcia u nieskazitelnie białej koszuli, rozpięcia – dodajmy – sięgającego o jeden guzik za daleko. W końcu oczy Romana powędrowały wyżej i spotkały się ze spojrzeniem błękitnych oczu drobnej, delikatnej blondynki, której długie włosy związane były w koński ogon i która niezwykle wdzięcznym ruchem odgarnęła za ucho niesforny kosmyk włosów. Speszyła się nieco, zauważywszy, że Roman świdruje ją wzrokiem tak intensywnie, że zawstydziłby tym niejednen aparat rentgenowski. Na jej policzki

wystąpił delikatny rumieniec, a potem usta o pełnych, przecudnie zakrojonych wargach powtórzyły pytanie.

Roman spojrzął jeszcze raz i przepadł.

Mówi się, że nie ma czegoś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia i nawet jeśli to prawda, Roman i Elena byli wyjątkiem od tej reguły. Elena spoglądała na młodego mężczyznę siedzącego przy stoliku i choć ten już jakiś czas temu złożył zamówienie (co okazało się czynnością nad wyraz trudną, bo przez dobrą minutę nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa), nie odchodziła od stolika. Patrzyła na jego jasne, lekko kręcone włosy, kompletnie nieposłuszne staraniom mężczyzny, by nie opadały mu na czoło, przesuwając wzrokiem po cienkich, drucianych oprawkach okularów i zachwyciła się ciepłym, niskim głosem, zupełnie niepasującym do tego drobnego mężczyzny. Zza okularów przemawiały do niej bez słów oczy tak samo niebieskie jak u niej i tak samo okolone wianuszkami długich rzęs (z tą różnicą, że ona swoje dodatkowo pomalowała).

Gość był Polakiem i odezwał się zresztą w swoim ojczystym języku, co nie stanowiło we Lwowie żadnego problemu, przynajmniej w restauracjach. Elena ogarnęła się wreszcie, jeszcze raz upewniła, czy na pewno niesamowity klient chce zamówić to, co zamówił, a kiedy potwierdził, odeszła, kompletnie nie zdając sobie sprawy z tego, na jakiej jest planecie. Krzątając się po sali i wykonując swoje obowiązki, zerknęła na niego raz po raz i za każdym razem spotykała się z jego spojrzeniem, bo on również spoglądał w jej kierunku i jakoś tak w tych samych momentach. No, czyż nie można było tego nazwać przeznaczeniem?

Pobiegła do kuchni, przekazując polecenie, by zamówienie dla tego, o, blondyna przy drzwiach potraktować priorytetowo i starannie unikając odpowiedzi na pytanie, jaki jest tej priorytetowości powód. Kucharze wzruszyli ramionami i wywiązali się z zadania, a Elena w naprawdę ekspresowym tempie postawiła przed mężczyzną parującą potrawę. On podziękował i zabrał się do jedzenia, a dziewczyna krążyła wokół niego jak rekin, już to udając, że coś robi, już to faktycznie zajmując się swoimi obowiązkami.

Przyszła w końcu (ach, jakże przez nią niechciana!) pora

zapłacenia rachunku. Blondyn uścił należność, zostawił napiwek, ale nie wychodził.

– Czy mogę zadać pani pytanie? – wydusił w końcu z siebie, a ją przeszedł dreszcz.

– Jeśli tylko umiem odpowiedzieć.

– Na pewno pani umie – uśmiechnął się. – Mam tutaj przewodnik – wskazał na książkę – ale jest raczej słaby. To, co było w nim polecone, już zobaczyłem. Potrzebuję czegoś innego. Czy zna pani jakieś miejsca we Lwowie, które warto zobaczyć, a które nie są takie, no, oczywiste?

Elena odetchnęła z ulgą. W tych rejonach polszczyzny była otrzaskana, nie miała najmniejszych problemów ze zrozumieniem tajemniczego mężczyzny w (uroczych? tak, uroczych!) okularach. Przysiadła się do jego stolika, nachyliła ku niemu, a on miał okazję poczuć jej perfumy i zapach ten z miejsca zawładnął nim tak samo jak jej spojrzenie.

– Mogę zobaczyć? – sięgnęła po przewodnik, który on ku niej skwapliwie podsunął.

Rzeczywiście turystyczna sztampa. Elena z radością poinformowała gościa o kilku miejscach, w które warto zajrzeć i które być może nie są uznawane za wybitne atrakcje, ale mają swój niepowtarzalny klimat.

Na wieść o klimacie blondyn wyraźnie się zapalił i poinformował, że właśnie specyficzny, może nieco tajemniczy klimat jest tym, o co mu chodzi, bo on jest, tak skromnie zaznaczy, pisarzem i poetą, a przyjechał tutaj szukać natchnienia do powstającego właśnie kolejnego tomiku wierszy. Elena rozszerzyła oczy ze zdumienia i poczyniła głębszy wdech, przez co jej jędrny biust uniósł się nieco, co z kolei nie uszło uwagi gościa. Poeta! Pisarz! Jeszcze nigdy nie spotkała prawdziwego pisarza! Co za niesamowity zbieg okoliczności! Polszczyzną przeplatana z ukraińskim zapytała, czy może jej coś więcej powiedzieć o swojej twórczości, a on na to, że bardzo chętnie, tylko czy ona ma teraz czas (i tu potoczył wzrokiem po sali). Ona spojrzała na zegarek i stwierdziła, że naprawdę świetnie się składa, bo ona właśnie kończy swoją zmianę, więc

niech on da jej dziesięć minut i porozmawiają. On na to, że bardzo chętnie zaczeka i oczywiście porozmawiają, ale jeszcze lepiej by się stało, gdyby ona go po tych wskazanych przez siebie miejscach osobiście oprowadziła. Jeśli może, oczywiście. Oczywiście, ona może, och, jak ona bardzo może! Jeszcze jak może! Ona bardzo chętnie to zrobi, niech on więc zaczeka, a ona wskoczy w inne łaszki, nie takie służbowe, i już z nim idzie.

Wyjątkowo ciepły początek września 2012 roku sprzyjał zwiedzaniu i Elena oprowadziła Romana po rozmaitych lwowskich zakamarkach, co zajęło im czas do późnego wieczora. Podczas tych kilku godzin obojgu serca waliły jak szalone, w głowie się kręciło, wybuchali śmiechem bez powodu i najczęściej w tych samych momentach, a bariera językowa wydawała się kompletnie nie istnieć. Cóż, język miłości jest ponadnarodowy jak esperanto, jednak w przeciwieństwie do tego drugiego posługuje się nim znacznie więcej osób. Na szczęście. Słowom wypowiedzianym i wszystkim, które zawisły w powietrzu i zasygnalizowały swoją obecność wyraźniej, niż gdyby je ubrać w dźwięki, towarzyszyły spojrzenia i niby przypadkowe, a potem już zupełnie celowe muśnięcia dłoni. Muśnięcia dłoni płynnie przeszły w muśnięcia ust i stało się całkiem jasne, że nie można tak po prostu tego spotkania zakończyć i musi nastąpić ciąg dalszy, bo w przeciwnym wypadku dojdzie do jakiejś katastrofy na skalę kosmiczną i masowego wymierania gatunków. Oboje postanowili nie sprzeciwiać się prawom fizyki. Wszak bywa to niebezpieczne.

Finał wędrowki krajoznawczo-turystycznej nastąpił więc w pokoju hostelu, który Roman wynajmował, i finał ten obfitował zarówno w emocje, jak i w wiedzę. Elena dowiedziała się (kiedy Roman niecierpliwie rozpinał, a wręcz rozszarpywał guziki w jej koszuli), że jej świeżo poznany kochanek stoi u progu międzynarodowej kariery, a jego twórczość cieszy się niesamowitym uznaniem (taki młody, a taki zdolny, myślała, kiedy on nader sprawnie poradził sobie z jej stanikiem) i już naprawdę niewiele brakuje, by ostatecznie stanął w blasku sławy (co przekazał, kiedy jednym szarpnięciem ściągnął z niej majtki). I kiedy błędnymi zachłannymi rękami po jej ciele, zaprowadzając ją tym samym na skraj szaleństwa, zapytał, czy ona chciałaby go wspierać w jego karierze

samym byciem przy nim, bo choć sam nie może w to uwierzyć, wystarczyło kilka godzin, by zakochał się w niej bez pamięci. A ona pomyślała, że niczego innego nie pragnie, bo – choć dla niej również to brzmi jak bajka – czuje, że on jest tym, na którego czekała całe swoje dwudziestoosmioletnie życie, i innego nie będzie, bo być po prostu nie może. Dlatego zapewniła go o swoim wsparciu, odpowiadając (co ciekawe, po polsku) zgodnie z rytmem jego ruchów: tak, tak, tak, tak, tak.

Trzy dni później rodzina Eleny padała na kolana i rwała włosy z głowy, przekonywała, błagała i zaklinała, żeby nie robić tego, co Elena właśnie robiła: żeby nie jechać do Polski z kompletnie nieznanym mężczyzną. Panna Wołodimerewna Rusłan sama się sobie dziwiła, bo choć zdarzało jej się wcześniej tworzyć związki (raczej nieudane, ale to przemilczmy), nigdy siła uczucia nie była tak potężna, by pociągnąć za sobą decyzje tak szalone. Fakt pozostaje faktem, że na początku września 2012 roku wsiadła do starego i zjechanego Forda Fiesty, zapakowała trzy pękate walizy i wyjechała. Świat wydawał się gorąco kibicować wulkanowi miłości, który właśnie z rozmachem eksplodował, bo nawet formalności urzędowe udało się załatwić w tempie wprost niesamowicie ekspresowym. Jak nigdy. Czy to uczucie tak promieniowało na innych, czy to Amor zamiast zwyczajowej strzały użył moździerza i w ten sposób zwiększył siłę rażenia, dość że urzędnicy w sposób nadprzyrodzony stanęli na rżęsach i Elena Wołodimerewna Rusłan wyposażona w niezbędną wizę siedziała obok Romana Słowackiego, zmierzając ku nowej ziemi obiecanej.

Miejscem docelowym okazał się Wrocław, ściślej osiedle Szczepin położone bardzo blisko jego centrum, a jeszcze ściślej ulica Młodych Techników. Kiedy opadł pierwszy pył po erupcji uczucia i wreszcie można było na trzeźwo rozejrzeć się wokół, Elena stwierdziła, że nie zgadza się właściwie nic poza tym uczuciem właśnie.

Szybko okazało się, że pukająca do drzwi międzynarodowa sława Romana Słowackiego (nazwisko zobowiązuje!) okazała się wytworem jego jakże bujnej wyobraźni. Romeczek w swoim czterdziestodwumetrowym, trzypokojowym mieszkaniu położonym na parterze brzydkiego, klockowatego bloku z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, tworzył, owszem, och, jak on

tworzył, tworzył na potęgę kolejne tomiki wierszy, których – cóż za rozczarowanie – nikt nie chciał wydać. Elena czytała je (zapoznając się w ten sposób z ojczystym językiem swojego ukochanego) i kobieca intuicja podpowiadała jej, że Romeczek naprawdę dysponuje talentem i to niemałym, jednak splot wydarzeń i okoliczności oraz – nie oszukujmy się – reguł rynkowych sprawia, że jak dotąd pozostaje twórcą prawie nieznanym. Prawie, bo Słowacki nie poddawał się bez walki. Kiedy kolejny tomik poezji był odrzucany przez wydawców, wypuszczał go własnym sumptem, ogoławając się w ten sposób raz po raz ze gromadzonych z trudem niewielkich oszczędności. Tomiki wierszy walające się gdzieś po półkach nielicznych księgarni, które chciały je u siebie mieć, znajdowały nabywców albo nie (częściej nie) i Romeczek odhaczał kolejne nieudane podejście do sukcesu. Przez jakiś czas wylizywał rany, a kiedy wyczuwał ponowny przypływ sił i nadziei, po raz kolejny rzucał się w wir pracy twórczej, mając głębokie przekonanie, że tym razem to już na pewno.

Oprócz poezji Roman Słowacki sprawdzał się twórczo na niwie prozy. Raz po raz siadał do powieści swojego życia, która – jakże by inaczej! – zaraz po ukazaniu się miałaby zostać zekranizowana, a producenci filmowi czekali by na kolejną pozycję jak głodny pies na parówki. Romeczek więc pisał, pisał i pisał, ale niestety, co za pech, żadna z powieści nie okazała się w jego oczach na tyle dobra, by doczekała się ukończenia. Słowackiego charakteryzował częsty wśród artystów czy też tych, którzy pretendowali do tego miana, słomiany zapach. Pary starczało mu mniej więcej do połowy, a kiedy wena twórcza się wypalała i trzeba było zapełnić pustkę po niej wytrwałą, żmudną, codzienną pracą, Romeczek składał broń, wywieszał białą flagę i stwierdzał, że to nie jego wojna.

Podczas pięciu lat mieszkania z uroczym blondynem Elena naliczyła pięć kolejnych niedokończonych powieści i kilka tomików wierszy, z których żaden nie ukazał się inaczej, jak za ich własne pieniądze. Oczywiście, gdyby Słowacki miał poprzestać jedynie na tym, wkrótce, po zjedzeniu ostatnich tapet w mieszkaniu, szczelby marnie gdzieś na działkach lub w noclegowni, dzielając tym samym los znakomitego Cypriana Norwida. Romeczkowi zależało, rzecz jasna, by znaleźć się w panteonie niezapomnianych,

niekoniecznie jednak za sprawą śmierci głodowej, pochówku w zbiorowej mogile i docenienia dopiero przez potomnych. Żył w dwudziestym pierwszym wieku, a to wymagało pewnych wysiłków przystosowawczych z jego strony.

Romeczek pisał więc dużo jako freelancer copywriter i trzeba mu to przyznać, że jeśli producent pieluch potrzebował porządnego tekstu na temat możliwości chłonnych swojego nowego produktu, zlecano zadanie w pierwszej kolejności właśnie Słowackiemu. Jak nikt potrafił uwypuklić zalety nowej tkaniny wyposażonej w mikrokanaliki zwężane z jednej strony, co znakomicie podnosiło efektywność zatrzymywania wilgoci w środku. Pisał o kremach do opalania i o kosiarkach spalinowych nowego typu, pisał o konieczności ubezpieczenia domu i o fenomenalnych telewizorach, pisał o dziesięciu nowych sytuacjach, w których nie spodziewasz się zdrady, i sześciu sposobach na zadziwienie przyjaciółek podczas letniego party. Oraz czy można osiągnąć orgazm, siedząc na pralce. Przede wszystkim jednak prowadził rubryki typu „napisz do Kasi”, gdzie z emfazą i zaangażowaniem produkował listy czytelniczek, na które zresztą sam potem odpowiadał. Jako Kasia. Był w tym naprawdę dobry.

Słowem, Romeczek Słowacki (nazwisko zobowiązuje!) był mistrzem świata w rozmienianiu się na drobne, wybitnym znawcą dziedziny chałturnictwa stosowanego, wciąż czekającym na swój wielki moment i z trudem dociągającym do pierwszego.

Razem z Eleną doskonale się uzupełniali i kiedy on błędził z głową w chmurach, ona stała mocno nogami na ziemi. Bardzo szybko zorientowała się, że nie samą miłością żyje człowiek, ale wypadałoby od czasu do czasu kupić chociażby ziemniaki, dlatego znalazła pracę w branży sprzedażowej, która jak wiadomo, zawsze potrzebuje świeżej krwi. Pracowała to tu, to tam, aż w końcu osiadła w ekskluzywnym butik w pobliskiej galerii Magnolia (do pracy chodziła na piechotę, ach ta oszczędność!), co pozwoliło na ustabilizowanie ich wspólnego, mocno rozchwianego budżetu.

Wbrew oczekiwaniom wszystkich dookoła, z rodziną Eleny na czele, ich miłość, która tak gwałtownie zapłonęła, nie tylko nie skonowała, zdeptana twardym buciosem bezwzględnych realiów życiowych i rozczarowań, ale trwała dzielnie, cementując się dzień

po dniu. Wewnętrzny ogień nadal płonął i Elena naprawdę bardzo kochała Romeczka, a Romeczek ubóstwiał swoją Elenę, tylko, cholera, kasy było wiecznie brak. Ostatnio zresztą było jej brak bardziej niż kiedykolwiek wcześniej i panna Rusłan poczuła, że to jest ten moment, kiedy wreszcie trzeba powiedzieć stop.

Odwiesiła na wieszaczek do bielizny majtki, starając się nie patrzeć na nie, by nie dostrzec tego, co dostrzec się spodziewała. Nie, tak dalej być nie może. Jej natura domagająca się zmiany i parcia na przód ku lepszej przyszłości poczuła się już zmęczona i przytłoczona pięcioletnią stagnacją i nieustannym ciągnięciem prowizorki. Prowizorka jest, jak wiadomo, rzeczą najtrwalszą we wszechświecie, w związku z tym bywa szczególnie niebezpieczna i jak już raz chwyci ofiarę w swoje szpony, nie wypuszcza jej czasem aż do śmierci. Elena czuła, że chce od życia czegoś więcej niż tylko okazji do odwieszania na miejsce drogich staników i majtek, które ktoś przymierzył, by trzasnąć sobie fotkę. Ponieważ jednak myślała nie tylko o sobie, ale i o Romeczku, postanowiła wpaść na coś takiego, co pomoże połączyć jej skłonność do ryzyka i trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość z kreatywnością jej ukochanego, który też zasługuje na coś więcej niż tylko na pisanie o nieudanych orgazmach. Myślała więc i myślała, co by tu zrobić, aż w końcu, przy lnianych zakietach, doznała iluminacji.

Tak, to będzie to! Boże, pomysł jest genialny! To musi się udać! Oczywiście, że tak! Trzeba by trochę zainwestować, ale spokojnie, to da się zrobić. Są drobnuteńkie oszczędności, bo Romeczek nie skończył jeszcze konstruować kolejnego tomiku wierszy, pieniądze nie rozeszły się więc na self-publishing. Sprzeda swoją biżuterię, opyli jakieś książki w serwisie aukcyjnym i może jeszcze kilka mebli. Nie wszystkich potrzebują, da się żyć. Tak, to ma szansę powodzenia. Gdyby wszystko poszło po jej myśli, wypłyną na szerokie wody. Romeczek będzie miał szansę wreszcie objawić się światu, ona poczuje się w swoim żywiole, tworząc coś nowego od zera, a poza tym – i to jest w tym wszystkim najważniejsze – zaczną wreszcie normalnie zarabiać.

– Eleno, czy coś się stało? – usłyszała za sobą. – Ten zakiet chyba jednak jest czysty.

Kierowniczką butiku stała i przypatrywała jej się z troską.

– Ach, nie, nic, nic. Zamyśliłam się, przepraszam. Tak, zakiet jest bez zarzutu – Elena wróciła do rzeczywistości.

Nie ma co zwlekać, jeśli ma się działać, trzeba zabrać się za to od razu. Od razu też trzeba porozmawiać z Romeczkiem.

– Że co zamierzasz zrobić?! – Romeczek oderwał wzrok od komputera, gdzie powstawał tekst o najnowszym drobiowym pasztecie bez grama GMO, i kawałek kanapki z ogórkiem wypadł mu z ust na talerzyk.

– Powtórzę jeszcze raz: odejdę z butiku i otworzymy agencję artystyczną – ze stoickim spokojem powiedziała Elena, siorbiąc przy tym łyk kawy.

Słowacki nadal patrzył na nią i niczego nie rozumiał.

– Ale na miłość boską, po co?! – wyjąkał wreszcie.

– Po co? Po co? – zirytowała się Elena. – A dobrze ci się żyje? Masz pieniądze? Zarabiasz piórem, to prawda, ale robisz to nieefektywnie. Agencja artystyczna pomoże nam wykorzystać twój talent. Będziesz wsparciem merytorycznym.

– I na czym niby miałyby to wsparcie polegać? – Romeczek pozostawał sceptyczny.

– Będziesz układał scenariusze naszych działań. Jeśli trzeba będzie napisać wiersz na jakąś okazję, to go napiszesz, jeśli trzeba będzie ułożyć piosenkę, to ją ułożysz. Znasz się na pisaniu, jesteś w tym dobry. Moglibyśmy na tym zarobić.

– Teraz też niby mogę – marudził Słowacki, ale czuł już podskórnie, że stoi na przegranej pozycji, bo ogień zdecydowania płonący w jego połowicy trawił wszystko naokoło, zostawiając popiół i zgliszcza.

– Teraz to, co robisz, przypomina zabawę w chowanego w kawalerce. Niby można, ale możliwości są mocno ograniczone. Ja chcę, jak to się mówi, wypłynąć na szerokie wody.

Romeczek trochę pomilczał i trochę podrapał się po głowie.

– A jak sobie to wyobrażasz?

– No cóż. Mamy trzy pokoje. Jeden z nich zaadaptujemy na biuro i to będzie nasze miejsce pracy, ewentualnie miejsce prób czy czegoś w tym rodzaju, jeśli będziemy tego potrzebować. Sprzedam moją biżuterię... Nie patrz tak na mnie! Weźmiemy to, co miało iść na twój tomik wierszy... No nie patrz tak, mówię! Oddychaj! Jak zarobimy, wydasz to, tylko że w o wiele większym nakładzie. Będziemy organizować urodziny dla dzieci, prowadzić zabawy taneczne, przygotowywać spotkania dla małych firm i dużych korporacji, zajmować się konferansjerką i w ogóle, rozumiesz, obsługą wydarzeń artystycznych i nie tylko.

– Ty to masz rozmach wizji, kobieto...

– Poważnie mówię! I zobacz, Romeczku, zaczniesz być rozpoznawalny, a to na pewno pomoże twojej karierze pisarskiej.

– Tylko nie wiem, jak sobie poradzimy we dwoje.

– Och, nie poradzimy sobie we dwoje! – Elena uśmiechnęła się. – To znaczy nie tylko we dwoje. Potrzebujemy jeszcze trzech osób. Kobiet.

– Kobiet?

– Koniecznie kobiet. Obowiązkowo. Taki mam plan, że to mają być kobiety i kropka. Jedynym wyjątkiem będziesz ty.

– Ale dlaczego?

– Szczerze? Nie wiem. Tak po prostu czuję. Czuję, że tak właśnie ma być. A nie mam zamiaru bić się z intuicją, zawsze kiepsko na tym wychodziłam. Przeprowadzimy więc casting i wybierzemy trzy osoby, które będą razem z nami pracować.

Romeczek pokręcił głową i podniósł ręce do góry.

– Poddaję się. Wy, kobiety, na zawsze pozostaniecie dla mnie tajemnicą. To czyste szaleństwo, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Oczywiście. Czystym szaleństwem było też przyjechanie z tobą tutaj, do Wrocławia, ale nie żałuję tej decyzji. Dobrze nam razem, prawda?

– No pewnie! – przytaknął skwapliwie.

– No właśnie. Tym razem też się uda. Zobaczysz. Czuję to. Czuję, że to naprawdę będzie coś wielkiego.

– Nigdy nie widziałem cię takiej podnieconej – mruknął Romeczek barytonem, który nabrał jakby pluszowego odcienia, a w oczach pojawił mu się błysk.

– Naprawdę? – Elena zbliżyła się do niego i usiadła okrakiem na jego kolanach. – To jeszcze niewiele widziałeś.

– Chciałbym zobaczyć więcej – mruczał dalej, przyciskając usta do jej szyi.

– Jest na to szansa – odpowiedziała. – A swoją drogą – ciągnęła, choć Romeczek najwyraźniej przestał słuchać tego, co mówi jego ukochana, poświęcając uwagę czynnościom dla niego daleko bardziej priorytetowym – bardzo ciekawa jestem tych kobiet. Kto to będzie? Założę się, że będą postrzelone co najmniej tak samo jak ja.

2.

Dorota Kotecka zaklęła szpetnie, pociągnęła spory łyk czerwonego wina i otarła rękawem usta. Chwilę później zerwała się z narożnika w pokoju i rzuciła szczupakiem w kierunku łazienki, w ostatniej chwili dopadając toalety i oddając jej dopiero co wypity trunek. Znowu wytarła usta, objęła czule muszlę klozetową i zapłakała rzewnie nad swoim losem. A niech to jasna cholera! A to drań! A to łajdak skończony! A to kawał sukinsyna! Jak mógł! I nawet się człowiek upić normalnie nie może, choć chciałby, bo od razu kursuje do łazienki i przytula czoło do porcelanki.

Spuściła wodę, umyła ręce, wróciła do pokoju i ponownie zajęła narożnik. Westchnęła głęboko i powtórzyła wiązaną przekleństw. Gdyby chociaż dwa tygodnie temu ktoś jej powiedział, że coś takiego się wydarzy, roześmiałyby się głośno. Ale jednak. W wieku czterdziestu dwóch lat stały się dwie rzeczy, których wcześniej kompletnie nie brała pod uwagę.

Rzucił ją. Normalnie wziął i ją rzucił. Nie do pojęcia. Jeszcze bardziej nie do uwierzenia jest to, że ona durna niczego się nie domyślała. Nie wychwyciła żadnych sygnałów, nie nachodziły jej najmniejsze wątpliwości. Jak mogła być taka głupia? Taka ślepa

i głucha? Wierzyła mu bezgranicznie, a tymczasem on... I tojeszcze w jakim stylu ją rzucił. Klękajcie narody!

Bartłomiej Goryczka odsunął Dorocie krzesło przy stoliku w restauracji. Restauracja znajdowała się w niezwykle dogodnym położeniu, bo niemalże naprzeciwko bloku, w którym mieszkali. Wystarczyło dosłownie przejść przez ulicę. Mało tego, znajdowała się w znanym i najwyższym wrocławskim budynku, słynnym Sky Tower. Pójść do restauracji w Sky Tower – no, to jest coś!

Dorota przysunęła się do stolika i zerknęła w kartę dań. Proszę, proszę. Dziś najwidoczniej obowiązywać będzie wersja na bogato. Stolik w lekkim oddaleniu od innych, a zatem będzie też intymnie. Czyżby czekał ich jakiś zupełnie wyjątkowy wieczór?

Usiadł naprzeciw niej i uśmiechnął się do niej jednym z tych swoich czarujących uśmiechów. Nic dziwnego, że straciła dla niego głowę. Rzuciła dyskretnie okiem na prawo i lewo. No niestety, tym razem żadna laska nie wlepiła w niego gałów, jak to się często zdarzało i co zawsze Dorotę bawiło (choć nadużyciem byłoby stwierdzenie, że się do tego przyzwyczaiła). Trudno nie zwrócić uwagi na wysokiego, dobrze zbudowanego bruneta o posturze Jamesa Bonda. Kiedy się odzywał, jego niski, głęboki i ciepły głos od razu powodował ugięcie nóg w kolanach i szybsze bicie serca. Kiedy zdejmował koszulkę... Och, lepiej żeby nie zdejmował, bo z miejsca powodowało to u płci przeciwnej potrzebę zrzucania warstw własnej odzieży. Gdyby jednak ją ściągnął, można by zobaczyć jego wyćwiczone na siłowni mięśnie. Ach!

Zamówiła coś lekkiego, ale smacznego, i poprawiła swoje rude kręcone włosy upięte w kok. Naturalnie rude, żadnego farbowania. On patrzył na nią i milczał. Uśmiechał się tylko jakoś nietypowo.

– Wiesz co, jest taki film *Chłopaki nie płaczą*, kojarzysz? – zagadnęła.

Skinał głową.

– No i wiesz co? Śmiać mi się chce, bo tam jest taka scena, kiedy ona i on przychodzą do drogiej restauracji, takiej jak tutaj. Wiesz, on zaprasza ją tam, żeby powiedzieć jej, że z nią zrywa – roześmiała

się. – Tak mi się skojarzyło.

On znów się uśmiechnął. Zamówienie zostało przyjęte, potrawy wjechały na stół i przez jakiś czas mówili mało lub poruszali tematy banalne, do momentu, aż skończyli jeść. A tak, pojawiły się jakieś panienki, które rozbierały wzrokiem jej Bartusia. Ciekawe, czy to jest ten moment, żeby mu powiedzieć. Miała trochę inne plany, chciała to zrobić inaczej, ale kto wie, może to teraz jest odpowiedni czas?

– Mówisz, że on zaprosił ją do restauracji, żeby z nią zerwać? – zagadnął znowu Bartłomiej Goryczka.

– No tak. Powiedział, że ją zostawia i nie mogą być dłużej razem.

– Co za zbieg okoliczności...

Dorota roześmiała się, ale uśmiech zamarł jej na wargach, kiedy spojrzała na niego ponownie.

– No przestań, Bartuś, to nie był dobry żart.

Bartłomiej przeszył ją wzrokiem sprawniej niż wiązka promieni X.

– To wcale nie był żart – odezwał się cichym, głębokim głosem.

Dorota z otwartymi ustami wpatrywała się w niego, rozpaczliwie łącząc literki, które nijak nie chciały się złożyć w jedną, sensowną całość.

– O czym ty...

– Doroto, skarbie, nie możemy być dłużej razem.

Nie cierpiała, kiedy zwracał się do niej „Doroto”, a jeszcze bardziej nie lubiła, kiedy wyjeżdżał ze „skarbem”.

– O czym ty, do cholery, mówisz, o, boski Barti?

– O nie, tylko mnie tak nie nazywaj! – syknął.

Aha, czyli jednak dotarło.

– Co ty do mnie mówisz? Nic nie rozumiem – niemal jęknęła.

– To jeszcze raz. Mówię, że odchodzę. Nie mogę dłużej z tobą być, mieszkać i takie tam.

W „takim tam” mieściło się całe jej życie i nadzieje. Dziwne uczucie, kiedy da się to wszystko upchnąć w dwóch krótkich wyrazach.

– Nadal nic nie rozumiem. Dlaczego?

Bartłomiej westchnął i zerknął na nią z politowaniem. Pod jego spojrzeniem poczuła się brzydka i jakaś taka kanciasta.

– Odchodzę. Będę z Jowitką.

– Jaka, kurwa, Jowitką?! – krzyknęła, a trzy stoliki popatrzyły w ich stronę. Na ustach kobiet zakwitły pogardliwe uśmiešky.

– Ciii, nie rób scen – syknął. – Takie jest życie, to się czasem zdarza. Staram ci się to powiedzieć tak, żeby zachować styl i klasę, nie utrudniaj sytuacji. Ja i Jowitka... cóż, zakochaliśmy się w sobie i... spotykamy się od jakiegoś czasu.

– Od jakiego czasu? – spytała głucho.

– Czy to istotne? No dobra, od kilku miesięcy.

– Kilku... miesięcy?! Dlaczego ja o niczym nie wiedziałam?

– No cóż... – nie kontynuował wyjaśnień, tylko znów zerknął tak, jakby uważał, że nie ma co dziecku tłumaczyć, tylko na pytanie „dlaczego” odpowiedzieć „bo tak”.

– Znam ją? – drażyła.

– Nie, nigdy jej nie spotkałaś. Pracujemy razem w urzędzie. Ma trzydzieści trzy lata, jeśli już musisz wiedzieć.

Nie musiała, ale mimo wszystko nie oszczędziła sobie uwagi.

– Jest od ciebie dziesięć lat młodsza! Zabierasz się za takie panienki? Kryzys wieku średniego cię dopadł?

– Na miłość boską, zachowaj choć trochę klasy, podobno ją masz – syknął. – Rozstajemy się i wszystko. Wyprowadzam się do Jowitki i kropka. Życie toczy się dalej. Rachunek biorę na siebie – wskazał ręką na stolik i zaczął podnosić się z krzesła.

– Chwileczkę! – powstrzymała go trochę głośniejszym głosem, niż zamierzała, i ciekawe oczy innych klientów restauracji ponownie zawędrowały w ich stronę. – Siadaj!

Usiadł, ale całą swoją wysportowaną sylwetką dawał tak wyraźne oznaki zniecierpliwienia, że gdyby wypisał je neonowym sprayem na ścianie, efekt byłby dużo skromniejszy.

– W tym filmie *Chłopaki nie płaczą* jest jeszcze coś. Jak on już ją do tej restauracji zaprosił i powiedział jej, że odchodzi, to wiesz, co dalej jest?

– No co? – przewrócił oczami.

– Ona mu wtedy mówi, że jest w ciąży.

– No i?

– Co za zbieg okoliczności.

Bartłomiej ponownie przyrósł do krzesła i otworzył szeroko oczy.

– Jesteś w ciąży? Ty?!

– Takie rzeczy się zdarzają. Zwłaszcza kobietom. Mężczyznom jakoś rzadziej – Dorota szczerze zaczerpnęła z krynicy sarkazmu.

– I co ty na to?

Bartłomiej z otwartymi ustami wpatrywał się w Dorotę. Chwilę to trwało, ale zebrał się w sobie i ogarnął.

– I co ten w filmie zrobił?

– Zmienił zdanie i został.

Goryczka westchnął i znów się podniósł.

– Właśnie tym się różni rzeczywistość od filmu. Jutro przyjdę po rzeczy.

I poszedł. Po prostu zabrał swój szanowny, wysportowany tyłek i wyszedł z restauracji.

To była właśnie ta druga rzecz, która wywróciła życie Doroty do góry nogami. Ciąża. Pierwsza. Po czterdziestce. No czy może być coś gorszego? Zwłaszcza gdy się doda, że krótko po tym, jak się o tej ciąży dowiedziała, ojciec dziecka zabrał swoje zabawki i przeniósł się do innej piaskownicy.

Dorota miała wrażenie, że grunt osunął jej się pod nogami, a ona

zapada się w ruchomych piaskach. Chwytałaby się czegokolwiek, żeby się uratować, nawet węża, jak to było w przypadku Indiany Jonesa (ale on nie był w ciąży, farciarz), ale jak na złość na horyzoncie nie było niczego, co pozwoliłoby jej odbić się i wykaraskać.

Pierwsza ciąża po czterdziestce. Efekt niezwykle udanych wakacji na Wyspach Kanaryjskich, gdzie udali się z Bartusiem... to znaczy z boskim, cholera jasna, Bartim we dwoje i już pierwszego dnia postanowili przetestować lokalne trunki, jako że cieszyli się wykupioną opcją *all inclusive*. Ona się wzbraniała, bo w końcu wylecieli z Wrocławia bardzo wcześnie rano, jeszcze wcześniej musieli wstać, żeby dotrzeć na lotnisko, a poprzedniego dnia do późna się pakowała, jej kondycja pozostawiała więc sporo do życzenia. Do tego jeszcze z miejsca przypiekło ich słońce i wysmagał silny, oceaniczny wiatr, dlatego wystarczyło mniej niż zwykle, by się człowiek wziął i zapomniał. Trunki były boskie, wieczór był iście upojny, a co się działo dalej, kompletnie nie pamięta. Cóż, niektórzy z Kanarów przywożą magnesy na komórkę, ona przywiozła potomstwo. Niech to szlag.

Kiedy już zorientowała się, że coś mocno nie gra, na miękkich nogach poszła do apteki po test ciążowy, po czym, nie czekając na najmilszą chwilę poranka, zrobiła go. Jedenaście testów ciążowych później wynik nadal był ten sam i uparcie nie chciał okazać się halucynacją, a ona siedziała na środku pokoju wśród porozwalanych opakowań. Oczywiście, co prawda z Bartusiem... tfu, z boskim Bartim, psia mać, nie planowali żadnego potomstwa, a przynajmniej on zdecydowanie nie planował, a ona nie ciągnęła tematu, ale skoro stało się, to przecież wiadomo, że jakoś to wszystko się ułoży.

Otóż właśnie okazało się, że jednak nie ma zamiaru się ułożyć, bo szanowny ojciec od pół roku czy iluś tam bzykał na boku jakąś cholerną Jowitkę, a teraz oficjalnie zostawia Dorotę z tym całym kramem. Niech to szlag. Życie to mistrzostwa świata w organizowaniu burdelu na kółkach.

Kompletnie nie wiedziała, co robić. Ponieważ wszystkie jej dzieciacie koleżanki miały potomstwo w wieku zdecydowanie nie niemowlęcym, a do niektórych – strach się bać! – będzie się można

już niedługo zwracać per „babciu”, nie miała kogo się poradzić. Teraz dodatkowo doszło do tego wszystkiego poczucie wstydu, bo na pytanie „O, to ojciec dziecka pewnie się cieszy?”, trzeba by było odpowiadać, że jakoś nie bardzo, a tak w ogóle to właśnie dał nogę. Masakra.

Pewnie trzeba by się jakoś ogarnąć, do lekarza pójść lub coś w tym guście, ale póki co Dorotę stać było tylko – na złość własnej ciąży – na próbę utopienia smutków w winie. Zresztą również zakończoną porażką, ponieważ alkohol nagle okazał się całkowicie niestrawny. Niestety tak samo jak kawa i to już Dorotę zupełnie zdołowało. Zapłakała po raz kolejny, sięgnęła po nowe opakowanie chusteczek higienicznych i wysmarkała nos.

Gdzieś od strony kolan rozległo się głębokie mruczenie, jakby ktoś uruchamiał silnik bardzo drogiego samochodu i o nogi Doroty Koteckiej otarło się bardzo puchate i słusznym rozmiarów kocie ciało. Chwilę potem wielki kocur rasy maine coon wskoczył na narożnik i bezceremonialnie całym swoim siedmiokilowym ciałem wyłożył się na kolanach Doroty.

– No co jest, Dedlajn? – zapytała. – Micha pusta?

Dedlajn posłał jej spojrzenie mówiące, że nie samą karmą kot żyje i są jeszcze sprawy, które ocierają się o transcendencję, a do nich należy na przykład przymilne mruczenie i złożenie swego słodkiego ciężaru na człowieku w celach stricte terapeutycznych. Bez podtekstu kulinarnego. Choć jeśli już przy tym jesteśmy, to przecież żaden normalny kot nie będzie się wzbraniał, gdyby człowiek chciał się wykazać taką kulinarną inicjatywą. Nie musiałby nawet patrzeć znacząco, stojąc przy misce... Jeśli więc panna Kotecka wpadłaby na ten pomysł...

Dorota owszem, wpadła. Dosypała kotu karmy i wróciła na swoje ulubione miejsce. Obecność Dedlajna sprawiła, że poczuła się nieco lepiej, a mózg powoli przełączał się z trybu „krańcowa rozpacz” na tryb „dalej żyjemy, coś trzeba ze sobą zrobić”. Żeby nie zwariować. Doszła do wniosku, że czas się ogarnąć i coś zrobić. Coś! Bez przesady! Nie można się dać pokonać sytuacji! Kto tutaj rządzi w tym życiu, co? Ona, do diabła, czyż nie? Poza tym jest ruda i to naturalnie ruda, bez grama jakiegokolwiek farby. A rudy, jak

powszechnie wiadomo, to nie tylko kolor włosów, ale przede wszystkim charakter.

Dorota wzięła swój laptop, westchnęła i spojrzała z troską w ekran. Już po raz kolejny tego paskudnego dnia siadała do komputera. Za pierwszym razem, rano, czując się jak saper bez doświadczenia na polu minowym, próbowała odnaleźć jakieś wskazówki (nie ośmielała się określić ich terminem „wsparcie”) w związku ze swoją bardzo późną i bardzo niechcianą ciążą. Odnalazła kilka grup facebookowych i zajrzała do nich z nadzieją, ale krótko potem uciekła stamtąd z wrzaskiem. Niesamowite, o co potrafią pokłócić się baby w ciąży! Dobrze, że to chwytanie za widły i siekiery odbywa się tylko wirtualnie, w przeciwnym razie trup ścieliłby się grubą warstwą. Stwierdziła, że gdyby pobyła tam trochę dłużej, nasiąknięta krańcowo negatywnymi emocjami (zwłaszcza w swoim rozchwianym hormonalnie stanie!), zdobyłaby się na jakiś straszny i kompletnie nieodwracalny czyn. Na przykład zamordowałyby boskiego Bartiego. Nie, wróć, to akurat miała ochotę zrobić bez zaglądanía na fora, można wręcz powiedzieć, że jak do tej pory ledwo się powstrzymuje. Nie, to nie może być Facebook czy jakaś inna społecznościówka. Trzeba zająć czas czymś innym. Zająć tak dokładnie, żeby zupełnie nie było czasu na myślenie, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła.

Praca! Mój Boże, tak! Dlaczego nie wpadła na to wcześniej? Doskonałym lekarstwem jest praca! Co robiła jej matka, kiedy zmagala się z jakimś poważnym problemem? Szorowała parkiet i prała firanki. Ręcznie! Jej za to zawsze pomagało stanie przy garach. W chwilach największych rozterek tworzyła najlepsze potrawy. Rozejrzała się po mieszkaniu i z rozczarowaniem stwierdziła, że ciężkie prace fizyczne ma już niestety za sobą, bo chwyciła się za nie w pierwszej chwili wściekłości po powrocie z restauracji, a gotować nie ma zamiaru, bo na samą myśl o jedzeniu... No właśnie. Zaraz, zaraz, zawsze przecież pozostają obowiązki zawodowe. Tak! Trzeba sprawdzić, jak się przedstawia sprawa ze zleceniami.

Pół godziny później Dorota, utalentowana i wzięta tłumaczka języka angielskiego oraz niemieckiego, stwierdziła, że nawet wszystko to, co ma do przetłumaczenia, nie wystarczy, by zatracić

się w robocie. Nie wystarczy nawet na siedzenie nad tym od rana do nocy. Niech to szlag. Tak to jest z pracą freelancera. Po latach tłustych przychodzą lata chude, nawet jeśli chodzi nie o lata, a o tygodnie. Te ostatnie tygodnie do najtłustszych nie należały, pozostaje więc wymyślić coś jeszcze. Co mogłaby robić oprócz tłumaczeń? Coś. Cokolwiek. Ostatecznie ma jakieś tam doświadczenie, życiowe i zawodowe, rzecz jasna. Przejrzy oferty pracy, wybierze coś dla siebie i czas, kiedy nie będzie siedzieć przed monitorem, szczelnie wypełni czymś innym. Nie będzie ani chwili na destrukcyjne myślenie, narzekanie, uzalanie się nad sobą i tego typu sprawy. O nie. Nie da boskiemu Bartiemu i jego nie mniej boskiej Jowitce ani grama satysfakcji. Nigdy. Będzie przebojowa, że Boże mój! A życie się jakoś samo ułoży, bo jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było. Tak myśli. Przynajmniej do tej pory takie myślenie zwykło się sprawdzać.

Kolejną godzinę później (i dwa kursy do toalety celem zwrócenia zawartości żołądka – to nie był dobry pomysł z tą kawą) wiedziała, że natrafiła na ofertę specjalnie dla niej. Była zwariowana, wręcz szalona. Ba, Dorota nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek zaangażowała się w coś równie absurdalnego. I właśnie dlatego mogło się to okazać strzałem w dziesiątkę. Nowo powstała agencja artystyczna szukała członków zespołu. Kobiet i tylko kobiet! Nie wymagają doświadczenia, jedynie poczucie humoru, chęci do podjęcia się niestandardowych działań, otwartości, dystansu do siebie oraz dyspozycyjności, głównie popołudniami i w weekendy. W zamian za niewymaganie doświadczenia nie obiecują wysokich zarobków. No dobrze, to brzmi uczciwie. Dorota stwierdziła, że na dobrą sprawę spełnia wszystkie oczekiwania (a niechby ktoś powiedział, że nie!). Natomiast jeśli chodzi o pieniądze, to nie są one priorytetem. Priorytetem jest to, by mieć co robić. Bardzo mieć. Drugiego października agencja organizuje casting, wystarczy więc przyjść i... zobaczy się, co dalej. Tak, to jest to. Może dodatkowo będą potrzebowali coś przetłumaczyć?

Dedlajn zamruczał z wyraźnym zadowoleniem świadczącym o cudownie pełnym żołądku, wskoczył na narożnik i ponownie całym swoim kocim ciałem położył się częściowo na kolanach Doroty, częściowo na jej laptopie.

– Co myślisz, Dedlajn? Widziałeś kiedyś większe wariactwo?

Kot machnął ogonem na znak, że nigdy w życiu nie widział. Nawet bez wnikania, czy chodzi o życie pierwsze, czy siódme z kolei. Ale tak w ogóle to średnio go to interesuje. No chyba że w jakiś szczególny sposób ma to pośredni wpływ na zawartość jego miski.

– Pójdę tam, wiesz? – ciągnęła Dorota. – Jeśli coś ma się udać, to chyba tylko to. Kompletna paranoja. Mam nadzieję, że mnie zechcą.

Dedlajn spojrział na nią nieprzeniknionym kocim wejrzeniem, jakby doskonale wiedział, co wydarzy się dalej.

3.

Marta Malinowska stała przed tablicą, na której przypięto kartkę z nazwiskami. Tę samą listę nazwisk widziała już dzisiaj w internecie na stronie uczelni, ale ponieważ uparcie nie dowierzała informacjom z monitora, zdecydowała się sprawdzić to wszystko jeszcze raz u źródła. Analogowo. Niestety wynik okazał się taki sam i tak samo ją rozczarował. Choć nie, ostatecznie rozczarował ją znacznie bardziej, niż była na to przygotowana. Po raz trzeci z rzędu nie dostała się do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Wyglądało na to, że najlepiej wychodzi Marcie kolekcjonowanie porażek życiowych i w swoim dwudziestoletnim życiu mogła się poszczycić wzbudzającym szacunek zbiorem.

A miało być tak pięknie! Wrocław, wielka metropolia dla kogoś, kto jak Marta pochodził z Kłodzka, jawił się jako ziemia obiecana, mekka nowej przyszłości (rzecz jasna świetlanej), worek z szansami na lepsze jutro tak wypełniony, że nic tylko sięgać do niego i wyciągać, ile się tylko zmieści w garści.

Po raz pierwszy jechała tutaj trzy lata temu z taką nadzieją

w sercu i z takim uśmiechem na twarzy, że konduktor w pociągu raz czy drugi łypał na nią okiem, aż w końcu poddał się i zapytał wprost, czy coś brała. Marta odpowiedziała mu wtedy, że w sensie farmakologicznym nic, ale po same uszy naładowana jest pozytywną energią i właśnie po raz pierwszy jedzie do Wrocławia, by zacząć swoje nowe, lepsze życie. Konduktor zapytał wtedy podejrzliwie, na czym to ono będzie polegało i przesunął spojrzeniem po sylwetce Marty od stóp do głów, zatrzymując się w jej rejonach strategicznych, które to wyraźnie u niego zapunktowały. Ona odpowiedziała, że jedzie na egzamin do szkoły teatralnej, a kiedy go zda (a że zda, nie ulegało wątpliwości), zostanie aktorką, bo o tym zawsze marzyła. Po czym olśniła konduktora kolejnym uśmiechem. Pięćdziesięcioletni mężczyzna westchnął, pokręcił głową i skasował bilet.

– Kto wie? Może faktycznie się pani uda? Z takimi, ekhm, walorami, kto wie?

Marta zaćmiona euforią zupełnie nie zrozumiała, co miał na myśli, i nieco zdziwił ją galopujący sceptycyzm konduktora, ale nie zastanawiała się nad tym dłużej, ponieważ w tamtym czasie świat miał wyłącznie odcienie tęczy. Do odważnych świat należy, czyż nie?

Z Dworca Głównego odebrała ją dawna przyjaciółka z dzieciństwa, która to jakiś czas temu wygrała los na loterii w postaci starej ciotki. Z ciotką na dobrą sprawę prawie nie utrzymywała kontaktów, ale to zupełnie się nie liczyło, bo w odpowiedniej chwili wyciągnęła kopytka (ciotka, nie koleżanka), zostawiwszy dziewczynie w spadku mieszkanie we Wrocławiu, ku bezbrzeżnemu zdumieniu i jeszcze większej zazdrości reszty rodziny. Przyjaciółka jako bardzo młode dziewczę z Kłodzka podjęła pierwszą w życiu męską decyzję i jeszcze w liceum przeprowadziła się do stolicy Dolnego Śląska, gdzie dokończyła szkołę, potem skończyła studium kosmetyczne i obecnie była mistrzynią w hybrydach, sztucznych rzęsach, maseczkach i tego typu sprawach.

Marta zatrzymała się u przyjaciółki na czas egzaminów. Miała zostać wyłącznie na chwilę, dosłownie na te kilka dni, bo przecież kiedy już się dostanie (ha, ha), to złoży podanie o miejsce w akademiku i jest rzeczą najzupełniej oczywistą, że na to miejsce

również uda jej się załapać. Wiadomo. Życie w tamtym okresie wydawało się Marcie wyłącznie usłane różami.

Po pierwszej porażce egzaminacyjnej dostrzegła ze zdumieniem, że róże mają kolce i życie usłane nimi niekoniecznie musi być tym, o co tak bardzo zabiegała. Zupełnie nie mogła zrozumieć swojej porażki. Przecież brała udział w szeregu szkolnych i regionalnych przedstawień, zbierała znakomite recenzje od nauczycieli, jej rola w *Ferdydurke* i pojedynki na miny jeszcze długo będą pamiętane w kłodzkim liceum imienia Bolesława Chrobrego. Umiała śpiewać, coś tam brzdąkała nawet na pianinie, świetnie się prezentowała (tak mówili inni) i w końcu, do diabła, marzyła, żeby zostać aktorką. Dlaczegoż wszystko to zostało przez ten cholerny Wrocław rozjechane po prostu jak czołgiem?

Płakała wsparta o ramię przyjaciółki, a ta nie mówiła nic, tylko podawała kolejne chusteczki. Kiedy w końcu Marta mogła jako tako oddychać bez jednoczesnego produkowania hektolitrowej słonej wody, zaproponowała przeczekanie u niej w mieszkaniu.

– Ale jak to przeczekanie? Do czego? – zdumiała się Marta.

– Do drugiego naboru. Zawsze jest coś takiego, a przynajmniej tak mi się zdaje.

Gdzieś tam w umyśle Marty nieśmiało zapłonął skromniutki ogarek nadziei.

– No faktycznie jest. O, tu, na stronie. O kilka miejsc będzie można walczyć jeszcze we wrześniu.

– No widzisz! – ucieszyła się przyjaciółka. – Nie wracaj do Kłodzka, pomieszkać sobie u mnie do września, przygotuj się, poćwicz, czy co tam się robi, i uderz jeszcze raz.

– Mogłabym zostać u ciebie? – nadzieja w umyśle Marty szybko ze skromnego płomyczka przeradzała się w rasowy halogen.

– Oczywiście! Będzie mi rażniej! Mam przecież dwa pokoje i co prawda mieszkanie nie jest jakieś super-hiper, jeśli chodzi o standardy, ale da się tu mieszkać.

Rzeczywiście dało się mieszkać. I rzeczywiście nie było super-hiper. Właściwie od określenia „super-hiper”, a nawet „standard”

dzielił je dystans mniej więcej taki jak z Wrocławia do Gdańska, bo przedwojenna kamienica przy Rydygiera była brudna, zaniedbana i wznosiła się w miejscu, w którym ryzykiem jest zapuszczać się po zmroku, nawet jeśli w pobliżu znajduje się komisariat policji. Nad wejściem do klatki schodowej istniały jeszcze ślady naniesionego zaraz po wojnie napisu „Lwowskie Piekiełko”, co przypominało, że pod koniec lat czterdziestych mieściła się tu mordownia z prawdziwego zdarzenia, owiana złą sławą, jak i reszta osiedla Nadodrze. Po spełnieniu już dawno śladu nie było, napis również wkrótce miał przejść do historii, bo kamienica przez kilkadziesiąt lat nie doczekała się żadnego remontu. Świętej pamięci ciotka przyjaciółki zdołała jeszcze wygospodarować kąpielnię na skromną łazienkę, żeby nie trzeba było biegać do toalety zlokalizowanej na półpiętrze, ale okien już, biedaczka, nie wymieniła.

Marcie zupełnie nie przeszkadzała przesiąknięta uryną klatka schodowa z wiecznie zepsutym domofonem i wiecznie przepaloną żarówką, ciemna, zimna i pobazgrana sprayem od góry do dołu. Zupełnie nie przeszkadzała jej konieczność schodzenia po węgiel do starej (i oczywiście ciemnej) piwnicy oraz palenia w piecu. Nie przeszkadzała jej lokalizacja mieszkania i z rzadka przejeżdżające przez Rydygiera pojazdy, które natychmiast sygnalizowały swoją obecność kołami skaczącymi po nierównej kostce brukowej. Nie miałyby nawet nic przeciwko temu, by jednak chodzić do tej toalety na półpiętrze, gdyby pechowo przyjaciółka nie dysponowała czymś, co optymistycznie można było nazywać łazienką, bo to był, do licha, Wrocław. Wrocław! Tu się wszystko zaczyna. Nowe życie, nowe nadzieje, nowy świat. To był wielki Wrocław, a nie małe Kłodzko, a ona miałyby tu zostać jeszcze przez jakiś czas. Bajka!

Oczywiście, że się zgodziła.

Niestety w drugim terminie również nie została przyjęta. Rok później także. I teraz, za trzecim razem też nie. Można się było pochlastać.

Przez pierwsze dwa miesiące życia we Wrocławiu zdołała tak wsiąknąć w miasto, tak się z nim zespolić, jakby była brakującym puzzlem w układance. Dlatego po porażce „kampanii wrześniowej” zaproponowała nieśmiało przyjaciółce, że jeśli ta nie miałyby nic

przeciwno, to Marta znalazłaby sobie tutaj jakąś pracę i spróbowała wystartować za rok. Nie byłaby jej ciężarem, nie, nie, skąd. Połowę opłat za mieszkanie wzięłaby na siebie, uczciwie by zarabiała, a za rok znów stanęłaby w szranki. Przyjaciółka zgodziła się chętnie.

– Większe miasto to szersze perspektywy – pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Praca tu jest, nie ma z nią żadnego problemu. W przeciwieństwie do Kłodzka. Ale jest coś jeszcze – Marta utkwiała w przyjaciółce spojrzenie, w którym płonął żywy ogień ekscytacji.

– No co?

– Castingi.

– Castingi?

– Właśnie! Można się zaczepić do jakiejś reklamy czy coś, nawet bez szkoły aktorskiej. A to dałoby mi doświadczenie. Przydałoby się przy egzaminach za rok. No i inaczej by na mnie patrzyli, mogłabym powiedzieć, że robiłam już to czy tamto. Wygląda to lepiej niż samo szkolne *Ferdydurke*.

Przyjaciółka pokiwała głową i stwierdziła, że trudno odmówić Marcie słuszności. Dobrze, niech więc zostanie, pracuje, jak powiedziała, chodzi na castingi, a ona, Anka, będzie jej gorąco kibicować i cieszyć się, że w zimne, jesienne wieczory będzie miała z kim wypić kubek gorącej herbaty.

Teraz, pod koniec września 2017 roku, Marta wyszła z budynku PWST przy ulicy Braniborskiej i wlokąc się nogą za nogą, zmierzała w kierunku przystanku tramwajowego. Trzecia porażka z rzędu. Nawet z odwołania jej nie przyjęli, a egzamin w tym roku oceniła jako wyjątkowo upierdliwy. A przecież miała już z czym porównywać, prawda?

Tym razem kazali jej zagrać kalafiora na dopalaczach. Marta nigdy nie brała dopalaczy, a tak w ogóle to nie cierpiała kalafiorów (to jedyne kwiaty, których nie lubiła), zadanie więc zaskoczyło ją kompletnie. Próbowwała oczywiście wybrnąć z sytuacji, bo nie miała w zwyczaju poddawać się bez walki, ale tak jakoś zauważyła, że

komisja cieplej patrzy na dwie osoby, których nazwiska były zaskakująco podobne do nazwisk znanych aktorów i na kilka innych, które z jakichś względów były tej komisji znane. No cóż.

Tak, tak, Anka nie będzie szczęśliwa, jak jej o tym powie. Niby do trzech razy sztuka, a tutaj proszę bardzo, za trzecim razem również bez efektu. Mieszka u Anki już trzeci rok i przyjaciółka zaczęła wykazywać wyraźne oznaki zmęczenia materiału. No bo w sumie, jak się tak temu obiektywnie przyjrzeć, to ileż można. Marta nie szuka innego lokum, nie poznała też do tej pory żadnego faceta, z którym mogłaby zamieszkać. Nie ma co owijać w bawełnę – nie podejmowała żadnych gwałtownych ruchów, ba, żadnych prób zmiany sytuacji mieszkaniowej, bo u Anki było jej po prostu wygodnie.

Żeby jeszcze coś z tymi castingami wyszło, ale i tutaj niczym nie można się pochwalić. Tyle ich już za sobą ma... Przez chwilę żywiła nadzieję, że uda jej się w końcu zaczepić do reklamy proszku do prania (żadna tam główna rola, statystowanie, ale zawsze coś), niestety okazało się, że tam również nie spełnia oczekiwań. Dlaczego? Bo nie ma doświadczenia. A nie ma doświadczenia, bo nikt nigdzie jej jak dotąd nie chciał i nie dał szansy, by to doświadczenie zdobyć. Błędne koło.

Podróż tramwajem nie trwała długo, w końcu ulica Rydygiera mieściła się w ścisłym centrum. Marta wysiadła z siódemki i ciągle zamyślona skierowała się ku klatce schodowej pod „Lwowskim Piekiełkiem”. Znajomy zapach uryny jak zwykle uderzył ją w nozdrza. Weszła na pierwsze piętro i otworzyła kluczem drzwi. Anki jeszcze nie było w domu. Marka też nie. No właśnie, bo zupełnie niedawno zamieszkał z nimi Marek, wielka miłość Anki. Anka zresztą co jakiś czas miewała wielkie miłości aż po grób, kiedy to dzwon jej serca bił w rytmie „tylko ten, tylko ten, tylko ten”. Co jakiś czas umierała z rozpaczy, kiedy miłość na wieki nieoczekiwanie kończyła się po trzech czy czterech miesiącach.

Żaden z wybranków Anki nie dostąpił jednak zaszczytu dzielenia z nią mieszkania na co dzień, nie tylko łóżka, bo z łózkami to było różnie. Marta nieraz, wstając rano do pracy i idąc do kuchni, natykała się na części męskiej garderoby porozrzucane bezładnie, przy czym skala bałaganu była wprost proporcjonalna do tempa

zmierzania do łóżka i rozbierania się po drodze. Myślała, że z Markiem będzie tak samo, ale o dziwo nie. Marek oficjalnie się wprowadził i w ten sposób obecność Marty w mieszkaniu stała się, cóż, trzeba to przyznać otwarcie, niewygodna. Marta Malinowska zaczęła zawadzać. Zaczęto się krępować jej obecnością. Choć nie na tyle krępować, by starano się uprawiać seks inaczej niż tak, by słyszało to pół Wrocławia. Anka i Marek kochali się często i namiętnie, ale na pewno czuliby się lepiej, gdyby wiedzieli, że ktoś w drugim pokoju nie siedzi w słuchawkach na uszach, w których puszcza sobie maksymalnie głośno wyjątkowo mocnego rocka. Zainteresowania pozostałych sąsiadów nie przyjmowali po prostu do wiadomości.

– Chyba najwyższy czas się wyprowadzić – powiedziała na głos do siebie, zalewając torebkę herbaty w swoim ulubionym kubku i stając przy oknie wychodzącym na ulicę.

Po przeciwnej stronie między dwiema starymi kamienicami ziała dziura wyglądająca jak ubytek dwóch zębów po zaliczeniu silnego ciosu. W głębi znajdowało się kompletnie pozbawione zieleni podwórko, dość spore, trzeba przyznać. W tym właśnie podwórku, na tyłach starych kamienic jakiś szalony deweloper zaczął stawiać nowoczesny apartamentowiec. Marta westchnęła. To chyba nowy sposób na oswojenie tej dzielnicy.

Tak czy inaczej sytuacja dojrzała do działania. Trzeci rok z rzędu pracuje na infolinii jednego z banków, gdzie zaczęła się tylko na chwilę, do czasu, aż znajdzie coś lepszego. Jak zwykle okazało się, że najtrwalszą rzeczą we wszechświecie jest prowizorka, bo praca na chwilę okazała się pracą na stałe, a nawet po drodze zdarzył się jakiś awansik. Niewiele to zmieniło w jej zarobkach, to prawda, praca w weekendy i w nocy też jakoś nie brzmiała wybitnie zachęcająco, ale Marta nie była z tych, którzy dokonują zmian, kiedy przestaje im coś pasować. Po prostu dostosowywała się do sytuacji.

Oderwała się od okna w kuchni i poszła do swojego pokoju. Z przyzwyczajenia uruchomiła laptop i zajrzała na stronę z ofertami pracy. No coś takiego! Casting! Agencja artystyczna (nazwy nie podano) ogłasza przesłuchanie na członków zespołu i – to jakaś nowość – szukają wyłącznie kobiet. Nie wymagają

doświadczenia! Może spróbować? Jasne, że spróbować!

Kiedy Anka wróci z pracy, powie jej, że to ostatni casting, w którym ma zamiar wziąć udział. Jeśli się nie uda i tym razem, wróci do Kłodzka. Nie ma już czego szukać we Wrocławiu. Miasto, które wydawało jej się ziemią obiecaną, okazało się wypalonym do gołej ziemi ugorem. Miliony szans czekających na to, by z nich skorzystać, w rzeczywistości były złudnymi obietnicami, pękającymi jak bańki mydlane przy byle dotknięciu. O innych studiach niż aktorskie Marta nie myślała, na dobrą pracę nie miała szans, a kiepską można było znaleźć wszędzie. Niekoniecznie tutaj.

Anka powinna być usatysfakcjonowana. Ostatnio przebąkiwała coś o potrzebie zajęcia się czymś normalnym, o staniu nogami na ziemi i zaprzestaniu błędzenia w chmurach i takie tam. To zapewne podpowiedział jej Marek, no chyba że w samej Ance coś się złamało i pomimo przyjaźni zaczęła czuć się już zmęczona. Tak, drugiego października zawalczy po raz ostatni. A potem?

– Żegnaj, Wrocławiu – odezwała się znowu do samej siebie. – Żegnaj, bo nie dałeś mi kompletnie nic. Ani szansy, ani nadziei. I nawet normalnego faceta przez te trzy lata nie znalazłam. W takim tłumie! Niech cię szlag!

4.

Końcówka września jak na złość była niezwykle piękna, ciepła i słoneczna do niemożliwości. Barbara Borzęcka odnosiła nawet wrażenie, że kondukt pogrzebowy, w którym szła, kompletnie zabłądził w czasoprzestrzeni. Zamiast przeć dzielnie naprzód, smagany listopadowym, lodowatym gradem, zamiast rozpaczliwie walczyć w obronie parasoli porywanych przez zachłanny wicher, sunął dostojnie wśród cudnie zazłoconych drzew, słońca, ciepła (niektórzy pościągali marynarki) i śpiewających ptaków, które skutecznie konkurowały z rozlegającym się z przenośnego megafonu odgłosem paszczowym organisty. Organista najwidoczniej nie był ostatnio w najwyższej formie, co niestety słyhać było w jego głosie, niebezpiecznie przypominającym chwilami odgłosy wydawane przez pewne sympatyczne zwierzę kopytne.

Potem Barbara pomyślała, że to ona pomyliła pogrzeby, ale niestety fakt, że w trumnie niesionej przez czterech mężczyzn w białych rękawiczkach spoczywał jej mąż, z miejsca skazał tę koncepcję na niepowodzenie. No tak. Poza tym żałobnicy powinni zalewać się łzami, szlochać, wzdychać i tworzyć chusteczkową

grupe wsparcia, tymczasem część idąca najbliżej organisty wytrwale próbowała wstrzelić się w zaproponowaną przez niego trudną do odgadnięcia tonację, a pozostali rozpoczęli część zarezerwowaną właściwie na stypę, czyli zacieśnianie wzajemnych relacji („A ty wiedziałaś, że Grażyna wykopała swojego starego z chałupy?”, „A jakie tam wykopała! Sam się wyniósł, bo jedną taką poznał”).

Jak na złość, nikt nie płakał.

Barbara poczuła się więc w obowiązku, by uronić łzę, bo po pierwsze wypada, by zapłakać na pogrzebie własnego męża, po drugie dotarło do niej nagle, że dwupokojowe mieszkanie przy ulicy Brzezińskiej we wrocławskiej Leśnicy momentalnie zyskało na przestrzeni, skoro straciło na człowieku. Po trzecie jej mąż zaskoczył ją kompletnie, bo kiedy ona w wieku swoich siedemdziesięciu lat dojrzała wreszcie do tego, by go zostawić, on – zanim mu zdążyła o tym powiedzieć – wziął i padł na zawał. Wszystko to sprawiło, że w Barbarze coś się w środku poluzowało i po policzkach popłynęły jej dwa strumyki, które czym prędzej łapała chusteczką, by nie doprowadzić do ruiny makijażu.

– Mamo, jak możesz po nim płakać! – syknęła gdzieś z boku jej córka Aldona. – Przecież to był zimny drań!

– Ach, jaki on tam zimny – westchnęła Barbara i ponownie otarła łzy. – Co najwyżej trochę schłodzony.

– Hy, hy, teraz jest nie tylko schłodzony, ale i całkiem sztywny – Robuś, piętnastoletni wnuk Barbary zarechotał zupełnie niestosownie do sytuacji. – To jest jakiś tam rygor. Zużka wie.

– *Rigor mortis* – poprawiła go siostra bliźniaczka i przewróciła oczami. – Stężenie pośmiertne. Minęły trzy dni, więc właściwie może go już nie mieć, bo mięśnie rozmiękają i pojawiają się substancje gnilne. Chociaż, jeśli leżał w lodówce, a leżał...

Aldona na moment zupełnie straciła oddech i złapała się za głowę.

– Czy wyście zwariowali? Jak wy się zachowujecie? Co wy właściwie opowiadacie!

– Ależ mamo, to czysta biologia – ze stoickim spokojem zaoponowała Zużka. – Takie jest życie.

– Już ja wiem, jak wygląda życie, za to ty mało się na nim znasz póki co. Jacques! – Aldona syknęła w stronę swojego męża, rodowitego Luksemburczyka. – Powiedz im coś! To również twoje dzieci!

Jacques, irytująco spokojny i małomówny lekarz, kompletne przeciwieństwo swojej żony, westchnął, uśmiechnął się rozbrajająco i rozłożył ręce.

– *Je ne comprends pas, ma chérie.*

– *Ne comprends, ne comprends!* – zagotowała się Aldona. – Rozumiesz tylko wtedy, kiedy chcesz zrozumieć, a teraz udajesz, że ani słowa! Wy dwoje – zwróciła się do bliźniąt. – Żadnych gadek o stężeniu pośmiertnym. Zachowujcie się! Zwłaszcza ty! – podsumowała, mówiąc w stronę Zuzi.

Ojciec ukradkiem puścił do córki oko, a ona zachichotała tak, by matka niczego nie zauważyła. Nie bez powodu Jacques uważał ją za nadzieję medycyny i liczył gorąco, że córka dysponująca silnym zacięciem biologicznym zechce pójść w jego ślady i zostanie... no dobra, nawet jeśli nie neurologiem, to jakimś innym lekarzem. Nawet patologiem sądowym, niech będzie. Grunt, żeby podążała w jedynym słusznym kierunku.

Barbara rodzinną sprzeczkę wpuszczała jednym uchem, a wypuszczała drugim, czyli robiła to, co ze sprzeczkami się robić powinno, jeśli nie chce się oberwać rykoszetem. Zamiast dołączyć do wymiany zdań, dała się ponieść myślom i wróciła do czasów, kiedy jej mąż z pewnością nie miał tego, co Zuzia tak trafnie nazwała. Przynajmniej fizycznie.

Z jednej strony był draniem, z drugiej jakoś nie.

Przez większą część życia musiała się dzielić jego osobą z poważną konkurencją – wódką. Z pewnością był czas, kiedy tę drugą kochał bardziej niż ją. A przynajmniej znacznie więcej czasu jej poświęcał. Nie mówiąc o pieniądzach. Jej pieniądzach także. Ich wspólnych. Cóż, mówiąc wprost, przepił wszystkie ich oszczędności, a zdrady dokonywał potajemnie i sprytnie, ona więc zorientowała się dopiero wtedy, kiedy chciała zrobić długo planowany remont mieszkania. Nie mogła uwierzyć, że można przepić kilkadziesiąt tysięcy, ale

widać można. I zapewne można by więcej, gdyby się tylko chciało. Z objęć zaborczej kochanki wydobył się dopiero wtedy, kiedy stracił pracę za jazdę na podwójnym gazie, co dla niego jako kierowcy tira miało niebagatelne znacznie. Ogarnął się więc, ku chwale ojczyzny i przyszlých pokoleń, i z bólem bo z bólem, ale wyszedł na prostą.

Niestety namiętność nadal rozpalala go wewnętrznie jak piec hutniczy. Ponieważ natura nie znosi próżni, miejsce po wódce dość szybko zajęła inna kochanka, tym razem dysponująca prawdziwym zadkiem i biustem, z którą obecny nieboszczyk radośnie i przez dłuższy czas zdradzał swoją żonę. Barbara niczego się nie domyślała i już, już miał zalać jej serce z dawna upragniony spokój, kiedy szanowny małżonek zrobił rzecz najgłupszą na świecie.

Któregoś dnia runął z płaczem na kolana i wszystko jej wyznał.

Oczywiście z miejsca błagał o przebaczenie. Jej zraniona dogłębnie duma kazała przez dłuższy czas pielegnować urazę, zwłaszcza że to nie wyrzuty sumienia były przyczyną mężowskiej pokuty, a to, że jego kochanka puściła go kantem. Córka Aldona zawzięcie lobbowała za rozwodem, syn Krzysztof zapewniał matkę o swoim wsparciu (lecz nie angażował się w sprawę), ale Barbara zdecydowała się dać małżonkowi drugą szansę, po czym z niejakim trudem odbudowali relację i zaczęli życie na nowo.

I wtedy właśnie on zdradził ją ponownie. Oraz ponownie się przyznał.

To już naprawdę trudno było znieść. Aldona ciskała gromami z odległego Luksemburga tak, że Zeus mógłby poczuć oddech konkurencji na plecach. Nawet Krzysztof obecny zazwyczaj wyłącznie duchem i światłowodem, ponieważ lat temu ileś wyemigrował do Australii, przyznał, że miarka się przebrała (po czym z entuzjazmem zaczął opowiadać o kangurach podchodzących do ogródków przydomowych, jako że ich populacja nie tylko się odbudowała, ale też ma się świetnie). Długo namyślała się Barbara, co zrobić, bo jak do licha odnieść się do zdrady w okolicach siedemdziesiątki, aż w końcu postanowiła, że kolejnej szansy nie będzie. A wtedy on wziął i umarł.

Rzeczywiście zimny drań.

– Mamo, mówię coś do ciebie! – dotarł do niej natrętny głos Aldony.

– Przepraszam, zamyśliłam się. O czym mówiłaś?

– O Krzysztofie.

– A co z Krzysztofem?

– Nie ma go.

– Właściwie mnie to nie dziwi, w końcu Krzyś mieszka w Australii. To nie jest tak prosto wyrwać się stamtąd na pogrzeb.

– Nawet własnego ojca?

– Przecież sama mówisz, że nie ma po kim płakać. Poza tym przysłał wieniec.

Aldona przewróciła oczami, a bliźnięta zachichotały. Jacques nagle postanowił intensywnie wpatrywać się w zupełnie inną część cmentarza, zaczął też wykazywać niezwykle zainteresowanie obrzędem.

– Ale widziałaś ten wieniec? – upewniła się Aldona.

– No przecież, że widziałam.

– A napis na szarfię czytałaś?

– Ach, o to ci chodzi. Och, zlecił przygotowanie wieńca i zrobienie napisu po polsku, może niekoniecznie dokładnie przekazał, jak ma to wyglądać, może go nie tak zrozumieli. Ale przecież nie jest tak źle.

– No fakt, źle nie jest. To katastrofa! – Aldona prychnęła.

Barbara spojrzała na wielki wieniec z wyraźnym wysiłkiem dźwigany przez jednego z pracowników zakładu pogrzebowego. Uznała, że właściwie dobrze, że taki jest. Ciężka i nadęta atmosfera pogrzebu aż się prosiła o to, by ją czymś rozrzedzić.

Pogrzeb przebiegał, jak to pogrzeby mają w zwyczaju. Cmentarz przy ulicy Trzmielowickiej bezwstydnie zażywał kąpieli słonecznej, prowizorycznie tylko przesłaniany przez złotoliste drzewa pozorował zachowanie dyskrecji. Ten i ów z żałobników chronił się w ich cieniu. Kiedy już nieboszczyk mąż wprowadził się do swego

ostatniego lokum, kiedy już grudki ziemi, najpierw skromne, rzucone ręką, a potem dawane hurtem za pomocą łopat utwierdziły wszystkich, że to jest teraz jego miejsce i innego nie będzie, stało się jasne, że najwyższy czas zacząć część drugą, czyli stypę. Ludzie rozeszli się do samochodów, część załadowała się do stojącego nieopodal autokaru, by pojechać na przyjęcie zorganizowane w pobliskiej Karczmie Rzym. Za sobą pozostawili świeży nagrobek z drewnianym krzyżem wznoszącym się wśród wieńców, spośród których największy i najokazalszy ułożono na samej górze stosu zieleni. Ten był od syna Krzysztofa. Na tle zielonego kręgu mocno zaznaczała się biała szarfa, na której zgrabnymi literami wypisano: „Kochanemu tacie z okazji pogrzebu”.

Stypa w Karczmie Rzym przebiegała zupełnie standardowo. Ludzie jedli, pili, plotkowali, załatwiali rodzinne interesy, obrzucali krytycznym spojrzeniem spódnice czy garsonki, komentowali fryzury (oczywiście po cichu i za plecami). Barbara Borzęcka poczuła się zmęczona. Gdzieś w głębi niej z początku nieśmiało, potem coraz silniej narastała potrzeba czegoś zupełnie innego, tak jakby cała otaczająca ją rzeczywistość była pustym naczyniem, na przykład kielichem, domagającym się, by je czymś zapełnić – na przykład winem. Tak, to byłby dobry pomysł. Zrobić coś zupełnie szalonego.

– Wiecie, na co mam teraz ochotę? – zwróciła się do najbliższych.

– Na co, babciu? – zainteresował się Robuś, metodycznie przeżuując schabowego.

– Chciałabym, żebyśmy się upili, a potem zatańczyli i zaśpiewali. Albo odwrotnie.

– Och, *oui, oui!* – Jacques tym razem wydawał się rozumieć polszczyznę doskonale.

– Ale czad! Pijana babcia tańcząca na stole! – ucieszył się Robuś.

– Nie mówiłam, że na stole – zaoponowała Barbara. – Ale kto wie?

– Och, na stole, *bien sûr!* – Jacques kiwał głową z entuzjazmem, uśmiechając się tak, że nawet dentysta o kiepskich zdolnościach mógłby ocenić stan jego ósemek.

– Stan upojenia alkoholowego jest wizualnie ciekawy, ale może

powodować światłowstręt, nudności i biegunki. Nie wiem, czy tego chcemy – odezwała się Zuzia, piętnastoletnia nadzieja luksemburskiej medycyny.

– Oczywiście, że nie chcemy – wtrąciła się Aldona, starając się przywrócić sprawom właściwy bieg. – To stypa, mamó, nie studniówka!

– Daj spokój, dziecko, Tadziovi już nic nie pomoże, dlaczego więc my mamy się zamartwiać i smucić? Żyjemy, cieszymy się, bierzmy to życie pełnymi garściami, póki je mamy.

– *Oui* – zgodził się stanowczo Jacques, sięgając po kielonek.

– Jeśli tak pragniesz szaleństwa i zabawy, to może załóż kabaret – Aldona zupełnie nie podzielała zapatrywań swojej matki. – Będzie kupa śmiechu. Z przewagą kupy.

– To nie jest taki zły pomysł – odcięła się Barbara i postanowiła nie drażnić tematu.

Stypa dobiegła końca, Jacques, Aldona i bliźnięta pojechali do hotelu, żałobnicy, wyraźnie wstawieni i zupełnie nie smutni, rozeszli się do swoich domów. Barbara krzątała się między stołami, pomagając obsłudze sali w sprzątaniu, choć wcale nie musiała tego robić. Po prostu nie miała co z sobą począć. Uczucie pustki zaglądało zza futryny gotowe rzucić się na nią, gdy tylko się zbliży.

Było już naprawdę późno, kiedy w jej torebce rozległ się dzwonek komórki.

– Cześć, babciu! – odezwał się młody głos z mocno konspiracyjnym akcentem.

– Robuś, to ty? Dlaczego szepczesz?

– Nie chcę, żeby mnie mama słyszała. Coś dla babci mam. Ofertę.

– Jaką ofertę?

– Pracy.

– Pracy?! – zdumiała się Barbara. – Ależ ja jestem na emeryturze.

– Nie szkodzi. Na tym i tak się babcia nie dorobi, bo piszą, że będą słabo płacić.

– To po co mi praca?

– Nie o to chodzi – głos Robusia był wyraźnie stłumiony, jakby dobiegał z jakiegoś nietypowego miejsca. – Chodzi o rozrywkę.

– Robuś, skąd ty, dziecko, dzwonisz?

– Siedzę w szafie, ale to nieważne. Babcia odbiera maile?

– No jasne, jestem nowoczesną babcią! – odparła Barbara z wyraźnym poczuciem dumy.

– Wyślę babci maila. Coś znalazłem. Kto wie, może to się babci spodoba. Zużka mówi, że to uchroni babcię od zespołu depresyjnego.

– Na litość boską...

– Wiem, wiem, jak to brzmi. Ale niech babcia przeczyta tego maila. Tylko niech babcia nie mówi mamie, że to ode mnie.

Robuś rozłączył się, a Barbara wróciła do swoich spraw. Wieczorem w mieszkaniu uruchomiła laptop i ze zdumieniem czytała maila od wnuka. Kto wie, może faktycznie coś w tym jest? Może rzeczywiście jest szansa na zrobienie w życiu czegoś szalonego, czego nie robiło się nigdy dotąd, bo nie wypadało, nie było czasu, możliwości, okazji, bo dzieci, bo dom, bo problemy. Teraz swoje życie ma całkowicie dla siebie. Może nadszedł czas, żeby nieco... zaszaleć?

Agencja artystyczna ogłasza nabór na członków zespołu. Cóż, dobry humor mimo wszystko nigdy jej nie opuszczał, dystans do siebie ma, a wysokie zarobki nie są jej potrzebne. Nie siedziałaby sama w domu, skazana na połączenia telefoniczne z Aldoną i połączenia przez Skype'a z Krzysztofem. Krzysztof nota bene pomimo tylu lat mieszkania na antypodach do tej pory nie uświadamia sobie różnicy czasu między Europą a Australią i próbuje się połączyć o najdziwniejszych porach.

Casting drugiego października. A właśnie, że pójdzie! Ma już swoje lata, ale ciągle dużo sił i kto wie, może się im przydać. W jakiś sposób, nieważne jaki. Będzie znowu potrzebna. W końcu! W końcu będzie potrzebna. Jeśli ją zechcą. Tak czy inaczej trzeba spróbować. Agencja artystyczna, no, no...

5.

Październik, jakby chciał nadrobić straty w jesieni wyrządzone przez wrzesień, rozpoczął się porywistym wiatrem, deszczem i przyniósł ze sobą to, co rasowa jesień mieć powinna, może z wyjątkiem przenikliwego ziąbu, który zarezerwowano dla listopada. Liście nie tyle spadały z drzew, co brutalnie się z nimi rozstawały zupełnie wbrew własnej woli i żeglowały w przestrzeni miejskiej, z rozpaczą spoglądając ku oddalającym się drzewom. Jesień dopiero się rozkręcała, jeszcze nie pokazała pełni swoich możliwości. Zatrzymała sobie na potem sinostalowe chmury całymi dniami zalegające grubą warstwą nad miastem i nagie drzewa bezładnie rzucające na wszystkie strony gałęziami, jakby były marionetkami w rękach wichru sprawnie pociągającego za sznurki. To dopiero nadejdzie. Na razie nie było tak źle.

Był wieczór. W małym trzypokojowym mieszkaniu przy ulicy Młodych Techników Romeczek robił to, o co Elena prosiła, by nie robił tego nigdy, czyli palił papierosa, leżąc w łóżku. Jakby tak uczciwie spojrzeć, papieros mu się należał. Oboje mieli za sobą kompletnie zwariowany dzień, który zaczął się rano, w sali wynajętej za niewielkie pieniądze od rady osiedla Szczepin,

a zakończył przed chwilą zupełnie zwariowanym seksem, na który – tak jak Romeczek na papierosa – również sobie zasłużyli.

– Ale przyznasz, że najlepszy był facet z pytonem – zagadnął Romeczek, wypuszczając doskonale okrągłe kółka dymu.

– To był spory wąż. I rzeczywiście mógł to być pyton – odpowiedziała Elena, z powrotem wciągając na siebie koszulkę na ramiączkach.

– Kiedy przyszedł, połowa zainteresowanych od razu zapragnęła wyjść. Próbowali nawet przez okna. I nie zaprzęтали sobie głowy tym, by je najpierw otworzyć.

– Dobrze, że udało nam się sprzedać biżuterię lepiej, niż myśleliśmy. Zapłacimy za szyby. Pyton się nieco zestresował i wyglądał, jakby chciał za wszelką cenę przytulić się do swojego właściciela.

– No tak. Na dobrą sprawę właściciel też się wtedy zestresował. Chyba nie był w stanie przekazać takiej dawki wsparcia, jakiej zwierzę potrzebowało.

– Pisaliśmy, że szukamy wyłącznie kobiet, skąd więc znalazło się tylu mężczyzn? – zastanowiła się Elena.

– No wiesz, z reguły tak jest – odparł Romeczek tonem znawcy rynku pracy. – Człowiek myśli, że mimo wszystko spełni oczekiwania. W co myśmy się wpakowali?

– Daj spokój! Dobrze będzie – fuknęła Elena. – Wybraliśmy trzy kobiety, rozpoczynamy nowy rozdział w naszym życiu. A ty prezentowałeś się naprawdę dobrze.

Tak, Romeczek zgodził się z tym, wypuszczając kolejne kółka dymu. Naprawdę wypadł dobrze. Robił za wsparcie merytoryczne, siedział obok Eleny z poważną miną, prawie się nie odzywał. Wyglądał, co tu kryć, profesjonalnie. Jak – och, nie bójmy się tego stwierdzenia – wielki twórca. Na casting przyszło zaskakująco wielu ludzi, którzy przesuwali się przed nimi w pochodzie postaci zupełnie zwyczajnych, ale też kompletnych dziwaków.

– Dlaczego nie chciałaś wziąć tej z papugą? – zapytał po chwili ciszy.

- Z tą wielką arą?
- No tak.
- Papuga robiła wrażenie, ale była, hm, dość specyficzna.
- Jak to?
- Nie słyszałeś? Ach, wtedy akurat wyszedłeś na papierosa.

Elena mimowolnie uśmiechnęła się do tego wspomnienia. Do sali nieśmiało weszło śliczne, drobne blond dziewczę, uśmiechnęło się promiennie i dygnęło. Naprawdę dygnęło. Profesjonalnie jak pensjonarka. Na jej ramieniu siedziała wielka ara zielonoskrzydła. Dziewczyna przywitała się cichym i ciepłym głosem, po czym oznajmiła, że może się bardzo przydać jako atrakcja agencji i przyczynić się do jej, hm, rozpoznawalności właśnie z racji posiadania papugi. Bo papuga oprócz tego, że po prostu jest, to jeszcze z nią, blond dziewczyną, rozmawia. Jak to ara. Potrafi się też ładnie przedstawić.

- Przedstaw się pani, dzióbku – zachęciło dziewczę.

Papuga wyprostowała się, odchyliła skrzydła, jakby chciała w płuca nabrać jak najwięcej powietrza, po czym ryknęła straszliwym głosem:

- Ja pierrrrrrrrrdole! Kurrrrrrrwa mać!

Dziewczyna speszona opuściła pomieszczenie szybciej, niż weszła, przepaszając za niewyparzony język swojej pupilki i zapewniając, że nie ma pojęcia, kto ją tego nauczył. To znaczy ma, bo może to być jej eks, jeszcze niedawno nie-eks, bo właśnie się z nim rozstała. Rozmówi się z nim, a tymczasem przepasza i do widzenia. Nawet jak zamknęła za sobą drzwi, słychać było energiczne i donośne:

- Masakrrrrrrra! Tam do chuja!

Elena jeszcze długo dusiła się ze śmiechu. Teraz to Romeczek trząsał się, leżąc w pościeli. Otarł łzy, zaciągnął się papierosem, ponownie puścił profesjonalne kółko dymu. Westchnął.

- No to jak to sobie teraz wyobrażasz, pani dyrektor?
- W naszym trzecim pokoju zrobimy biuro, miejsce prób, spotkań i tak dalej. Tak, jak ustaliliśmy.

– No ale ja pytam co dalej z tymi kobietami, które wybraliśmy. Właściwie ty wybrałaś.

– No cóż, jutro lub pojutrze się z nimi skontaktuję i powiem im co i jak. Spotkamy się u nas za tydzień. W międzyczasie roześle się wici tu i tam, że agencja artystyczna działa i oferuje swoje wszechstronne usługi. A ty będziesz miał wielką rolę do odegrania, mój ty twórco. I odłóż, do diabła, tego papierosa, mam ochotę cię mocno pocałować.

– Co? Jeszcze raz? – zdziwił się Romeczek.

– Jeszcze raz. Masz coś przeciwko?

– W życiu!

W ciągu następnych chwil nie padło ani jedno słowo, choć komunikacja trwała nadal. Zmieniła się jedynie z werbalnej na mowę ciała. Mowa ta rozbrzmiewała raz po raz cokolwiek głośno i z pewnością ekstatycznie.

6.

Marta odłożyła telefon na stół, a jej oczy nadal prezentowały wzorcowy wytrzeszcz. W kuchni mieszkania przy Rydygiera panowała cisza przerywana tylko rytmicznymi jęknięciami sprężyn wersalki w pokoju Anki. Jęknięcia rozlegały się już od dłuższego czasu, co bardzo dobrze świadczyło o kondycji fizycznej Mareczka. Chwilę później sprężyny przyspieszyły, a potem wszystko się urwało. Parę minut później Marek wyszedł z pokoju i ruszył w kierunku mikrołazienki. Anka leniwie wtoczyła się do kuchni. Spojrzała na przyjaciółkę i zatrzymała się w progu.

– Jezu, jak ty wyglądasz! Coś się stało?

– Nie, skąd. To znaczy tak, stało się. Wreszcie się stało.

– Coś strasznego? Bo wyglądasz, jakbyś gałki oczne miała niedopasowane wielkością do oczodołów.

– Nie, nie. Pamiętasz, jak mówiłam ci o tym castingu i że na niego pójdę? Wiesz, ta agencja artystyczna.

– No, coś tam było, faktycznie – Anka jakby lekko się spięła. – I co z tym?

Marta wpatrywała się w Ankę i milczała, jakby była wulkanem przygotowującym się do erupcji.

– No wyrzuc to z siebie – uśmiechnęła się przyjaciółka.

– Przyjęli mnie – wyrzuciła z siebie Marta i uśmiechnęła się promiennie.

Anka pisnęła i zaklaskała w dłonie.

– Wybacz, że to powiem, ale już nie wierzyłam, że ci się uda.

– Ja sama nie wierzyłam. Ale jednak. Przed chwilą dzwoniła babka z tej agencji, że chcą zaproponować mi współpracę.

Anka znów pisnęła i podskoczyła parę razy.

– Co to za wrzaski? – Marek wszedł do kuchni z miną wielkiego zadowolenia z porządnie wykonanego zadania.

– Marta znalazła pracę, o jaką jej chodziło. Musimy to oblać!

Marek krytycznie obrzucił Martę spojrzeniem od stóp do głów, zatrzymując wzrok na jej kruczoczarnych włosach do pasa, a potem na kształtnych biodrach; nieco dłużej niż mieściło się to w granicach przyzwoitości.

– A co to za praca?

– Przyjęli mnie do agencji artystycznej – poinformowała Marta, uciekając wzrokiem.

– Iiii. Czyli zabawa. Już myślałem, że chodzi o taką normalną pracę – Marek prychnął lekceważąco.

– To JEST normalna praca – syknęła Marta. – Nie zawsze trzeba stać za ladą, żeby nazywało się to pracą.

– No tak, ale ty to w ogóle błędzisz w chmurach i wymyślasz cuda-wianki.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – oburzyła się Marta. – Wreszcie mam okazję robić to, co chciałam robić.

– Tak? A co to za agencja? – spytał z przekąsem Marek.

– No normalna. Artystyczna.

– A jak się nazywa?

– Nie wiem, jak się nazywa, nie podali. A to ważne?

– No raczej! – prychnął Marek. – Jakaś agencja, nie wiadomo jaka i skąd, zatrudnia ludzi bez doświadczenia, w dodatku kobiety i to młode – tu znacząco prześliznął się wzrokiem po Marcie od stóp do głów – to na co to wygląda, co? No na co?

– To nie jest tak, jak myślisz – zaprotestowała Marta, która wreszcie zrozumiała, co chłopak Anki ma na myśli, a ziarno wątpliwości zasiane w jej duszy właśnie puściło pierwszy korzonek. – Musiałbyś ich zobaczyć, to normalni ludzie.

– Tja... Otrzeźwiej, dziewczyno, i weź się za coś. Nie masz szans.

– Zobaczę, czy nie mam szans. Jeśli rzeczywiście nie mam, wrócę do Kłodzka. Powiedzmy, że to ostatnie podejście.

– A jak ty to pogodzisz z pracą? Odejdiesz z contact center? – zainteresowała się Anka.

– No, nie, na pewno nie w tej chwili – stropiła się Marta. – Nie wiem, coś wymyślę. Mam elastyczny grafik, można się dogadywać z ludźmi, jakoś to będzie.

– Zobaczymy – Marek pozostał sceptyczny. – Zgłodniałem. – Przeciągnął się i ziewnął. – Skoczmy coś zjeść?

Skoczyli. I to we trójkę. Bo różnice zdań swoją drogą, ale jeśli jest okazja poświętować, nawet jeśli przedmiot świętowania wydaje się na to nie zasługiwać, to mimo wszystko warto skorzystać.

7.

W przedpokoju rozległ się przytłumiony rumor, a następnie klucz dopasował się do zamka i drzwi się otworzyły. Chwilę później Bartłomiej Goryczka zajrzał do salonu.

– No cześć. Przyjechałem po resztę rzeczy.

Dorota oderwała się od pracy, podniosła wzrok znad monitora, spojrzała na boskiego Bartiego, a następnie w jednej chwili bardzo sprawnie rozerwała jego wysportowane ciało na strzępy, a zwłoki rzuciła beapańskim psom na pożarcie.

Przynajmniej w wyobraźni.

Bartłomiej, na którym brutalne morderstwo nie zostawiło najmniejszych śladów, jak gdyby nigdy nic otworzył szafę, położył przy niej dużą, sportową torbę i pogwizdując (co za cham!), przekładał do niej to, co jeszcze zostało z jego garderoby. Części przyglądał się krytycznie i odwieszał z powrotem.

– Nie będę brał wszystkich, niektórych i tak miałem się pozbyć – wyjaśnił. – Możesz je wyrzucić albo oddać do PCK. Kupiłem sobie nowe. Człowiek przecież musi jakoś wyglądać.

Dorota poczuła, że jeszcze trochę, a zacznie toczyć pianę z pyska, czego boski Barti w żadnym wypadku nie mógł zobaczyć, bo to oznaczałoby jego zwycięstwo, a jej wizerunkową katastrofę. Opanowała się więc, przekonała siebie samą, że jest spokojna jak Ocean Spokojny skutym podbiegunowym lodem, i odetchnęła głęboko.

– Zaraz, zaraz. To JA mam odnosić TWOJE rzeczy na PCK?

– No tak, przecież kontener masz blisko. Tu przy ulicy stoi – odpowiedział, nie patrząc na nią i nie przerywając pakowania.

– A ty nie możesz tego zrobić?

– Och, widzisz, ja nie mam czasu. Jestem dzisiaj umówiony i zaraz – tu spojrzął na zegarek Seiko, który zupełnie nie wyglądał na swoje dziewięć tysięcy złotych – dosłownie za parę minut muszę wychodzić. Zresztą Jowitka na mnie czeka i chciała, żebym był punktualnie o siedemnastej, bo razem wychodzimy.

Podbiegunowy lód na Oceanie Spokojnym rozpaczliwie walczył z nagłą falą globalnego ocieplenia. To niemożliwe, żeby Barti był aż takim zimnym draniem! Chociaż nie, możliwe. Ostatecznie zmajstrował jej dzieciaka, a następnie ją zostawił.

Pogwizdywanie Bartłomieja Goryczki gdzieś przy okazji pakowania niektórych książek przeszło w nucenie pod nosem. Najwyraźniej dopisywał mu dobry humor. O nogi Doroty otarł się kot.

– Słuchaj, to może weź też Dedlajna.

Bartłomiej gwałtownie się odwrócił.

– Dedlajna? Tego Dedlajna? – wskazał kota palcem, a ten odwzajemnił mu się spojrzeniem niosącym zagładę i zniszczenie.

– Innego nie ma.

– Nie lubisz swojego kota?

Oczywiście, że lubiła, nawet kochała szaleńczo i rozpieszczała do granic przyzwoitości, chciała jednak przetestować Bartiego i wydobyć z niego na światło dzienne to, czego sobie nie uświadamiał. Jego bezczelność i egoizm.

– Nie, nie, to nie wchodzi w grę – ciągnął, nie czekając na jej

odpowieź. – Nie ma takiej opcji. Jowitka stanowczo nie chce żadnych zwierząt.

– Nie lubi zwierząt?

– Och, kocha zwierzęta! To cudowna kobieta, ale plany mamy inne i zwierzęta nie wchodzą w grę. Jowitka sobie nie życzy. Zresztą to twój kot i on zawsze uznawał tylko ciebie.

No tak, trzeba było choć raz go nakarmić, być może sprawa rysowała się inaczej. Dorota nagle zapragnęła ujrzeć Jowitkę na własne oczy, a następnie zamordować w jakiś wymyślny i bardzo bolesny sposób. Niestety w tym momencie nie przychodziło jej do głowy nic ciekawszego niż sprawne poderżnięcie gardła jednorazową maszynką do golenia.

– Mam więc na głowie wyrzucenie twoich koszul i majtek oraz kota. Przy czym kota nie wyrzucam. Wiesz, nie mogę tego zrozumieć. Przecież jestem w ciąży, do diabła! Nie możesz się zachowywać tak, jakby ciąży w ogóle nie było!

Bartłomiej Goryczka wyprostował się na całą wysokość swojego pięknego, wysportowanego ciała, przyodzianego w T-shirt od Ralph Lauren oraz markową marynarkę od Hugo Bossa.

– O nie, moja droga, nie uderzaj w te tony. Twoja ciąża to twoja prywatna sprawa. Brzuch należy do kobiety, czyż nie?

– To nie było niepokalane poczęcie – wysyczała przez zęby.

– Ja nie chciałem tego dziecka. Pewnie, teraz to moja wina! Zawsze jest wina mężczyzny, bo facet to świnia. Jest coś takiego jak antykoncepcja. Dlaczego się nie zabezpieczyłaś?

– Ty też tego nie zrobiłaś.

– Ach, i teraz będziemy tak przerzucać się argumentami? Ta dyskusja kompletnie nie ma sensu i do niczego nie prowadzi. Odszedłem, bo chcę być uczciwy i w zgodzie z samym sobą. Kocham Jowitkę, chcemy być razem i żadna ciąża tego nie zmieni. Więc może skończmy te żalosne zapasy w kisielu.

Dorota uznała, że niezależnie od wszystkiego w tym ostatnim punkcie Barti ma rację. Nie ma sensu dyskutować. Zresztą czy ona naprawdę chciałaby, żeby do niej wrócił? Po tym wszystkim, co się

wydarzyło? Czy udałoby im się zbudować na nowo związek, który wydawał się niby taki szczęśliwy? Czy po Jowitce nie pojawiłaby się potem Zosieńka lub Anetka czy inna Matylda? Całkiem możliwe. Drań pozostanie draniem. A ona, jeśli ma do wyboru życie z draniem lub bez niego, to mimo wszystko woli bez. Zresztą, jeśli tak się zastanowić: czy ona czuje do niego coś jeszcze poza nienawiścią?

Przez chwilę panowało milczenie.

– Nie, Bartek, ja nie będę twoich rzeczy wyrzucać i chodzić gdzieś z torbami, bo zwyczajnie nie mam na to siły. Ty powinieneś to zrobić. Nie zrobisz, trudno. Nie przeszkadzają mi, niech wiszą, mam to gdzieś.

– No i dobrze – zgodził się Bartłomiej, z wyraźną ulgą rejestrując koniec batalii.

– No to jakie masz plany? Bo coś o wspólnych planach wspomniałeś. Żenisz się?

Bartłomiej Goryczka gwałtownie zakasłał.

– Co takiego? Ty jak coś wymyślisz! Skąd, nie chodzi o żadne śluby! W ogóle z Jowitką o tym nie rozmawiamy! Jedziemy na zaległe wakacje, zebrało się nam tego urlopu. Najpierw do Indonezji na trzy tygodnie, bo wiesz, tam nie ma sensu jechać na krócej, rozumiesz. Potem dwa tygodnie przerwy, a potem na tydzień na Karaiby. Tak po świecie nas trochę ponosi, rozumiesz. Uprzedzam twoje pytanie – mam sporo pieniędzy, spokojna głowa.

– Z pensji pracownika urzędu miasta? I ja o tym nie wiedziałam?

Bartłomiej Goryczka uśmiechnął się nieco tajemniczo.

– Pracuję na stanowisku kierowniczym, nie zapominaj. A poza tym jestem zaradny, umiem ogarnąć finanse. I tyle.

No tak. Umie ogarnąć. I tyle.

– A twoje plany? Tylko wiesz, chodzi mi o...

– Tak, tak, o zawodowe. Nie o ciążę, pamiętam. Jak widzisz, pracuję.

– Tłumaczenia to raczej takie nudne są, nie uważasz?

– Nie uważam. – W Dorocie na powrót wezbrała wściekłość. – Poza tym postanowiłam zrobić coś zupełnie szalonego i zaczęłam też pracę w agencji artystycznej.

Boski Barti wybuchnął gromkim śmiechem, a śmiał się tak głośno i tak długo, że Dedlajn musiał wyrazić swoją krańcową dezaprobatę dla tego typu zachowań, nonszalanckim krokiem udając się do kuchni z ogonem uniesionym wysoko do góry. Był to w jego przypadku koci odpowiednik obraźliwego gestu z użyciem środkowego palca.

– Co cię niby tak bawi?

– Nie no, ty to postrzelona jesteś. Agencja artystyczna! Co ty tam będziesz robić, tańczyć na rurze? – Otarł łzę z oka.

– Agencja artystyczna, nie towarzyska, durniu.

Bartłomiej spoważniał.

– Dobra, koniec tej zabawy, czas na mnie. Rób sobie, co chcesz. Podobno kobiety w ciąży bywają nieobliczalne. Dobrze, że Jowitka nigdy na takie pomysły nie wpadnie. Marnie to wszystko widzę, jeśli chcesz znać moje zdanie, ale pewnie nie chcesz. Idę, czekają na mnie. To cześć!

Zabrał dwie wyładowane torby i wyszedł. Dorota ponownie dokonała krwawego mordy i ponownie dopuściła się zbezczeszczenia zwłok swojego eks. Trochę jej to pomogło, ale nie do tego stopnia, jak tego oczekiwała. Odłożyła laptop, podeszła do okna i utkwiała spojrzenie w masywnej sylwetce supernowoczesnego wieżowca Sky Tower znajdującego się po drugiej stronie ulicy, niemal naprzeciw okien w jej galeriowcu.

Ależ dała się złapać! Wyszła na kompletną kretynkę! Trzeba było się nie odzywać, ale nie, ona miała fantazję, by wydobyć jego draństwo na powierzchnię. Mogła nie kopać i nie drażyć. Durna jest, Boże, jaka durna! Teraz nie pozostaje jej już nic innego niż udowodnić mu, że się pomylił. Zamierza zawojować świat. Tak, właśnie, że zawojuje! Agencja artystyczna, czymkolwiek ona jest, bo w gruncie rzeczy nie wiadomo, okaże się fantastycznym pomysłem. Dzięki niej będzie mogła oderwać się od nieciekawie wyglądającej rzeczywistości, zacząć nowe życie. Pozna nowych ludzi, zyska

dodatkowe perspektywy, a przede wszystkim zatraci się do tego stopnia, że nie pozostanie ani sekundy czasu na dołujące myśli. Tak, będzie świetnie, do jasnej cholery, i ona mu to udowodni, a co!

To postanowiwszy, rozdzierająco zaszlochała. Budynek Sky Tower za oknem trwał zupełnie nieporuszony.

8.

Nieoczekiwany konflikt nuklearny w Europie zachodniej z pewnością nie wywołałby takiego zamieszania jak odpowiedź Barbary na pytanie „co będziesz teraz robić?” zadane przez jej córkę, Aldonę. Na dobrą sprawę to niezwykle dziwne, że zaraz potem nie upadł żaden rząd, nie nastąpiło masowe wymieranie gatunków, wizyta przyjacielskiej cywilizacji pozaziemskiej, eksplozja słońca lub jeszcze coś w podobnym charakterze.

– Ależ kochanie, przecież sama powiedziałaś, że dobrze by było, żebym się czymś zajęła po tej nieoczekiwanej stracie – zupełnie spokojnie tłumaczyła Barbara, a następnie szybko odsunęła słuchawkę od ucha, ponieważ nastąpiła wzmożona inwazja decybeli wściekle atakujących przez głośnik komórki.

– Skąd miałam informację? No, znalazłam. W internecie. Tak, tak po prostu. To może być ciekawe i twórcze zajęcie, a ja mam dużo czasu.

Fale dźwiękowe napierały na biedną membranę, która broniła się jeszcze ostatkiem sił, ale bliska była wywieszenia białej flagi.

– Ależ Aldonko, co ci przyszło do głowy? Na jakiej rurze? To są

normalne usługi, nie burdel! Zresztą byłabym już na to za stara, nie sądzisz? – Barbara nie mogła sobie darować tej nutki sarkazmu, choć doskonale wiedziała, że córka nie podzieli jej poczucia humoru.

Faktycznie, nie podzieliła.

– No ja nie wiem, mamó – Aldona sapiała jeszcze jak parowóz, ale udało jej się przemówić nieco spokojniej. – Inne staruszki... no, pardon, pardon, nie staruszki, dobrze. Inne kobiety na emeryturze zajmują się czymś normalnym. Czytają, robią na drutach sweterki dla wnuków, chodzą do kościoła i na działkę. Wiem, że nie masz działki, wiem. Mogę ci kupić. Co? Dlaczego nie chcesz? Działki nie chcesz? Nie lubisz?! Całe życie cię znam, a teraz normalnie jakbym rozmawiała z nowo poznanym człowiekiem. Nie miałam pojęcia, że nie lubisz ogródków!

– Nie cierpię ogródków – podkreśliła Barbara, pysznie się zresztą bawiąc. – Chcę pracować w agencji. To takie nowoczesne. No i modne!

Aldona jęknęła przeciągle.

– Mamó, błagam, zrobisz z siebie wariatkę! Czy opinia innych się dla ciebie nie liczy?

– Szczerze mówiąc ani trochę. I nie widzę niczego nienormalnego na przykład w organizowaniu urodzin dla dzieci.

– Obawiam się, że tu będzie chodzić o nieco inne urodziny. Mamó, błagam, wróć do normalności!

– Normalność, normalność! – zirytowała się wreszcie Barbara. – A co to jest ta normalność? Gdzie ona się zaczyna i gdzie kończy? Bądź normalna, wszyscy mówią, ale ja nie chcę zwyczajności i normalności! Całe życie byłam normalna i przewidywalna, na starość mam ochotę na odrobinę szaleństwa. Życie to jeden wielki kabaret, moje dziecko, a ja mam ochotę zagrać w nim jeszcze jakąś niezłą rolę.

– Mamó, masz siedemdziesiąt lat!

– No i co z tego? Do setki mam jeszcze trzydzieści! Czuję się na czterdzieści pięć. Czy szczypta szaleństwa jest zarezerwowana wyłącznie dla młodych?

– Brawo, babcia! – rozległo się wołanie z tyłu.

– O widzisz, Robuś mnie popiera. To znaczy, że rozmawiamy na głośnomówiącym.

– O cholera, faktycznie. A ty się zamknij i nie wtrącaj – Aldona zwróciła się ostro do syna.

Barbara zachichotała.

– Jacques! – zawołała nagle jej córka.

– *Oui?* – Jacques wystawił głowę z kuchni i zaszeleścił odkładanym na bok kwartalnikiem medycznym.

– Jacques, powiedz coś, do licha! To w końcu też twoja matka, chociaż teściowa!

Jacques zrobił minę tak zrozpaczoną, jakby z bólem serca musiał przekazać najsmutniejszą wiadomość stulecia.

– *Je ne comprends pas, ma chérie.*

– Jak to *ne comprends!* Znowu *ne comprends?* Ty *comprends*, kiedy masz na to ochotę! Wypowiedz się, do licha, wesprzyj mnie. Jesteś lekarzem!

– Z medycznego punktu widzenia powinniśmy zachować spokój – wtrąciła Zuzia tonem tak obojętnym i monotonnym, jakby referowała instrukcję obsługi kosiarki. – Organizm zawsze dąży do równowagi i stabilizacji.

To rzekłszy, zajrzała do kuchni, wzięła kwartalnik medyczny z rąk ojca i momentalnie zagłębiła się w lekturze, jednocześnie bezbłędnie zmierzając w stronę kanapy, kierowana najwyraźniej wrodzoną umiejętnością echolokacji.

– Chyba zrobię jakiegoś mema – gdzieś z oddali zawołał Robuś prezentujący wybitnie dobry humor. – O, może być na przykład taki: „To uczucie, kiedy twoja babcia tańczy kankana”. Albo: „To uczucie, kiedy z tortu wyskakuje twoja własna babcia”.

– Obyś był złym prorokiem, synu – spuentowała Aldona.

Odłożywszy słuchawkę, Barbara westchnęła. No, wiedzą. Najważniejsze ma już za sobą. Teraz będą się musieli po prostu przyzwyczaić. Aldona zawsze taka porywcza była, ale w gruncie

rzeczy ma dobre serce i chce dla innych jak najlepiej. Czasem po prostu nie przyjdzie jej do głowy, że nie ma monopolu na słuszne rozwiązania. Inne pomysły na życie też mogą być ciekawe, a Barbara, prawdę mówiąc, nie może się już doczekać swojego pierwszego dnia w nowej pracy. Na pewno będzie ciekawie! Zaraz, zaraz, chyba w dobrym tonie by było, gdyby upiekła ciasto. O, to jest myśl, takie słodkie rozpoczęcie. Trzeba przejrzeć przepisy i zdecydować, który będzie najlepszy.

Jak postanowiła, tak zrobiła. Smutek po niedawnym pogrzebie małżonka, który być może wygrałby konkurs na najbardziej kiepskiego męża wszech czasów, powoli rozpływał się w perspektywie cukru i wanilii.

9.

Smak ciasta był wprost proporcjonalny do jego zapachu, a zapach ogarniał, zniewalał i brał w całkowite posiadanie tak umiejętnie, że człowiek nawet nie myślał, żeby się wyzwolić. Wprost przeciwnie, życzył sobie, by go spętano jeszcze mocniej. Pomysł Barbary na przełamanie lodów okazał się strzałem w dziesiątkę, bo atmosfery nawet w najbardziej optymistycznej wersji nie można było nazwać wyluzowaną. Pięć osób siedziało w przerobionym na biuro niewielkim pokoju przy ulicy Młodych Techników i nie wiedziało, gdzie podziąć ręce i oczy. Napięcie i niepewność wisiały w powietrzu tak niestabilnie, że można by było pstryknąć palcami, by lunął deszcz emocji, a towarzystwo rozbiegło się na cztery strony świata.

Na szczęście jednak było ciasto, idealny element spajający, dzięki któremu spotkanie miało w ogóle szansę przejść w jakąś inną fazę niż początkowe „dzień dobry”. Barbara gratulowała sobie wyboru. Nieprzyzwoicie pulchna drożdżówka ozdobiona himalajami słodziutkiej kruszonki, chowająca w swym wnętrzu skarby w postaci wiśni (pomysł ze zrobieniem ich w tamtym roku do słoików zasługiwał na Nobla!), rzucała na kolana. Kawalki znikwały jeden po drugim, co jakiś czas popijane kawą lub herbatą, którą

Elena z Romeczkiem zaserwowali uczestniczkom spotkania.

– No więc, ekhm – Elena w końcu zebrała się w sobie. – Cieszę się, że mogliśmy... mogliśmy, bo oczywiście jest z nami mężczyzna, cieszę się więc, że mogliśmy się spotkać i tym samym zainaugurować działalność naszej agencji artystycznej. Dobrze będzie, jeśli poznamy się bliżej. Jak panie wiedzą, nazywam się Elena Wołodymierewna Rusłan, pochodzę z Ukrainy i będę, ekhm, osobą, ekhm, zarządzającą agencją.

– Kierowniczką – wtrąciła Dorota.

– No tak – nieśmiało uśmiechnęła się speszona Elena. – Nazwijmy mnie kierowniczką. Obok mnie siedzi Roman Słowacki, którego panie też już odrobinę poznały – wskazała na Romeczka, a ten podniósł się z krzesła i teatralnie uklonił. – Romeczek... to znaczy Roman będzie naszą duszą artystyczną, wsparciem merytorycznym i do niego będzie należało przygotowanie naszych działań od strony, ekhm, literackiej i technicznej. Roman jest twórcą tekstów, a także, ekhm, poetą i pisarzem z ogromnym potencjałem.

– Przepraszam najmocniej, czy pan jest z TYCH Słowackich? – wtrąciła zaciekawiona Barbara i by dodać drobnemu blondynowi odwagi, podsunęła mu pod nos kolejny kawałek ciasta, które on w mgnieniu oka przełożył na swój talerzyk.

– Yyy, no, ten tego, nie, niestety nie z tych. Ale nazwisko zobowiązuje – zadeklarował ambitnie Romeczek i niepewnie łypnął na Barbarę, za co ta obdarzyła go uśmiechem, który mógłby wieczną zmarzlinę Syberii roztopić na skwarki.

Dorota zastanowiła się i stwierdziła, że jak żyje, nie słyszała o Romanie Słowackim. I być może faktycznie dysponuje on potężnym potencjałem, póki co jednak nie przełożył się on na sławę. No cóż, poczekamy, zobaczymy.

– Oczywiście w pracach agencji i w wydarzeniach, które będziemy prowadzić, uczestniczyć będziemy wszyscy. Każdy z nas będzie miał jakąś działkę do wykonania – ciągnęła Elena.

– A czy może pani jakoś bliżej powiedzieć, co to będą za działania? – zapytała Marta, która uznała, że najwyższy czas ustalić rzeczy

najważniejsze.

– Zanim pani Elena odpowie – wtrąciła Dorota – mam propozycję. Grono jest, jak widać, kameralne, współpraca będzie bliska... Mówmy sobie na ty.

Wszyscy chętnie się zgodzili. Oponowała jedynie Marta, która wyznała, unikając spojrzeń, że czułaby się niezręcznie „tykając” Barbarę. Innych tykać może, nie ma sprawy.

– Moje dziecko, jeśli wolisz, zwracaj się do mnie „pani Basiu”. Może być? – uśmiechnęła się do niej Barbara, która zdecydowała się rozsiewać pozytywne fluidy na prawo i lewo, jakby dysponowała sikawką podłączoną do hydrantu z dobrym humorem.

– O, tak, dziękuję bardzo. Tak jest, pani Basiu – Marcie wyraźnie ulżyło.

Pomyślała sobie nawet przez chwilę, że co prawda trafiła chyba na jakąś inną planetę, ale może nie wszystkie zamieszkujące ją organizmy wydają się dziwaczne.

– No więc – ciągnęła Elena – będziemy zajmowali się czymś, co mogę określić jako wydarzenie artystyczne przełożone na praktyczne działanie. Nadamy naszym talentom i możliwościom wymiar taki... bardziej użytkowy. Będziemy organizować urodziny dla dzieci i dorosłych, zapewnimy oprawę szkolnych dyskotek czy też eventów odbywających się w różnych firmach, korporacjach. Jeśli ktoś będzie potrzebował niestandardowych działań wpisujących się w szeroko pojętą kulturę, ekhm, użytkową, to właśnie znajdzie nas. To będzie wymagać od nas kreatywności, elastyczności, zgody na znalezienie się w nietypowych rolach i sytuacjach...

– Czyli istnieje prawdopodobieństwo, że przeberzemy się na przykład za pszczołki? – przerwała jej Marta.

Dorota oczyma wyobraźni ujrzała siebie jako ciężarną pszczołkę z wielkim brzuchem, który dodatkowo podkreśla obcisła sukienka w żółto-czarne pasy, ze skrzydełkami przyczepionymi do pleców i czólkami zamocowanymi na głowie, prowadzącą konferansjerkę na ewencie sprzedażowym w dużym banku. Momentalnie wymazała ten obraz i na wszelki wypadek znów sięgnęła po ciasto. Nie ma co,

oprócz tego, że pieściło podniebienie, to dziwnym trafem wprowadzało też spokój do serca.

– Oczywiście – roześmiała się Elena. – Za pszczołki czy za księżniczki. Za wampiry. Zależnie od tego, jakie będą oczekiwania naszych klientów.

– Jeśli mogę coś powiedzieć... – zabrała głos Barbara, a towarzystwo skupiło na niej wzrok – myślę, że nie brakuje nam wszystkim, jak tutaj siedzimy, dystansu do siebie, na pewno sprawdzimy się w różnych rolach, które Romeczek, przepraszam, ale ja po prostu muszę mówić do ciebie Romeczek, Roman jakoś nie bardzo mi pasuje... O czym to ja? Aha, które Romeczek nam przypisze zgodnie ze swoją artystyczną wizją. Brakuje nam jednak czegoś istotnego – zamilkła, a wszyscy wstrzymali oddech. – Nazwy. Nikt dotąd nie wspomniał o nazwie. Coś mi umknęło?

Cztery pozostałe osoby poprawiły się na swoich siedzeniach i zaczęły ponownie oddychać.

– To jest właśnie to, do czego chciałam teraz dojść – zgodziła się Elena. – Chciałabym, żebyśmy po raz pierwszy zrobili coś wspólnie. Nasze pierwsze zadanie. Zróbmy burzę mózgów.

Dorota i Marta wymieniły niepewne spojrzenia, Romeczek jakby się zestresował, tylko Barbara promieniała z każdą minutą coraz bardziej i bardziej. Nikt jednak nie kwapił się, by wystąpić z pierwszym pomysłem.

– To może ja zacznę. Co myślicie o „My, babki”? – zaproponował Romeczek.

– Babki nie do wszystkich pasują. Ty nie jesteś babką. O Basi też ciężko powiedzieć babka – zripostowała Dorota.

– Babeczki. Babeczki z rodzynkiem – rzuciła Marta.

– Zdecydowanie nie, tak już się nazywa pewien kabaret. Nie możemy ich małpować – odparł Roman.

– No to może... Dziewczynki do wszystkiego – rzuciła Marta.

– Och, to może zostać zbyt szeroko zrozumiane. Szerzej niżbyśmy sobie tego życzyły – roześmiała się Elena.

– Skoro jest tutaj Romek, to może Aniołki Romeczka – prychnęła śmiechem Dorota.

– Nie umiemy strzelać, a przynajmniej ja nie umiem – z miejsca zaprotestował Romeczek.

– Z tymi aniołkami to może być jednak dobry trop – upierała się Dorota. – Może nie aniołki, tylko bez zdrobnienia: anioły. Bo wiecie, anioł nie kobieta, anioł ochroni, zadba, załatwi, przeprowadzi, ogólnie gość od czarnej roboty, ale robi to tak, żeby wszystko było cacy. I dobrze się kojarzy.

– Anioły do wszystkiego? – rzuciła Elena.

– Nie, od wszystkiego też nie są – zmarszczyła nos Dorota. – Anioł się ceni.

Przez chwilę panowała cisza, wszyscy się zamyślili.

– Do wynajęcia – odezwała się nagle Barbara.

– Ale że co? – podniosła głowę Elena.

– Anioły. Anioły do wynajęcia, to może być nasza nazwa – Barbara najwyraźniej była z siebie zadowolona.

– Rzeczy niemożliwe robimy od ręki, na cuda trzeba troszeczkę zaczekać – klasnął w dłonie Romeczek. – Ja to kupuję! Kto myśli podobnie?

Wszyscy się zgodzili, a Dorota dodała, że pierwszym popisowym numerem anielicy Basi było jej ciasto. Było, niestety, bo już wszystkie kawałki zostały pochłonięte. Barbara odparła, że już od samych komplementów mogą wyrosnąć skrzydła. Atmosfera z napiętej nagle stała się rodzinna i zaczęto toczyć rozmowy o wszystkim i o niczym, jak to zwykle bywa między znajomymi. Luźne elementy układanki tak jakby wreszcie trafiły na właściwe miejsca i tym samym grupa poczuła się zespołem, a nie przypadkowym zbiorem pojedynczych klocków umieszczonych w tym samym worku.

Kilka godzin później, wieczorem, Elena leżała przy Romeczku i zastanawiała się, w co też najlepszego się wkopała.

Przedsięwzięcie wydało jej się teraz o wiele trudniejsze niż jeszcze tydzień wcześniej. Prawdę mówiąc, miała ochotę uciec z wrzaskiem, czego rzecz jasna zrobić nie mogła, ponieważ wszystkim innym wydawała się osobą ogarniającą rzeczywistość i mającą całość pod kontrolą. Ach, gdyby tylko wiedzieli, jak bardzo się mylą. Mój Boże, czy nie mogła wymyślić czegoś o wiele mniej szalonego? Skoczyła na głęboką wodę i dopiero po fakcie przypomniało jej się, że nie umie pływać. To ryzykanckie podejście do życia kiedyś ją zabije, to pewne. Dobrze, że mimo wszystko udało się ustalić podział zadań oraz jako taki plan działania. Tylko jak to wszystko się potoczy? Westchnęła głęboko i postanowiła zastosować starą, wypróbowaną metodę Scarlett O'Hary – pomyśli o tym jutro.

Romeczek leżał koło Eleny i myślał sobie, że nie doceniał swojej ukochanej. Co za trzeźwo patrząca na świat kobieta! Taka zorganizowana, wszystko ma pod kontrolą i ogarnia rzeczywistość. Kiedy on się gubił i nie miał pojęcia, co powiedzieć ani jak zadziałać, kiedy wydawało się, że pierwsze spotkanie pracowników nowej firmy rozłazi się w szwach, ona zbierała wszystko do kupy i poprowadziła całe towarzystwo nową ścieżką. Nową dla nich, bo ona sprawiała wrażenie, jakby wszystko miała już wcześniej przetrenowane. Tak, tak, to będzie wielka sprawa. To znaczy, obiektywnie patrząc, jest to również kompletne wariactwo i aż dziwne, że nie wymyśliła czegoś o wiele mniej szalonego. Postanowiła od zera stworzyć firmę i zacząć działać z zupełnie obcymi osobami. Choć jak im się tak bliżej przyjrzeć, jakoś nie wydają się obce. Wprost przeciwnie, jakby całą drużyną znali się od przedszkola i razem obsiadali wszystkie okoliczne trzepaki na Szczepinie (łącznie z Basią, a co). Tak, bez dwóch zdań rozpoczyna się wielka przygoda. Właściwie to wszystko mogłoby się okazać inspiracją do... do... do czego? Ech, późno już strasznie, pomyśli o tym jutro. W każdym razie do czegoś przez duże „C”.

Dorota leżała w łóżku i odruchowo głaskała Dedlajna, który całym swoim kocim cielskiem rozwalął się tak, jak tylko mógł najbardziej, pozostawiając swojej służbie skromny kawałek mebla i jeszcze skromniejszą część kołdry. Ale numer. Chciała zrobić coś szalonego, to ma. Chciała nie myśleć o ciąży, proszę uprzejmie, z tymi świrusami uda się to wybornie. Właściwie to nawet nie wiadomo,

o czym myśleć, takie to wszystko jest dziwne. Już na castingu zrobiło się ciekawie wśród wszystkich tych ludzi oderwanych od rzeczywistości (facet z węzłem i blond dziewczę z papugą rozwalili system), a potem pierwsze spotkanie pracowników utwierdziło ją w przekonaniu, że wkopała się w coś kompletnie szalonego, w jakąś *idée fixe*, radośnie wskoczyła w spadającą lawinę i teraz poleciała niesiona siłą grawitacji, coraz szybciej i szybciej. Przecież ci ludzie w ogóle nie mieli pojęcia, za co się zabierają! To znaczy nie, wróć. Ona miała. Elena wydała się najbardziej zorganizowaną istotą w tym całym ludzkim bałaganie i ona jedna ogarniała sytuację. Jak to dobrze, że przynajmniej ona wie, co robi. Sprawiała wrażenie, jakby realizowała z góry ustalony plan. Kompletnie odrealniony i szalony plan, ale jednak, no, zaplanowany. Właściwie to w pierwszej chwili Dorota miała ochotę zabrać się i opuścić ten cały cyrk, kiedy już okazało się, że firma, wbrew temu, co przypuszczała, powstała chyba pięć minut wcześniej i oprócz jednej Eleny, ostoji racjonalizmu, zapowiadała się na gigantyczny chaos szalejący w czasoprzestrzeni. Miała więc ochotę zabrać torebkę i opuścić studio, tylko że... jaką miała alternatywę? Zamartwianie się i marnowanie czasu na rozmyślenia, co by było gdyby. Co jej pozostaje? Ostatecznie pracę tak czy siak ma i wygląda na to, że nawet przebieranie się za pszczołkę z „Aniołami do wynajęcia” da się pogodzić z jej tłumaczeniami. Nie ma ich teraz jakoś szczególnie dużo, przydadzą się więc pieniądze. Jeśli jakiegokolwiek pieniądze z tego będą, bo to nie jest przecież takie oczywiste. Dobrze, że nie powiedziała im o swojej ciąży. Chyba nie wprowadziłoby to porządku. Raczej zmieniło ten chaos w postapokaliptyczne tornado. Tak czy inaczej nie będzie się teraz zastanawiać, co zrobić. Pomyśli o tym jutro.

Marta szła przez Rynek, gdzie ze znajomymi z pracy spędziła przy piwie kilka ostatnich godzin. Szczepin i ulicę Młodych Techników dzieliły od serca miasta trzy przystanki tramwajem, znajomi dali cynk, że będą, postanowiła więc dołączyć, żeby cóż, żeby odreagować. A było po czym. Szczerze mówiąc, wsiadła do tramwaju kompletnie załamana, z poczuciem, że los po raz kolejny zakpił sobie z niej okrutnie, a teraz siedział sobie z boku, patrzył na swoje dzieło i ryczał ze śmiechu. Jeden jedyny casting, jaki udało jej się przejść, okazał się zaproszeniem do domu wariatów. Myślała, że

praca w „Aniołach do wynajęcia” pozwoli jej się wreszcie odbić od dna, rozprostować skrzydła, wzlecieć ku karierze, tak jak zamierzała. Tymczasem trafiła do firmy, która powstała chyba pięć minut wcześniej, kompletnie bez doświadczenia w branży, z marnymi perspektywami na przyszłość, nie mówiąc już o zarobkach. To nie otworzy jej żadnych drzwi. Wprost przeciwnie, wszystko przed nią zamknie. Jeśli się kiedykolwiek przyzna, że brała w czymś takim udział, potraktują ją jak kompletną świruskę. Dobrze, że nie zrezygnowała z pracy w contact center, to byłaby piramidalna głupota. Wśród tych kompletnie oderwanych od rzeczywistości wariatów jedna Elena wydawała się ostoją rozsądku, trzymającą to wszystko za cugle i wiedzącą, co chce osiągnąć. Nie ratowało to jednak niczego, bo zamierzała wszystkich pociągnąć w kompletnie durnowatym kierunku. Będzie się musiała wymiksować z tego tak szybko, jak to będzie możliwe. Trochę z nimi pobędzie i zobaczy, czy ma rację, ale pewnie ma.

Przez Rynek nawet w środku nocy przewijało się mnóstwo osób. Minęła ratusz, skręciła w Kuźniczą i szła w stronę głównego gmachu Uniwersytetu Wrocławskiego. Takie piękne miasto, a takie okrutne. Wyszła na Grodzką i most Pomorski, minęła boczną Cybulskiego i zaraz za Drobnera skręciła w swoją ulicę. Od rynku dziesięć minut drogi na piechotę. Genialna lokalizacja pomimo tego całego lumpiarstwa i zulerstwa. Trudno będzie się z nią rozstać. Wszystko jednak wskazuje na to, że będzie musiała pożegnać Wrocław i wrócić do Kłodzka. To nie miasto. To gigantyczna maszynka do mięsa. Ludzkiego. Chyba że... coś wymyśli. Tylko co? Coś będzie trzeba. Tak czy siak jest już późno. Nad czymkolwiek będzie się zastanawiać, zrobi to jutro.

Barbara była zachwycona. Co za sympatyczni młodzi ludzie! Co za ciekawe grono! Rzeczywiście trafiła jej się przygoda życia. No i ciasto docenili. I ta ruda, jak ona... aha, Dorota jest taka ciepła i miła. A Elena, pani kierownik, to ho ho! Jak kapitan na statku. Dokładnie wie, jaki kurs obrać, jakby przemierzała tę trasę co najmniej raz w tygodniu. Dobrze będzie. Przez całe spotkanie ani razu nie pomyślała o zmarłym mężu, ani razu nie naszło ją paraliżujące poczucie osamotnienia. Wprost przeciwnie, z minuty na minutę zapalała się do tego pomysłu coraz bardziej. I co z tego,

że nie mają doświadczenia? Otwarci są, twórczy, mają pomysł i chęci, podjęli ryzyko. To się po prostu musi udać, nie ma innej opcji.

Barbara spojrzała na zegarek – pierwsza w nocy. Dawno Krzys nie dzwonił, pewnie zaraz to zrobi. Nigdy nie pamięta o różnicy czasu, co za roztrzepany chłopak. Ach, i jeszcze przebrania, na przykład za pszczołkę. Już nie może się doczekać, ależ czekają ją emocje! A bała się, że całe życie ma już właściwie za sobą i pozostało jej tylko czekanie na nieuniknione. Och, co do przebrania, dobrze by było jakieś przygotować. Może wróżka? Musi porozmawiać o szczegółach z Eleną. Trzeba będzie nad tym pomyśleć, ale jutro. Pomyśli o tym jutro.

ANIOŁY DO WYNAJĘCIA

1.

Listopad rozpoczął się tak, jak listopad we Wrocławiu potrafi się rozpoczynać. Padało. Padało to może mało powiedziane. Istniała pewna późnojesienna, charakterystyczna dla Wrocławia odmiana deszczu, której krople wydają się zdalnie sterowane oraz zaprogramowane tak, by dopaść ofiarę, osaczyć, a następnie bezwzględnie się z nią rozprawić, nie dając jej najmniejszych szans na reakcję. Krople nie są duże, ale przecież nie o wielkość tu chodzi, a o ogólną upierdliwość. Aż dziw bierze, że w tej listopadowej porze wrocławianie nie montują na przystankach tabliczek upamiętniających tych, którzy polegli na polu chwały. Na przykład: „Tu walczył dzielnie z okolicznościami przyrody Jan Kowalski, czekając na siedemnastkę, która wypadła z kursu. A mógł uciec do bramy...”.

Na początku takiego deszczowego listopada ostatnie niedobitki liści opuszczają swoje macierzyste gałęzie i przechodzą na drugą stronę roślinnej tęczy z obietnicą reinkarnacji na wiosnę. Ich roślinne zwłoki zasypują chodniki, gromadzą się przy krawężnikach i w studzienkach kanalizacyjnych, jakby droga do drzewnego raję prowadziła przez czyściec w kanałach, które rozrosły się pod

powierzchnią ulic.

Podczas takiej listopadowej aury Wrocław jest zimny, szary i smutny. Ciężkie ołowiane chmury sunące bez pośpiechu tuż nad dachami wieżowców z epoki Gierka podkreślają dodatkowo ich brzydotę i na nic się zdają wszelkie próby upiększania tego, w czym i tak bardzo trudno dopatrzeć się śladów urody. Wielką płytę, tak charakterystyczną dla zachodniej i południowej części Wrocławia (gdzie po przejściu frontu w czasie wojny nie pozostał kamień na kamieniu), trudno uznać za wybitne osiągnięcie estetyczne w dziedzinie architektury, trzeba jednak przyznać, że mimo wszystko w tej kategorii bywają płyty ładniejsze i brzydsze.

Zdecydowanie najbrzydszy jest Szczepin, którego szare, zniszczone i sprawiające wrażenie połatanych bloki wznoszą się na miejscu dawnych kwartałów kamienic. Kamienice, które jakimś cudem zostały upamiętnione na nielicznych, przedwojennych fotografiach, dziś zyskałyby miano zabytków. Gdyby były. Tak się jednak złożyło, że koniec wojny przyniósł też ostateczny kres ich istnienia, a one same, rozebrane na cegły pierwsze, zostały przewiezione do Warszawy, gdzie rozpoczęły życie po życiu jako budulec odradzającej się stolicy.

Elena z kubkiem gorącej herbaty w ręku wpatrywała się w krople deszczu rozmazujące się na szybie i zmieniające tym samym świat w jedno wielkie dzieło jakiegoś szalonego impresjonisty. Sprawy szły nieźle. Pierwszy miesiąc działania agencji wypadł obiecująco. Drobne urodziny tu i tam, kiedy to rodzice cieszyli się z piątego, szóstego czy ósmego przyjścia na świat ich pociechy i chcieli ten fakt zamanifestować w szczególnie uroczysty sposób. Faktycznie przebierali się za pszczołki. I za księżniczki, za wróżki też. Przebierali się zresztą różnorako i trzeba przyznać, że członkowie zespołu dawali z siebie wszystko, ile tylko mogli. Romeczek naprawdę świetnie sobie radził jako zaplecze artystyczno-merytoryczne, decydując o kolejności działań, śpiewanych piosenkach i w ogóle o wszystkim, za co się zabierali.

Jakaś drobna firemka poprosiła ich o przygotowanie oraz poprowadzenie eventu i z tego również wywiązali się na medal, choć trudno o zadanie bardziej różniące się od uchachanych pszczołko-księżniczek. Wszystko wskazywało na to, że talentu im nie brakuje

i z tak skonstruowanym zespołem naprawdę można zrobić wiele. Elena zastanawiała się, jak długo może proponować dumpingowe stawki. Kiedyś w końcu trzeba będzie podnieść ceny, ale zleceń jakoś lawinowo nie przybywa. Coś się trafi raz czy drugi, ale nie można powiedzieć, żeby klienci bili się o miejsce na wycieracze i zawiązywali komitety kolejkowe. Nie ma się czym martwić, ale... No właśnie, przydałoby się, żeby jakaś gruba ryba sypnęła konkretnym groszem.

To, co mieli właśnie za sobą, w kategorii grubych ryb znajdowało się raczej w dolnej części stawki. Właściwsze byłoby stwierdzenie, że trafiła im się ryba z niedowagą. Nie ma jednak co wybrzydzać, ostatecznie „Anioły do wynajęcia” świadczyły swoje usługi od zaledwie miesiąca. Zresztą haczyk podczas imprezy zarzucono w pomysłowy sposób, kto wie, może w perspektywie czeka ich połów iście biblijny, kiedy to nastąpi cud i sieć będzie ugiwała się pod ciężarem ryb. Tymczasem jednak... No cóż, z jednej strony sprawy poszły bardzo dobrze, ale z drugiej... Elena pomyślała sobie, że właściwie to lubi niespodzianki, nawet jest ich miłośniczką, pod warunkiem, że to ona zaskakuje. Gdy zaskakuje się ją, to już inna historia.

Jakie to szczęście, że mieli Basię! Barbara Borzęcka, istota do rany przyłóż, lek na całe zło tego świata, stworzona, by rozsiewać dookoła nasiona optymizmu, by te następnie padały na podatny (lub niepodatny) grunt i pleniły się bujnie, przyleciała któregoś dnia na Młodych Techników zarumieniona i zadyszana, walnęła torebkę w przedpokoju, zażądała herbatki z prądem i powiedziała, że ma wiadomość stulecia. Towarzystwo przypadło do niej z oczami wychodzącymi z orbit i zamieniło się w jedno zbiorowe oczekiwanie. Barbara podyszała jeszcze przez chwilę, łyknęła herbatki, która w mgnieniu oka stanęła przy niej („dużo prądu, tego mi było trzeba!”), po czym powiodła triumfalnym spojrzeniem po reszcie i oznajmiła.

– Niedługo będzie Halloween.

Ponieważ dalszy ciąg jakoś nie następował, towarzystwo poczuło pewien niedosyt.

– No i? – podsunął w końcu Romeczek.

– No i was to nie cieszy? – Barbara przeleciała wzrokiem po reszcie firmy.

– Ogólnie to nas cieszy, ale dlaczego ma nas cieszyć o wiele bardziej?

– No bo w szkole na moim osiedlu będzie impreza! – Barbara entuzjastycznie zaklaskała w dłonie.

Reszta ekipy trwała w lekkim stuporze. Cisza stawała się wręcz namacalna.

– Chyba łał – zasugerowała Dorota.

– No i właśnie wykruszył im się prowadzący! – spuentowała Barbara i dopiero wtedy pozostali połączyli wątki.

– Basieńko kochana, toż trzeba było zacząć właśnie od tego! – Romeczka łatwo było zarazić entuzjazmem, był wyjątkowo mało oporny. – Prąd dla wszystkich! Elenko, czyń honory!

– Ja samą herbatkę – wtrąciła szybko Dorota. – Jestem już wystarczająco naelektryzowana.

Barbara wśród ogólnej radości, która z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej skonkretyzowana, wyjaśniła, że szkolna sekretarka, czyli osoba z możliwościami działania i sugestii (to ważne!), jest jej sąsiadką i niedawno spotkały się w Biedronce.

– Przy jajkach stałyśmy. Chociaż chyba nie, to raczej było masełko – zastanawiała się Borzęcka.

– Mniejsza z tym, mogłyście nawet siedzieć obydwie na taśmie przy kasie i czekać na skasowanie. Co z tą sąsiadką? – Romeczek naprowadzał kobietę na właściwy kierunek.

Z sąsiadką to było tak, ciągnęła Barbara, że kiedy już zdecydowała się wziąć to masełko (tak, to było tam), zwierzyła się Barbarze ze straszliwego problemu, jaki spadł jej na głowę. Mianowicie co roku jest mianowicie organizowana zabawa szkolna z okazji Halloween, co samo w sobie tragedią, rzecz jasna, nie jest, nawet jeśli trzeba potem trzy razy dłużej sprzątać i przychodzą pielgrzymki rodziców pytających, czy ktoś nie widział niebieskiego

kapelusza lub opaski w motylki. Nieważne. Ważne, że co roku imprezę obstawiali prowadzący, których w tym roku zabrakło. A zabrakło, ponieważ w szeregi ekipy wkradł się podstępnie pewien dysfunkcyjny czynnik wysokoprocentowy. Nie żeby nie mieli wcześniej pojęcia o jego tajnych knowaniach, ale przymykali na to oko, bo ekipa była tania, dostępna i jednak podczas imprezy sprawowała się bez zarzutu. Tym razem jednak sprawy zaszły za daleko. Główny didżej wypłynął „łódką Bols” w nieznanym kierunku i ostatni port pozostawił za sobą daleko w tyle. Istnieje więc ryzyko, że nie zawnie z powrotem na czas. To postawiło szkołę w bardzo trudnej sytuacji, bo ani czasu nie było, ani funduszy, by zorganizować jakieś zastępstwo. I co ona, biedna, miała teraz robić, do ciężkiej cholery?

Barbara wysłuchiwała cierpliwie, choć już mniej więcej w jednej trzeciej opowieści zaczynała się wewnątrz gotować, a serce waliło jej jak szalone. Oznajmiła, że to naprawdę niezwykły zbieg okoliczności lub – jeśli kto woli – łaska Opatrzności, bo ona, Barbara, tak się składa, że zna fantastyczną grupę, która akurat ma ten termin wolny (co za przypadek!) i chętnie podejmie się zadania. A Barbara za nich ręczy, bo to są wspaniali ludzie, a ona to wie, bo ma z nimi kontakt praktycznie na co dzień.

Sekretarka najpierw zdziwiła się wielce, potem nabrała nadziei, a na końcu zapytała o cenę. Barbara entuzjastycznie zapewniła ją, że grupa weźmie tyle samo, ile brali tamci, a zrobią to tak, że mucha nie siada. Niech tylko sekretarka szanowna powie, kiedy ta impreza dla klas od pierwszej do trzeciej, to oni się zjawia, bo program praktycznie mają już gotowy i do wzięcia. Sekretarka z ulgą wyściskała Barbarę i z radości sięgnęła jeszcze po żółty ser, choć go zupełnie nie potrzebowała, po czym oznajmiła, że za trzy dni.

– Oj – zauważył Romeczek.

Towarzystwo popatrzyło na siebie, a Barbara na nich i nie za bardzo rozumiała, dlaczego nie obserwuje erupcji entuzjazmu, jakiej się spodziewała.

– Nie cieszycie się?

– Cieszymy się bardzo, tylko to cholernie mało czasu, pani Basiu –

stwierdziła Marta.

– Ale jeśli zepniemy poślady, to da się, prawda? – nadzieja w Barbarze była trudna do anihilacji.

I wtedy właśnie w Elenę wstąpił duch działania. Wniknął w nią niezauważenie, od kuchni, tylnym wejściem duszy, nieużywanym na co dzień. Wszedł i wziął w posiadanie swoje nowe trzydziestotrzyletnie lokum. Poderwała się z krzesła z bojową miną, jakby miała zamiar natychmiast zająć szczyt barykady, a z braku barykady po prostu podskoczyła.

– Do diabła z tym! Jesteśmy zdolni, mamy wenę, możliwości i mamy radę! Przecież to nie jest nie wiadomo co, tylko bal dla młodszej podstawówki! Do boju, ludzie, obmyślimy plan, repertuar, działamy natychmiast! Natychmiast! Uda nam się, ja w nas wierzę!

I nie wiadomo, czy był to efekt herbatki z prądem (mniej herbatki, więcej prądu), czy entuzjazmu Barbary, czy nowego nawiedzenia Eleny, dość, że zadziałało. Zespołowi entuzjazm się udzielił, a na Romeczka momentalnie spłynęło błogosławieństwo weny twórczej, wynosząc jego intelekt w rejony, w których zazwyczaj nie przebywał. Szczerze mówiąc, zadziwiał sam siebie. Repertuar utworów muzycznych został ustalony, harmonogram działań też, scenariusz opracowany. Grupa zwarta i gotowa mogła czekać na godzinę zero.

Godzina zero przyszła nieco szybciej, niż się spodziewali, bo Barbara zapomniała im przekazać, że bal dla młodszej podstawówki odbywa się w godzinach porannych. Po naprawdę bardzo krótkiej chwili kompletnej paniki wszyscy się ogarnęli i szczęśliwie znaleźli się we właściwym miejscu o właściwej porze w strojach dostosowanych do okoliczności.

Barbara jako pulchna wróżka w szpiczastej czapce, fioletowej sukience i z przymocowanymi do pleców elfimi skrzydełkami zrobiła furorę wśród dzieci. Romeczek jako hrabia Drakula podobał się znacznie mniej, choć jego sztuczne kły imponującej wielkości wzbudziły u trzecioklasistów szacunek. Chcieli zapytać, skąd je ma, ale jakoś zabrakło im odwagi. Dorota sięgnęła ku pokładowi arcyzmu, o jaki się wcześniej nie podejrzewała, i z oddaniem ucharakteryzowała się na zombie. Zrobiła to jednak na tyle

sugestywnie, że musiała szybko skorygować makijaż w szkolnej toalecie, ponieważ zerówka postanowiła dokonać natychmiastowej ewakuacji, kiedy tylko Dorotę zobaczyła. Marta włożyła na głowę hełm w postaci sztucznej dyni i momentalnie stała się ulubienicą wszystkich.

– Helołyny – mruknęła Dorota do Romeczka. – Na moim balu przebierańców w drugiej klasie kolega wygrał konkurs, bo przebrał się za cukier kryształ. No wiesz, kilogramowe opakowanie. Dzisiaj wszystko jest kupowane i właściwie wszystko na jedno kopyto.

– No tak – zgodził się Romeczek, a ponieważ nie panował do końca nad uzębieniem, strużka śliny pociekła mu po brodzie, co wywołało zachwyt obserwujących go ukradkiem chłopaków.

– No dobra, czyń honory, maestro. Rozruszajmy to towarzystwo – zarządziła Elena, która jako nominalna szefowa „Aniołów do wynajęcia” postanowiła wyglądać normalnie, co sprawiło, że mocno wyróżniała się z tłumu przebierańców.

Towarzystwo wcale zresztą nie wymagało rozruszania. Samo w sobie mocno rozbiegane potrzebowało uporządkowania i ogarnięcia. Marta w kilku słowach do mikrofonu przywitała wszystkich zgromadzonych i Romeczek puścił pierwszą piosenkę. Dzieci ruszyły w tany.

– Przepraszam, ale co pan gra? – usłyszał za sobą głos pani dyrektor.

Odwrócił się. Wyglądała zupełnie normalnie, jedynie na głowie umocowała opaskę do włosów, z której sterczały na sprężynkach dwa czułki szaleńczo mrugające za sprawą ukrytych w nich żaróweczek.

– No, piosenkę – odparł, zastanawiając się, o co jej chodzi.

– Ale jaką?

– Taką dla dzieci. Jest zła?

– Nie o to chodzi, wie pan, ale tamta grupa przyzwyczaiła nas do innego repertuaru. Inne piosenki grali.

– Lepsze?

– Czy ja wiem? Inne.

– No to jakie, to może ja też puszczyć? – Romeczek wykazywał daleko posuniętą chęć współpracy, doskonale wiedząc, że raz wyrobiona opinia pójdzie za nimi dalej.

Dyrektorka przewróciła oczami, jakby była zdumiona ignorancją Romeczka.

– Jak to jakie? „Ruda tańczy jak szalona”, „Ona czuje we mnie piniondz, wystroiła się jak Beyoncé”, „Aleksandra taka ładna, taka seksibomba”. No nie zna pan tego? Wszystkie dzieci to śpiewają.

Romeczek metodycznie wyssał z niej krew za pomocą spojrzenia, a zwłoki spopielił pstryknięciem palców. Przynajmniej taki miał zamiar.

– Pani dyrektor, niech mnie pani nie straszy, rozmawia pani z wampirem. Ja rozumiem, że dzieci znają te piosenki, bo trudno się od nich uchronić. Od piosenek, nie od dzieci. To nie oznacza jednak, że my, jako osoby odpowiedzialne, możemy zmieniać ich mózgi w sałatkę za pomocą fatalnych słów i jeszcze gorszej melodii. Nawet w Halloween. Są granice potworności.

Dyrektorka, która w żaden sposób nie wyglądała na dopiero co zagryzioną ofiarę wampirzej żądz, spojrzała na Romeczka z góry, jako że z natury była kobietą postawną i potrafiła spoglądać ze swojej perspektywy na niejednego mężczyznę. Od czasu do czasu to wykorzystywała.

– Panie Romanie. Proszę pamiętać, że oczekujemy, że zabawa będzie udana. To pana bilet do przyszłości.

– I będzie udana, pani dyrektor – Romeczek otarł ślinę z brody. – Sama pani zobaczy.

Zobaczyła. Dzieci umiejętnie wciągnięte do zabawy przez Martę, Barbarę i Dorotę kipiały szczęściem. Tańczyły przy dźwiękach Fasolek, podśpiewywały z Majką Jeżowską, gawędziły z Gawędą, wypływały na głębię wraz z Arką Noego. Na wypródki brały udział w konkursach i zabawach, a nieliczni rodzice stojący pod ścianami oraz nader liczny personel szkolny nie mogli się powstrzymać co najmniej od rytmicznego tupania nóżką. Wszystko płynnie zmierzało ku glorii i zwycięstwu, kiedy to w pewnym momencie

nawalił sprzęt.

Po pomieszczeniu rozległ się jęk zawodu. Dyrektorka stanowczo (i z góry) lypnęła okiem na Romeczka Słowackiego, ten przechwycił to spojrzenie i zaczął tracić grunt pod nogami. Kompetencje literackie były na głowę jego kompetencje techniczne, dlatego już chciał wywiesić białą flagę i zakończyć imprezę przed upływem wyznaczonego czasu.

– Mikrofon działa? – zapytała Marta, która nieoczekiwanie podeszła i nachyliła się nad sprzętem.

– Mikrofon tak, ale puszczacznik piosenek zdezerterował.

– Przepuście mnie, spojrzę na to, coś tam kiedyś liznęłam, nie jestem taka techniczna noga – odezwała się Dorota. – A ty, Marta, ratuj sytuację, wymyśl coś.

Marta spojrzała na nich z tajemniczym błyskiem w oku, po czym zdjęła sztuczną dynię z głowy, wzięła mikrofon do ręki i stanęła na środku sali. Dzieci i dorośli wlepili w nią wzrok i zamarli w oczekiwaniu. Marta uśmiechnęła się, rozejrzała dookoła i przyłożyła mikrofon do ust.

– Przy takiej muzyce jeszcze nie tańczyliście – zapowiedziała. – Zapnijcie pasy!

Dmuchnęła parę razy w mikrofon i na chwilę zamilkła. Ktoś prychnął pod ścianą, ktoś parsknął, ktoś zachichotał. Kilku spojrzęło po sobie niepewnie. Nagle z mikrofonu rozległ się tak fantastyczny beatbox, że stojącym najbliżej dziewięcioletnim wampirom z wrażenia powypadały plastikowe szczęki. Marta z początku naśladowując oszczędnie rytm i melodię, stopniowo wchodziła na coraz wyższe poziomy zaawansowania. Działała jak w transie, całkowicie oddając się melodii. Imprezowicze wrośli w parkiet i zafascynowani wlepiali w nią oczy coraz bardziej i bardziej wychodzące z orbit.

Wtedy pod ścianą, gdzieś w okolicy drabinek gimnastycznych zaistniała jakaś mała szamotanina i zza tylnych rzędów na środek sali wyskoczyła pani dyrektor. W zgrabnych płasach przyskoczyła do drobnego, chudego Deadpoola w okularach (Adam z trzeciej A) i porwała go do tańca. Jej mrugające czułki kiwały się na wszystkie

strony, wysyłając w świat fotony we wszystkich kolorach tęczy. Za władzą ciała pedagogicznego wuefistka do spółki z anglistą także ruszyli do zabawy, każde z nich wzięło za rękę po kilkoro dzieci i rozpoczął się najbardziej szalony taniej w historii szkoły. Elena zostawiła oniemiałego Romeczka przy kapryśnym sprzęcie, a nogi same zniosły ją w stronę pani dyrektor, która na parkiecie dokonywała rzeczy niemożliwych, nie bacząc na swoją tuszę oraz wiek pięćdziesiąt plus (i żylaki). Dorota nagle odmłodziła o dwadzieścia lat i wyskoczyła za Elena, pchana nagłą potrzebą przypomnienia sobie wszystkiego, co kiedyś jej wpojono podczas kursu tańca. W sali zapanowało czyste szaleństwo skoków, susów, płaśów i kołysań, a pośrodku tego całego zamieszania Marta z zamkniętymi oczami dokonywała prawdziwych cudów, imitując muzykę i mocno akcentując rytm. Kiedy skończyła swój popis, brawom nie było końca, księżniczki rzucały w górę swoje różdżki, duchy zrzuciły prześcieradła, zombie nagle wyładniały, supermani przybijali piątki, a wuefistka rzuciła się w ramiona anglicznie i mocno ucałowała go w usta, co nie uszło uwagi ich szefowej oraz rezydentnej Kasi z pierwszej E, która wszystko nagrywała komórką z zamiarem pokazania mamie. Podziękowania i zachwyty ciągnęły się i ciągnęły, i wszystko wskazywało na to, że potrwają jeszcze przez mniej więcej dwa tygodnie.

Ten właśnie moment ciało Doroty wybrało, by zaprotestować i zemdleć, wbrew jej wiedzy i najszczerzej woli.

Kiedy się ocknęła, ujrzała nad sobą zatroskane twarze wszystkich członków anielskiej brygady, łącznie z Martą, która ze strachem w oczach dopytywała się, czy to przypadkiem nie przez nią. Dorota stanowczo odmówiła wezwania karetki, powiedziała, że czuje się świetnie, po czym przeprosiła wszystkich, wywinęła się z objęć i w dwóch susach znalazła się w toalecie, by dokonać tego, czego zwyczajem większości kobiet we wczesnej ciąży dokonywała już od pewnego czasu.

Elena położyła jej rękę na ramieniu.

– Może porozmawiamy?

Dorota Kotecka westchnęła i ze zdumieniem stwierdziła, że nie znajduje w sobie żadnych pokładów męskości, co zaowocowało

strugą łez, które potoczyły się po jej policzku.

– Wiecie co? Romeczkowi i Marcie już mówiłam – Barbara podeszła do nich i objęła obie w pasie. – Mieszkam niedaleko, na Brzezińskiej. Zapraszam do mnie na ciasto.

Pokiwały głowami z wdzięcznością. Ciasto Barbary zawsze było doskonałym pomysłem.

Jakiś czas później trupa pałaszowała szarlotkę z poczuciem dobrze wykonanego zadania. Słodka pianka rozpływała się w ustach, kruche ciasto pieściło podniebienie, a jabłka uzupełniały całość, tworząc idealną smakowo-zapachową kompozycję. Barbara krzątała się, podając kawę i herbatę, bardzo zadowolona. Romeczek westchnął przeciągle, przewrócił oczami i przylgnął plecami do oparcia kanapy.

– Na Boga, dla tego ciasta mógłbym zabić.

– Pani Basiu, ja też. Ono czyni cuda – dodała Marta głosem zachrypłym od niedawnego wysiłku.

– Jeszcze nam nie powiedziałaś, skąd w tobie takie umiejętności bigbeatowe – wtrąciła Barbara.

– Beatboksowe. No cóż, trzy razy, jak wiecie, startowałam do szkoły teatralnej i chodziłam na różne castingi. Przygotowywałam się do nich, trenowałam i... nauczyłam się tego. Nigdy nie wiadomo, czego od człowieka zażądają, warto być przygotowanym. A że miałam smykałkę...

Grupa z uznaniem pokiwała głowami i wróciła do pochłaniania szarlotki.

– Ciasta Basi robią coś takiego z człowiekiem, że przenoszą go w odmienne stany świadomości – zagadnęła Elena.

– Niczego nie dodawałam! – roześmiała się Barbara. – Tylko jabłuszka! No i cynamon, wiadomo.

– Tak, ciasta Basi sprawiają, że czujemy się jak, no, wiecie, jak rodzina. Zgodzicie się? – zapytała cicho Dorota.

Wszyscy zgodzili się ochoczo.

– No to muszę wam coś powiedzieć. Lepiej, żebyście wiedzieli, bo

to się odbije na was. No, niekoniecznie negatywnie, ale ma znaczenie.

Przerwała na chwilę, a grupa stała się jednym wielkim oczekiwaniem.

– Jestem w ciąży – odezwała się w końcu Dorota.

Marcie oczy prawie wyszły z orbit, Romeczkowi z wrażenia wypadł z ust kawałek szarlotki, Elena pokiwała głową, jakby jej to zupełnie nie zaskoczyło, a Barbara klasnęła w dłonie.

– Moje dziecko! To cudownie! – zawołała.

– To wcale nie cudownie. To fatalnie! – Dorota wybuchnęła płaczem. – Mam czterdzieści dwa lata, to moja pierwsza ciąża, a ojciec dziecka właśnie mnie zostawił. Zostałam sama i nie wiem, co robić. Kompletnie sobie nie radzę z tą sytuacją i czuję się całkowicie pogubiona.

Elena przytuliła ją do siebie i pozwoliła jej się swobodnie wypłakać.

– Kochanie, nie jesteś sama, masz nas – powiedziała ciepło Barbara, której łzy wzruszenia również pociekły po policzku. – Być może jesteśmy dość, ekhm, specyficzni, ale możemy ci pomóc i zrobimy to. Cieszę się, że nam powiedziałaś, będziemy cię wspierać.

Dorota, słysząc te deklaracje, wygenerowała kolejne hektolitry łez.

– Poza tym rewelacyjnie sobie radzisz – dodała Elena. – Masz, te, no, jaja jak arbuzy. Jesteś ruda, do licha, czyli niezniszczalna.

Kotecka uśmiechnęła się mimowolnie.

– Przepraszam, czy ktoś już temu draniowi dał po ryju? Bo jeśli nie, to ja się na to piszę. Pokażcie mi go, a pogadam z nim tak, że zapamięta tę rozmowę do końca życia – zaoferował się Romeczek, zakasując rękawy.

Dorota oczyma duszy ujrzała stojących naprzeciw siebie rosłego, czarnowłosego i o atletycznej budowie pływaka Bartłomieja oraz drobnego blond kogucika w okularach, spoglądającego do góry

gdzieś z rejonów kolan, podskakującego i krzyczącego: „No co? Chcesz się bić? Dawaj, uderz!”. Cóż w takiej sytuacji Bartłomiej zgładziłby Romeczka samym spojrzeniem, nawet nie musiałby w tym celu używać ręki, ale tak czy inaczej kontrast między nimi byłby zabawny. Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Po ryju czy nie po ryju, ale trzeba się zakręcić wokół alimentów – trzeźwo podpowiedziała Barbara. – W końcu do tanga trzeba dwojga. Niedoczekanie, żeby się szuja wywinęła. Powinnaś go pozwać.

Dorota przytaknęła posłusznie i powiedziała, że owszem, zajmie się tym, tylko nie w tej chwili, niech jej będzie wybaczone, bo teraz kompletnie nie ma do tego głowy. W każdym razie gadowi się nie upiecze.

Elena poklepała ją po ręce i zmieniając temat, poleciła fajnego lekarza, do którego sama chodzi i ma do niego zaufanie.

– To dobry facet – mówiła. – Dobrze mu z oczu patrzy, a oczy są zwierciadłem duszy. Co prawda na pierwszy rzut oka wygląda, jakby mieszkał z babcią, i dziwnie się nazywa, ale poza tym do rany przyłóż. Idź do niego.

Nie wiadomo, czy ciasto Barbary to sprawiło, czy też ogólna atmosfera spotkania skłaniała do podejmowania działań, których się wcześniej nie planowało, dość, że Dorota zdecydowała się pójść za radą Eleny i odwiedzić innego medyka niż tego, u którego już zdążyła się pojawić. Zresztą chyba gorzej niż do tej pory trafić nie mogła. Renomowany ginekolog, którego sława sięgała od Bałtyku do Tatr (a przynajmniej on tak sugerował), okazał się gburowatym chamidłem traktującym pacjentkę jako dodatek do jego portfela. Z dwojga złego już wolą zupełnie nieznanego doktorzynę niż pajaca z ego rozdętym do tego stopnia, że dla pacjentki nie wystarczało już miejsca w gabinecie. Ten drugi faktycznie śmiesznie się nazywał, ale... tak w pozytywnym znaczeniu. Niech będzie. Raz się żyje.

Gdyby Elena wiedziała, co z tego wyniknie, z pewnością długo nie przestawałaby na przemian śmiać się i kręcić głową ze zdumienia.

Jednak nie wiedziała. Dla odmiany siedziała nad swoim kubkiem kompletnie już wystygłej herbaty i nadal wpatrywała się w okno, za którym listopadowy deszcz ani myślał się poddać, chłoszcząc szyby bezlitośnie i spływając wzdłuż chodników do zatykających się od spadłych liści studzienek kanalizacyjnych. Elenie udzielił się jesienny spleen i poczuła się zwyczajnie zmęczona. Wiadomo, nie ma co się poddawać zaraz na początku, ostatecznie każdy sukces wymaga pracy i cierpliwości, ale jednak wiadomość o ciąży Doroty zawisła nad nią jak burzowa chmura nabrzmiała od deszczu, gotowa zrzucić swój ciężar w najmniej oczekiwanym momencie. Oczywiście bardzo lubi Dorotę i życzy jej jak najlepiej (sama nie chciałaby się znaleźć w jej sytuacji), ale świadomość, że statystycznie dwadzieścia procent zespołu może już wkrótce zjechać na bocznicę, jakoś nie dodawała jej skrzydeł. Nie dość, że zaczęła realizować szalony pomysł firmy od zera w dziedzinie, o której nie miała pojęcia, to jeszcze na samym początku spotykają ją takie niespodzianki. No nic. Jakoś to będzie. Przyjechała w ciemno do Polski z kompletnie nieznanym sobie facetem i okazało się, że trafiła na miłość życia. Stworzyła agencję artystyczną kompletnie na wariata i okaże się, że... Nie wiadomo, co się okaże, ale na pewno trzeba być dobrej myśli.

2.

Jarosław Stawinoga, lat czterdzieści dwa, całym sercem i z całej duszy nienawidził rozpinanych pulowerów. Zwłaszcza brązowych. Tak się akurat składało, że miał na sobie brązowy, rozpinany pulower sprezentowany mu przez jego własną babcię, co przyprawiało go o męki psychiczne i fizyczne. Fizyczne, ponieważ pulower był gruby, zbyt gruby nawet na wilgotną, przesiąkniętą ziębem listopadową aurę wrocławskiej przestrzeni miejskiej, a już zdecydowanie za gruby na przesadnie nagrzane pomieszczenia przychodni przy ulicy Podwale. Psychiczne, ponieważ patrzył właśnie na najpiękniejszą kobietę, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi (był o tym głęboko przekonany), i naprawdę nie miało znaczenia, że podziwiał ją od strony jej nóg. Nagich. Jarosław Stawinoga zaskoczony swoim przyspieszonym biciem serca czuł się wybitnie nieprofesjonalnie, bo naprawdę nie wypadało, by lekarzowi podobała się jego własna pacjentka, nie mówiąc już o tym, że jest to pierwsze ich spotkanie, a lekarz jest ginekologiem. Ganił sam siebie za swoje spostrzeżenia i myśli, które jednak nic sobie z jego przygan nie robiły i doktor Stawinoga beznadziejnie pograżał się w zauroczeniu coraz bardziej i bardziej.

Lekko drżały mu ręce. Pacjentka spojrzała na niego niepewnie, ale nic nie powiedziała. To znaczy nic poza tym, o czym mówiła do tej pory, to znaczy o dacie ostatniej miesiączki, o przebytych chorobach, o swoim wieku i o wizycie u tego palanta, na którego on sam nadział się w trakcie studiów medycznych i zapamiętał jako wybitnego znawcę tematu, ale też wybitnego bufona. Nic dziwnego, że od niego uciekła. Rozsądne kobiety nie pozwalają się traktować z buta. No proszę, to pierwsza opinia, w której są zgodni, choć ona, oczywiście, nie ma o tym pojęcia, ponieważ on za żadne skarby świata nie przyzna się do tego, że się z nią zgadza. W połączeniu z brązowym pulowerem takie wyznanie oznaczałoby totalną klęskę wizerunkową, znacznie gorszą niż sam pulower.

Wyuczonym, automatycznym gestem poprawił okulary w grubych, kompletnie nietwarzowych oprawkach i przeciągnął dłonią po głowie, jakby chciał sprawdzić, czy ciągle powiększająca się łysina nie zagarnęła ostatecznie terenów, które do tej pory dzielnie jej się opierały. Jarosław Stawinoga nigdy nie zniżyłby się do zaczeski (no bez przesady, już wystarczą pulowery!), dlatego resztką bohaterskich blond włosów została sprowadzona do króciuteńkiego meszku okalającego jego naturalną, niezamierzoną tensurę.

– Ma pani kartę ciąży? – zapytał, odchrząknawszy wprzód, by zminimalizować drżenie głosu.

– Mam.

Głos też miała piękny. Boże, co za ironia. Dlaczego kobieta, w której zakochanie się od pierwszego wejrzenia nie byłoby niczym dziwnym, pojawia się w jego życiu jako pacjentka i to w ciąży. Na dodatek nie z nim. To znaczy, że jest jakiś inny, który...

Niestety zawsze był jakiś inny. Jarosław Stawinoga mógł uchodzić za bezdyskusyjnego profesjonalistę w dziedzinie zakochiwania się bez wzajemności. Za swoje motto życiowe mógłby uznać słowa Boya-Żeleńskiego, że „w tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz”. Zapewne dlatego nigdy się nie ożenił. Wzdychał, marzył, nawet pisał wiersze (w najskrytszej tajemnicy, a ktoś, kto przez przypadek poznałby jego sekret, z pewnością zginąłby śmiercią nagłą i bolesną), adorował, wielbił, uchylał nieba, stawał na rzęsach i kochał, ale niestety. Wszelkie działania

okazywały się nieskuteczne. Jarosław Stawinoga był bowiem człowiekiem z natury bardzo delikatnym i obdarzonym – jak na mężczyznę – niezwykle empatią, niestety z jednoczesnym głębokim deficytem asertywności. Kiedy tylko na horyzoncie pojawiał się jakiś samiec alfa z zamiarem odebrania mu obiektu jego marzeń, Stawinoga próbował coś tam robić, ale zawsze kończyło się to tak samo – wycofywał się na z góry upatrzone pozycje, przepełniony głęboką niechęcią do sytuacji konfliktowych. Jego byłe miłości szły z tymi samcami do łóżka, wychodziły za nich, rodziły im dzieci, rozwodziły się, znowu wychodziły za mąż, a Jarosław jak trwał w bezzenności, tak trwał. I nic się nie zmieniało.

No i jeszcze kwestia babci.

Jarosław dzielił z babcią dwupokojowe mieszkanie, ale wbrew pozorom nie był typem człowieka, którego rodzice bezskutecznie próbowali wypchnąć z domu i zmusić do usamodzielnienia się, aż w końcu odpuścili i wywiesili białą flagę, godząc się z losem. Zresztą rodzice ewakuowali się z tego świata wbrew swojej woli w pewien zimowy poranek, a konkretnie poza boczną linię egzystencji wypchnęła ich dwudziestotonowa ciężarówka, której kierowca był święcie przekonany, że jest trzeźwy. Jarosław mieszkał więc z babcią, która go wychowała, wykształciła i traktowała jak oczko w głowie, chuchając na niego i dmuchając. Obchodziła się z nim jak z jajkiem i to nie byle jakim, bo jajkiem Fabergé. Nie mogła sobie pozwolić na powtórny stratę, dlatego parasol ochronny, który nad nim roztoczyła, rozpościerał się daleko i był wyjątkowo odporny na bodźce z zewnątrz. Jarosław poddawał się tej zaborczej i zastraszonej przez życie miłości najpierw z wdzięcznością, potem z rezerwą, a na końcu z rezygnacją, rozumiejąc, że od brązowych pulowerów nie ma ucieczki.

Niestety fakt, że Stawinoga nigdy nie doczekał się odwzajemnienia uczuć, w dużej mierze jest zasługą właśnie jego babci, choć trzeba uczciwie przyznać, że na takim efekcie bynajmniej jej nie zależało. Wprost przeciwnie. Obrona przez nią taktyka gwarantowała porażkę, ponieważ babcia Zosia wobec każdego z bardzo nielicznych gości, przekraczających próg jej mieszkania, stosowała metodę zagłaskiwania na śmierć. Co pięć minut zaglądała do pokoju z pytaniem, czy czegoś nie podać, albo

zaglądała i nie pytała, tylko od razu wchodziła z ciastem, rozsyłając dookoła obezwładniające od słodczy uśmiechy i niemalże klaszcząc w dłonie. To wypłoszyłoby najbardziej zdeterminowanego do niewychodzenia gościa. Żeby kogokolwiek zatrzymać, Jarosław musiałby się uciekać do środków drastycznych, na przykład przypiąć tego kogoś za pomocą łańcucha do kaloryfera lub zamurować go żywcem, tu jednak stawała na przeszkodzie jego asertywność usytuowana gdzieś na poziomie Żuław Wiślanych, czyli poniżej zera.

To dlatego nosił brązowe, rozpinane pulowery („Kupiłam ci, żebyś nie zmarł, Jareczku”), wieczory spędzał – jeśli nie na dyżurze w szpitalu – to samotnie w domu nad książką i przyjmował za niewielkie pieniądze w przychodni przy Podwalu, podczas gdy jego koledzy po fachu z impetem rozkręcali praktyki prywatne. Oni budowali domy w podwrocławskich miejscowościach, takich modnych ostatnimi czasy, on dzielił z dziewięćdziesięcioletnią staruszką dwupokojowe mieszkanie w starej kamienicy przy Kruczej. Oni zajeżdżali pod szpital kolejnymi wersjami niemieckich, wziętych marek samochodów (które mimochodem głaskali czule na pożegnanie), on parkował swoją Dacie Duster, jego jedyną fanaberię, bezawaryjną i taną w eksploatacji, którą kochał jak własne dziecko. To o nim Edward Stachura mógłby z czystym sumieniem powiedzieć „w piersi pod koszulą całe jego mienie”.

Słowem z punktu widzenia obowiązujących obecnie norm tego świata trudno o większego frajera życiowego niż Jarosław Stawinoga.

Ten właśnie frajer wpatrywał się w długie, rude włosy swojej pacjentki swobodnie opadające jej na ramiona. To znaczy wpatrywał się dyskretnie i w sposób zamaskowany, bo oficjalnie całą swoją uwagę poświęcał aparatowi USG i obrazowi wyświetlajacemu się na monitorze. A było na co popatrzeć.

– Tak naprawdę, jeśli oczekuje pani wysokiej jakości badania, to nie na tym sprzęcie. Musiałaby pani poszukać innego gabinetu, bo tutaj możliwości kończą się na tej aparaturze.

Pacjentka pokręciła głową.

– To mi wystarczy. Osoba, która mi pana poleciła, powiedziała, że

ma do pana zaufanie, a nie że ma pan sprzęt rzucający na kolana.

Fala ciepła rozlała się po ciele Stawinogi, co jeszcze bardziej wzmogło efekt cieplarniany zapoczątkowany przez pulower.

– Miło mi to słyszeć. Robię, co w mojej mocy. Proszę włożyć pięści pod pośladki... O, właśnie. Zmierzymy naszego lokatora.

Była piegowata. Całą twarz usianą miała w fantastycznych, dziewczęcych piegach, które dodawały jej świeżości, przez co kompletnie nie wyglądała na swoje czterdzieści dwa lata. Była jego rówieśniczką, a dałby jej dziesięć lat mniej. Szare oczy wbrew barwie tęczówek słały w przestrzeń ciepłe spojrzenie. Dobra kobieta. Tylko chyba ma problem.

– Chcą państwo znać płęć?

– A co, już widać?! – zdumiała się Dorota.

– Tak dokładnie to nie widać, to bardziej sugestia płci, która może być też fragmentem pępowiny, ciężko powiedzieć.

– Nie ma żadnego „państwa” – dodała nagle pacjentka.

– Słucham?

– Nie ma „państwa” – powtórzyła i westchnęła. – Jestem sama. Ojciec dziecka właśnie zabrał swoje zabawki i poszedł do innej piaskownicy.

Jarosława Stawinogę zatkało. W pierwszej chwili pokłady niewykorzystanego przez lata honoru rycerskiego odezwały się w nim, generując wulkaniczny wybuch oburzenia i złości. Zanim jednak doszło do werbalnej eksplozji, został on ugaszony za sprawą fali współczucia i chęci porwania tej kobiety w ramiona, by dać jej pocieszenie i ciepło, którego ewidentnie jej brakowało. Na końcu gdzieś tam w jego umyśle bardzo nieśmiało, ale konsekwentnie budziło się poczucie, że oto prawdopodobnie ma przed sobą... swoją największą w życiu szansę. Szansę na odwzajemnioną miłość.

Bardzo szybko sprowadził niesforne myśli do parteru i na wszelki wypadek starannie przydeptał butem.

– Przepraszam, sama nie wiem, dlaczego to panu powiedziałam. W sumie nie interesuje pana życie prywatne pacjentek.

– Nie! – zaprotestował Stawinoga cokolwiek zbyt energicznie, czego momentalnie się przestraszył. – To znaczy chciałem powiedzieć, że ważne jest dla mnie to, co pacjentka czuje i no, tego, kim jest, bo, no, liczy się obraz całościowy. Ze względu na ciążę.

Otarł pot z czoła.

– Jeszcze raz przepraszam. Sprawia pan takie wrażenie, że jakoś tak człowiek ma ochotę się panu pozwierać.

Jarosław zatrzymał na niej wzrok o pięć sekund za długo.

– Och, co ja wygaduję – zreflektowała się, a doktor Stawinoga ze zdumieniem zauważył, że na jej policzki wypełził rumieniec.

– Nie, nie, nic się nie stało, nie ma pani za co przepraszać. To dla mnie komplement.

Zakończył badanie, polecił jej się ubrać i usiadł z powrotem za biurkiem, pisząc coś w jakichś papierach. Oboje milczeli onieśmieleni i oboje czuli, że właściwie takie onieśmielenie nie powinno mieć miejsca na linii lekarz – pacjentka. Stawinoga miał wrażenie, że jest nagi, kompletnie rozebrany ze swojego profesjonalizmu. Pacjentka oprócz tego, że jeszcze niedawno faktycznie była naga mniej więcej do połowy, dodatkowo rozebrała ze szmatek i wystawiła przed lekarzem swoją prywatność, co jeszcze pół godziny temu zupełnie nie przyszłoby jej do głowy.

– Proszę przyjść za dwa tygodnie – polecił. – Wszystko jest w jak najlepszym porządku, ale jak na pierwszą ciążę jest... no, późno, ehm, to jest, chciałem powiedzieć, że chciałbym ją dokładniej monitorować.

– To zupełnie zrozumiałe – zgodziła się.

Wychodząc z gabinetu, obejrzała się jeszcze i dłużej, niżby się tego spodziewała, spoglądała na niego swoimi szarymi oczyma. Stawinoga topił się pod tym spojrzeniem jak boczek na patelni, a babciny pulower, działając jak katalizator, doprowadzał krew w jego żyłach do stanu wrzenia.

– Dziękuję, panie doktorze. Bardzo się cieszę, że do pana trafiłam. Do widzenia.

I wyszła.

Lekarz ze zdumieniem zauważył, że nadal żył. Co więcej, nadal istniał świat zewnętrzny, co byłoby dowodem na jego drastyczną niekompatybilność ze światem wewnętrznym samego Jarosława. Świat wewnętrzny bowiem nagle pograżył się w totalnym chaosie, a powód tego był niezwykle prosty.

Jarosław Stawinoga w ciągu pół godziny beznadziejnie się zakochał.

Dorota Kotecka wracała z przychodni przy ulicy Podwale, zastanawiając się, co ma o tym wszystkim myśleć. Odniosła wrażenie, że przyszła do lekarza, ale wychodziła od dobrego kumpla. Choć nie, lepiej, może kogoś na kształt brata czy też przyjaciela. Ten facet nie powiedział nic, co wychodziłoby poza zwykłe ramy wizyty u ginekologa, ale jakoś tak... był, jakby, no, był bardziej. Bardziej niż lekarz. Był jak... mężczyzna, którego ostatnimi czasy bardzo jej brakowało.

Aż stanęła z wrażenia i wymierzyła sama sobie dwa policzki, by zatrzymać myśl, która właśnie radośnie rozpędzała się do galopu. Mijająca ją staruszka z zakupami rzuciła jej niepewne spojrzenie spode łba i na wszelki wypadek przyspieszyła kroku. Wariatów to wszędzie można spotkać, człowiek się nawet nie spodziewa.

Dorota pograżona w myślach przeszła przez przejście dla pieszych, a następnie przez Bramę Oławską pod placem Dominikańskim, zdecydowana zajrzeć do pobliskiej Galerii Dominikańskiej. Skoro jest tak blisko, to grzechem byłoby nie zrelaksować się przy małych zakupach. I pomyśleć. Przy zakupach świetnie się myśli.

Konsumpcyjne zamiary jeszcze nie zdążyły przejść w fazę realizacji, a już uwolniły w jej umyśle refleksje, które zaskoczyły ją samą. Do licha, to na pewno przez ciążę. Rewolucja hormonalna, radykalna zmiana w ciele musiała wywołać radykalny oddźwięk w psychice. Nie można tego wytłumaczyć inaczej.

Po pierwsze, facet był nawet przystojny. Z niewiadomego powodu nosił te koszarne okulary w grubych, rogowych oprawkach, w których wyglądał jak pracownik urzędu skarbowego osaczony

przez złowrogie tabelki, ale gdyby tylko zechciał je zdjąć, ukazałaby się spoza nich zupełnie kształtna twarz. I jeszcze ten pulower. Faktycznie sprawiał wrażenie, jakby ubierała go własna babcia. Chociaż może miał taki gust. Dorota szybko skreśliła tę myśl. Niemożliwe. Nikt o zdrowych zmysłach nie lubi takich swetrów, jeśli akurat nie reprezentuje płci żeńskiej po osiemdziesiątce. Dlaczego w ogóle je zakłada? Nie może się postawić? Co za mięczak. Chociaż nie. To znaczy owszem, mięczak, ale taki dobry. Było w nim coś, co roztopiało człowieka od środka i sprawiało, że świat wydawał się lepszy. Elena miała rację – to był po prostu dobry człowiek.

No i głos. Głos miał cudowny. Ciekawe, czy ktoś mu o tym kiedyś powiedział? Mógłby tym swoim głosem czytać coś bez przerwy, choćby ustawę o podatku dochodowym od osób fizycznych, a ona, nie zwracając uwagi na treść, delectowała się samym brzmieniem.

Znów przystanąła zaskoczona kierunkiem, jaki obrały jej myśli. Ktoś ją popchnął i wpadł na nią z tyłu.

– Na miłość boską, niech się pani tak nagle nie zatrzymuje na środku, przejść nie można! – warknęła jakaś blond piękność o cudnych nogach sięgających od ziemi do rajów.

– Przepraszam – bąknęła Dorota.

Blondyna spiorunowała ją wzrokiem i poszła dalej.

– Co za bezmózgi babsztyl – usłyszała Dorota jej głos, który szybko zlał się z ogólnym hałasem panującym w galerii.

Wzruszyła ramionami. Co ją obchodził jakiś blond terminator z podróbką torebki Chanel? Dla Doroty świat nagle i nieoczekiwanie zaczął inaczej wyglądać. Zorientowała się, że co prawda dopiero co opuściła gabinet Stawinogi, ale nie miałyby nic przeciwko temu, żeby bardzo szybko ponownie przekroczyć jego próg. Nawet jutro. Już miała chwycić tę ostatnią myśl za gardło i zadusić, ale w ostatniej chwili zdecydowała się na akt łaski i puściła ją wolno. Niech żyje. Niech żyje, do diabła, ma prawo. Świat i tak jest wręcz kosmicznie pokrecony, mała dawka dodatkowego szaleństwa w niczym mu już nie zaszkodzi.

3.

Listopad wyplakał się już do reszty i dla odmiany postawił na przymrozki. Elena wbrew wszystkiemu lubiła to stadium jesieni, która znajdowała się już u schyłku swojego istnienia, w zaawansowanej starości, tuż przed nadejściem prawdziwej zimy. Słowo „prawdziwa” dla Wrocławia należałoby ująć w okazały cudzysłów. Grudzień, styczeń i luty to czas, kiedy stada uczniów przyklejają nosy do szyby, stoją w blokach przed wyścigiem uzbrojeni w sanki i czekają na pierwsze płatki śniegu. Już któryś rok z rzędu okazało się, że niepotrzebnie. Zima we Wrocławiu od pewnego czasu wystawia środkowy paluszek i zakręca kurek ze śniegiem, tylko od czasu do czasu decydując się okazać namiastkę miłosierdzia i dawkując biały puch na jeden czy dwa dni, koniecznie w ilościach homeopatycznych.

Tabuny dzieciaków wyskakują wtedy na podwórka i pobliskie górki, w ciągu trzech godzin zajeżdżając to, co raczyło litościwie napadać, i wracają do domów bardzo z siebie zadowolone oraz usmarowane błotem od stóp do głów. Ich matki mdleją i rwą włosy z głowy (niekoniecznie w tej kolejności), załamują ręce nad kurteczką w kolorze mogącym wycisnąć łzy wzruszenia

z najtwardszego marines, która jeszcze dwie godziny temu była prześlicznie czerwona.

Wieczorem Wrocław zaczyna już zapominać, że przed południem przydarzyło mu się coś takiego jak śnieg, śnieg, który tradycyjnie zaskoczył drogowców. Zima stwierdza, że ma odfajkowane, śnieg zaistniał, następny za rok, reklamacji się nie przyjmuje, a tak w ogóle to do widzenia.

Co innego przedzimowa, późna jesień. Wymiętolone i kompletnie przemoknięte liście teraz zaścielają trawniki przyozdobione w bogatą biżuterię ze szronu. Powietrze iskrzy, para unosi się z ust ludzi czekających na przystankach. Drogowcy nie wyglądają na zaskoczonych, kierowcom jeszcze odpalają samochody. Nie ma wiatru (przez co smog grubą warstwą wisi nad miastem, ale cóż, nie można mieć wszystkiego), a błękitne, bezchmurne niebo sprawia, że fasady nawet najbrzydszych budynków zyskują na urodzie. Końcówka listopada we Wrocławiu potrafi być piękna.

Nawet Szczepin, o każdej innej porze brzydki jak noc, Szczepin, którego brudnych fasad dziesięciopiętrowych klocków nie broniły nawet zasadzone w latach osiemdziesiątych drzewa, w czasie mroźnych listopadowych poranków prezentował się... No nie, nie ładnie, ładnie z pewnością nie, ale chociaż znośnie.

Teraz zresztą nie prezentował się właściwie wcale, ponieważ o godzinie dwudziestej drugiej trudno było zaczepić wzrok na czymkolwiek innym niż wiecznie zbyt skąpym światłem rzucanym przez stojące wzdłuż przybłokowych asfaltowych alejek latarnie. Romeczek właśnie wstał od komputera i przeciągnął się.

– O Jezusie, dupa mi całkiem przyrosła do krzesła.

Elena zerknęła na niego znad swojego laptopa.

– Jak tam nasza strona internetowa?

– Uaktualniona. Zadbana.

– A fanpage na Facebooku?

– Zupełnie nieźle. Fanów przybywa i idą lajki. Wrzuciłem to i owo, reakcja ludzi pewnie się pojawi.

– Lubią nas? – spytała Elena, ponownie przenosząc wzrok na

laptop.

– Bardzo nas lubią. Jakby lajki były walutą, nie musielibyśmy w ogóle żadnych eventów prowadzić. Siedzielibyśmy tylko i klepali posty.

Elena uśmiechnęła się. No tak, szkoda, że nie są. Przydałoby się coś do wypełnienia pustki na koncie bankowym ich agencji artystycznej. Niby coś tam mieli, ale na tyle mało, iż byli niebezpiecznie blisko stwierdzenia, że „Anioły” jak przystało na istoty niebieskie, pracują za Bóg zapłać.

– Idziesz do łazienki? – zapytał.

– Idź pierwszy, ja jeszcze trochę pogapię się w ekran.

Romeczek przeciągnął się raz jeszcze, ziewnął przeciągle, podrapał po swoim spłaszczonym od siedzenia na krześle zadku i niespiesznie ruszył w stronę pomieszczenia, które radosny architekt w przyływie dobrego humoru i z pewnością nie na trzeźwo zdecydował się nazwać łazienką.

Elena odłożyła laptop i też się przeciągnęła. Faktury. Gdzieś położyła ostatnie faktury i koniecznie musi je znaleźć. Niby mogłaby poszukać ich jutro rano, ale coś, za co się zabrała dzisiaj, chce skończyć dzisiaj, w przeciwnym wypadku będzie ją to męczyło. Lubiła rozpoczęte rzeczy doprowadzać do końca, żeby móc zabrać się za kolejne. Rozejrzała się wokół siebie, rzuciła okiem w stronę regału, ale nigdzie nie widziała poszukiwanych papierów. Mogły być na biurku, a Romeczek jak to Romeczek, artystyczna dusza, nie zwrócił na nie uwagi, kiedy siedział przy komputerze i rzeźbił ich profil na Facebooku. W ich związku to ona mocno wrastała korzeniami w podłogę, po to by on mógł dotykać chmur.

Faktycznie, leżały tuż obok klawiatury, już nawet zdążył je zagiąć łokciem. Co za facet. Sięgnęła po nie i właśnie miała odejść, ale kątem oka zerknęła na monitor. Zerknęła i zamarła. Spojrzała raz jeszcze, tym razem nieco dłużej. Oczy robiły jej się coraz szersze i szersze, serce gwałtownie przyspieszyło, a faktury z bezładnym wdziękiem spłynęły z jej rąk na podłogę. Romeczek wcale nie siedział nad ich stroną internetową, nie miał też przed sobą profilu „Aniołów” na Facebooku. Nie opracowywał ich kolejnych

przedsięwzięć. Nie patrzył nawet na żadne gołe baby.

Romeczek pisał powieść.

Elenie zrobiło się słabo. Co gorsza, wszystko wskazywało na to, że jest to powieść o nich, o „Aniołach”. Wziął je wszystkie na warsztat jako materiał literacki. Nawet nie zadał sobie trudu, by pozmieniać imiona! Przewijała plik, pochłaniając kolejne akapity i narastała w niej złość przemieszana z przerażeniem.

Powieść była dobra. Naprawdę dobra. Przynajmniej to, co ogarnęła wzrokiem, sprawiało takie wrażenie. W końcu pisał to Romeczek, a Romeczek naprawdę miał talent, nigdy w to nie wątpiła i może faktycznie nazwisko Słowacki zobowiązuje. Tylko dlaczego, do diabła, ponownie ładuje się w to akurat teraz, kiedy ona podjęła nadludzki wysiłek, by zawrócić go z tej drogi snów o potędze i zaprząć jego wyobraźnię do pługa rzeczy konkretnych, a przynajmniej takich, które można jakoś przełożyć na pieniądze. Tymczasem on z powrotem zagłębia się w swoje literackie mrzonki, znów jest przekonany, że napisze powieść życia i że ją skończy, w przeciwieństwie do kilku poprzednich, które ciągle wegetują gdzieś tam w zakamarkach twardego dysku w stadium dzieł nigdy niedokończonych. Wszystko wskazywało na to, że złudzenia wrosły w jego duszę jak baobaby i wykorzenienie ich okazało się dużo trudniejsze, niż do tej pory sądziła. Niech to szlag.

Z łazienki dał się słyszeć rumor, najwidoczniej Słowacki opuścił kabinę prysznicową i sięgał po ręcznik. Należało się pospieszyć. Elena ustawiła znowu stronę i kursor w miejscu, w którym wszystko zastała, poprawiła nawet położenie komputerowej myszki. Zgarnęła faktury z ziemi i odsunęła się od komputera. Rozważała urządzenie swojemu ukochanemu karczemnej awantury, ale na razie zdecydowała się tego nie robić. Ostatecznie w niczym nie nawalał. Stało się teraz jasne, co tak długo trzyma go codziennie przy komputerze, i że nie są to ani pomysły na ich kolejne zlecenia, ani nawet jego teksty pisane na zlecenie. Chociaż racja, one też. Romeczek rozsądnie nie zarzucił tworzenia listów od czytelniczek do kobiecego czasopisma i odpowiadania na nie, nie zrezygnował też z pisania o niezwykłej przewodze nowej warstwy chłonnej w renomowanych pieluszkach. I bardzo dobrze, bo finanse „Aniołów” nadal były dalekie od oczekiwań. Do swoich

copywriterskich spraw i do wsparcia artystycznego „Aniołów do wynajęcia” dorzucił kolejne pisarskie nadzieje, ale trzeba mu przyznać, że z terminów wywiązywał się bez zarzutu. Dobrze się maskował, cwaniak.

Nie, nie będzie żadnej połajanki. Co więcej, uda, że niczego nie widziała i o niczym nie ma pojęcia. Nie da po sobie niczego poznać. Będzie za to bacznie śledziła jego ruchy i monitorowała sytuację. Z czystej ciekawości. Żeby się przekonać, w którym momencie Romeczek tym razem pęknie i na jakim etapie będzie powieść, kiedy dołączy do swoich poprzedniczek na wirtualnym cmentarzysku słów nikomu niepotrzebnych i zapomnianych.

– Coś się stało? – spytał twórca dzieł wiekopomnych, który wyszedł z łazienki w samych bokserkach.

Bokserki były w różowe słoniki. Trudno powiedzieć, żeby w znaczący sposób dodawały mu męskości, ale Słowacki nic sobie z tego nie robił.

– Nie, skąd, nic się nie stało – odparła Elena głosem zbyt lekkim, by wydał się w pełni wiarygodny.

Słowacki przyjrzał jej się raz jeszcze.

– Serio, wyglądasz, jakby coś się stało.

– Kochanie, zapewniam cię, że wszystko jest w najlepszym porządku – Elena szybko podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. – Znowu się nie wytarłeś porządnie, jesteś cały mokry.

– Jeszcze nie widziałaś łazienki... – Słowacki z sobie tylko właściwym wdziękiem sprawnym ruchem skierował piłkę do własnej bramki.

Elena odsunęła się i splotła ręce na piersiach.

– Znowu zalałeś łazienkę?

– Oj tam, zaraz zalałeś. Trochę poleciało i tyle. Jestem w stanie ci to wynagrodzić – podszedł do niej i objął ją mocno.

– Mój drogi – szepnęła mu do ucha, podczas gdy on całował jej szyję. – Najpierw wrócisz tam i wszystko pięknie powycierasz. A potem wynagrodzisz mi straty moralne. I lepiej, żebyś się do tego

przyłożył.

– O królowo – wymruczał. – Zapewniam cię, że będziesz bardzo zadowolona z efektów moich działań.

– Ja myślę. A teraz do dzieła. A królowa przygotowuje królewskie łożo.

4.

Odłożył telefon i dłuższy czas bez tchu wpatrywał się w wyświetlacz. Potem ostatecznie zdecydował się nabrać powietrza, co należało uznać za posunięcie nad wyraz słuszne. Śmierć (z uduszenia), która czaiła się za progiem, z rezygnacją zarzuciła kosę na ramię i kopnęła w jakiś leżący na ziemi kalendarz, zanim odeszła, odgrządzając się, że wróci później. Miał prawo być w szoku, a jego układ współczulny miał prawo zastrajkować, porzucając swoje podstawowe obowiązki.

Do wszystkiego miał prawo. Bo ona zadzwoniła.

Od ostatniej wizyty u niego, a zarazem pierwszej, minął tydzień. W tym czasie listopad przebiegł swój dystans i oddał pałeczkę grudniowi, który pognał dalej w corocznej sztafecie. Grudzień z miejsca wprowadził swoje zasady, czas malowniczo oszronionych liści należał więc do przeszłości. Teraz na ulicach Wrocławia rządziła deszczowo-śnieżna breja, która zasadniczo w niezmienionym stanie utrzyma się do marca z jednym czy dwoma wyjątkami, kiedy to mróz weźmie się do roboty i dzięki temu przez jakieś dwa dni poleży na trawnikach coś, co w przypiływie entuzjazmu można będzie nazwać śniegiem.

Dla Jarosława Stawinogi rozpoczęła się jednak najpiękniejsza pora roku, która w cuglach wygrywała ze wszystkimi przeżyтыми wcześniej kwiecistymi wiosnami, zostawiała w tyle upalne i słoneczne lata oraz kasowała już na starcie barwnejesienie.

Kto by pomyślał, że wiązka fal elektromagnetycznych może wywrzeć na organizmie tak silny wpływ.

Nigdy wcześniej nie kontaktowała się z nim bezpośrednio, bo przecież żeby się umówić na wizytę, dzwoniła do poradni, nie znał więc jej numeru telefonu, a tym bardziej nie miał go zapisanego w kontaktach. Cyfry, które wyświetliły mu się na ekranie telefonu, nie zdradziły mu więc nic (a kto wie, czy nie chichotały skrycie, będąc świadome zamieszania, jakie wywołają), dlatego odłożył na bok książkę i odebrał, zachowując spokój i profesjonalizm.

– Jarosław Stawinoga, słucham.

– Dobry wieczór, panie doktorze.

W pierwszej chwili nie poznał jej głosu, czemu zresztą sam potem bezbrzeżnie się dziwił, dlatego jego spokój trwał nadal, nieświadomy, jak niewiele czasu mu jeszcze zostało.

– Dobry wieczór, w czym mogę pomóc?

– Z tej strony Dorota Kotecka. Byłam u pana tydzień temu w gabinecie. Przepraszam, że dzwonię na pana prywatny telefon, numer był na pieczętce, to znaczy na recepcie. Pozwoliłam sobie tak zadzwonić, bo mam pytanie...

Nie słuchał dalej. Bóg mu świadkiem, że nie był w stanie. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe, w głowie się kręciło, przed oczami w opętańczym tańcu przemykały mroczki i doprawdy pozostawało niepojęte, dlaczego przy okazji nie doszło do fuzji galaktyk, rozpadu księżycy na kawałki czy chociażby zatrzymania ruchu Ziemi. To ona. To ta kobieta, w której tak beznadziejnie i zupełnie nieoczekiwanie dla siebie samego się zakochał. Niemalże widział teraz przed sobą jej długie, rude włosy, niesfornie opadające jej na twarz, niemalże mógł podziwiać szarość jej oczu z pozoru chłodnych, lecz skrywających wielkie pokłady uczuć (tak przynajmniej sądził). Ta, u której nie miał najmniejszych szans i szans tych sobie nie dawał nawet w marzeniach, zadzwoniła. Prawie widział ją, kiedy

tak do niego mówiła...

No właśnie, ona coś mówiła.

– Halo, panie doktorze, jest pan tam? – jej głos wydał mu się teraz nieco zaniepokojony.

– Yyy, prze... przepraszam najmocniej, jakieś problemy z połączeniem miałem. Nie słyszałem, co pani mówiła. Czy mogłaby pani jeszcze raz powtórzyć?

Po drugiej stronie nastąpiło westchnienie.

– Mówiłam, że mam obawy i wątpliwości, których nikt nie potrafi mi rozwiązać. Nie wiem, co jest normalne, a co nie. To moja pierwsza ciąża, wie pan, a najmłodsza już nie jestem. Nie mam kogo o to zapytać. Zaglądałam na fora i grupy ciążowe, ale po lekturze wątków wszystko wydaje się nienormalne i patologiczne. Ja przepraszam, to strasznie głupie, że do pana dzwonię, pan ma pewnie kupę własnych spraw, pacjentki do pana dzwonią w kwestiach naprawdę ważnych, a tutaj jakaś baba uprawia rozkminy.

Jarosław spojrzał na swoją, jak to ona określiła, kupę własnych spraw. Kupa była pokąźnym stosem kryminałów przemieszanych z powieściami szpiegowskimi, w których jak rodziny tkwiły tytuły stricte medyczne z dziedziny ginekologii.

– Nie, nie, w porządku. Chętnie pani pomogę. Akurat mam teraz, ekhm, chwilę czasu. Proszę powiedzieć, w czym jest problem.

Czyżby uczucie ulgi po drugiej stronie?

– No, to teraz ja nie wiem, od czego zacząć. Boże, jakie to głupie. Ale ze mnie kretynka, przepraszam, panie doktorze, nie ma o czym mówić. Do widz...

– Nie! – prawie krzyknął, chcąc za wszelką cenę ją zatrzymać. – Niech się pani nie rozłącza! Proszę powiedzieć, nawet jeśli wydaje się to pani piramidalnie głupie. Nie ma głupich spraw, są po prostu kwestie domagające się wyjaśnienia. Śmiało.

Boże, niech coś wymyśli, niech mówi, niech się odezwie, nie to trwa, niech trwa, do licha!

Po drugiej stronie Dorota Kotecka zapewniała, że jej strasznie głupio i to, co powie, brzmi teraz jakoś tak płasko i trywialnie, ale czy on mógłby jej powiedzieć, czy normalne jest... I tu zaczęła opowiadać. Odpowiedział, że to, co czuje, jest najpewniej efektem przystosowywania się organizmu do zupełnie nowej sytuacji i pokłosem gigantycznej burzy hormonalnej, jaka w tej chwili przetacza się przez jej ciało, trzeba więc spojrzeć na to wszystko z dystansem. Z drugiej strony należałoby też zachować czujność, bo faktycznie czterdzieści dwa lata to nie dwadzieścia cztery, kolejność cyferek jednak ma znaczenie, dlatego na następnej wizycie on ją zbada jeszcze pod innym kątem i zobaczą, co dalej. Może zaleci dodatkową diagnostykę, może wystawi jakąś receptę. Tak czy inaczej niech pani Kotecka będzie dobrej myśli, niedługo się spotkają.

Gdy tylko wypowiedział ostatnie zdanie, uświadomił sobie, jak dziwnie to mogło zabrzmieć. Już miał wpadać w panikę i profilaktycznie rzucać się z okna, ale po drugiej stronie słuchawki ku jego zdumieniu padło stwierdzenie, że to wspaniale, że to już niedługo, bo zaledwie tydzień, i ona się cieszy, że pan doktor tak świetnie ją podniósł na duchu poprzez uświadomienie w kwestiach dla ciężarnej istotnych.

Przez chwilę panowała krępująca cisza, po czym on chrząknął i chciał coś powiedzieć, ale okazało się, że mówią jednocześnie, bo ona też zaczęła. Znowu więc umilkli, aż Kotecka jakoś tak trochę dziwnym tonem powiedziała, że na nią już czas i że bardzo dziękuje, bo już późno. I że do zobaczenia wkrótce. I dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedział i czekał, a ona odłożyła słuchawkę.

Dojście do siebie zajęło mu sporo czasu. Nigdy wcześniej nie rozmawiał w ten sposób z kobietą, nawet jeśli ta kobieta zaliczała się do grona jego pacjentek, a konkretniej tej grupy pacjentek, które są w ciąży i to jeszcze (cha, cha, dowcip stulecia) nie z nim. Czuł się jak drobna i słaba roślinka przesadzona nagle na kompletnie inny grunt. Nie wiedział, co sądzić i myśleć, nie miał pojęcia, czy to, co czuje, jest normalne czy nie.

– Rany boskie, zupełnie jak szczył w gimnazjum, a nie jak dorosły facet – mruknął do siebie.

Wyszedł ze swojego pokoju i skierował się do kuchni, bo nagle potwornie zachciało mu się pić. Sięgnął po butelkę wody mineralnej. W kuchni przy stole siedziała babcia, gorączkowo starająca się sprawiać wrażenie, że ani trochę nie podsłuchiwała pod jego drzwiami. Jako alibi postawiła przed sobą na stole koszyk z przyborami do szycia i udawała, że pochłania on całą jej uwagę, na co nie można było się w żadnym wypadku nabrać z bardzo prostego powodu.

Nie miała na nosie okularów.

– Kto dzwonił, Jareczku?

– Pacjentka.

– Aha.

Doktor Stawinoga ugasił pragnienie i niemalże czuł, jak w głębi jego duszy syczy i dymi schładzania właśnie wrząca lawa.

– A czego chciała, Jareczku?

– Nic szczególnego. Porady. Jak to pacjentka.

– Jak to pacjentka. Aha – babcia bezskutecznie nawlekała igłę, ale robiła to bez jakiejś szczególnej determinacji w dążeniu do osiągnięcia celu.

– A babcia nie kładzie się spać? Już późno.

– Ustatkowałbyś się, Jareczku – babcia jakby nie słyszała pytania. – Tylko pacjentki do ciebie dzwonią. Po porady dzwonią. A ja myślałam, że to jakaś twoja panna.

– Moja panna?! Ja nie mam panny! – Jarosław Stawinoga był tak zszokowany połączeniem jego i „panny”, tak niewiarygodne w ogóle mu się to połączenie wydawało, pod taki oksymoron podchodziło, jakby usłyszał o niezwyklej skromności znanego celebryty.

– Właśnie o tym mówię. Ustatkowałbyś się, Jareczku – ciągnęła niezrażona babcia.

Stawinoga machnął ręką, opłukał szklanekę i postawił ją na suszarce do naczyń.

– Ech, dla babci wszystko jest takie proste. Jak zawsze. Jestem zmęczony, dobranoc.

Wyszedł z kuchni.

Babcia westchnęła, schowała zupełnie jej niepotrzebne przybory do szycia i wróciła do swojego pokoju. Musi zadbać o swojego Jareczka, on sam o sobie zupełnie nie myśli. Z pannami mu nie pomoże, ale nad jego zdrowiem się pochyli. Pulowerek właśnie mu kupiła, taki ładny, brązowy. Nosi. Podoba mu się widać. To dobrze. A on bez czapki też chodzi, choć takie chłody na dworze. To niedobrze. Za czapką rozejrzeć się musi. Na targ jutro pójdzie, o! Tam na pewno coś ładnego znajdzie dla takiego dobrego chłopca. I tanio.

Ucieszona nową ideą, położyła się z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku i z planem działania na przyszły dzień. Spojrzała na wiszącą ikonę Matki Boskiej Ostrobramskiej i zasnęła.

Dorota Kotecka odłożyła słuchawkę telefonu i poczuła natychmiastową potrzebę zjedzenia tabliczki czekolady. Całe szczęście miała zapas w szafce. Cóż, uroki rozpoczynającego się właśnie drugiego trymestru. Podobno. Z tego, co czytała. Wyciągnęła tabliczkę, z której spoglądało na nią zwierzę kopytne w kolorach rodem z *delirium tremens* i na wszelki wypadek zlustrowała też zamrażalnik w poszukiwaniu lodów. Pechowo nie było. Musi z samego rana naprawić ten błąd. Z czekoladą w dłoni i nucąc pod nosem, opuściła kuchnię tanecznym krokiem, zmierzając w stronę salonu.

Była taka szczęśliwa. Nawet rozświetlone okna wznoszącej się naprzeciw masywnej bryły wieżowca Sky Tower zinterpretowała jako dobrą wróżbę na przyszłość i w ogóle czuła, że należą jej się oklaski w uznaniu za jej czyn.

Zadzwoiła do tego lekarza. Wytrzymała aż tydzień i zadzwoniła. Ciąża to jednak przedziwny stan, robi coś z mózgiem i z emocjami, w ogóle ze wszystkim coś robi, tak że człowiek nie poznaje samego siebie. Gdyby ktoś jej wcześniej powiedział, że będzie podrywać własnego ginekologa, to w ciągu dwóch sekund zabiłaby go śmiechem, a ciało złożyła w darze Ministerstwu Głupich Kroków. Lub coś tam.

Tymczasem ona to właśnie przed chwilą zrobiła. Zadzwoiła do niego w porze powszechnie uznawanej za prywatną (no chyba że ma się akurat wtedy dyżur w szpitalu, z czym, rzecz jasna, się liczyła, i co na szczęście nie miało w tym przypadku miejsca) i zaczęła mu bredzić o swoich problemach. Bardziej wymaginowanych niż rzeczywistych, bo jednak już trochę czasu w tej ciąży jest i do pewnych spraw zaczęła się przyzwyczajać, a do innych nabierać właściwego dystansu. Chciała jednak po prostu usłyszeć jego piękny, głęboki, radiowy głos, który przez telefon brzmiał jeszcze lepiej niż na żywo.

Wydał jej się zmieszany. Może zastała go w jakiejś, cóż, sytuacji? Może był z kobietą? Kobietę Dorota szybko i stanowczo wymazała ze scenariusza. Nie, nie był z kobietą, nie poświęciłby jej przecież tyle czasu. Raczej odesłałby ją na wizytę, która jest przecież już za tydzień. Już za tydzień! Hura! Za tydzień? Nie wytrzyma! Musi zobaczyć się z nim wcześniej.

Rany boskie, co się z nią dzieje? To kompletnie nieracjonalne, szalone działanie, bardziej pasujące do nastoletniej podfruwajki niż do dojrzałej kobiety, która ma te swoje cztery dychy, obarczone już niezłym bagażem doświadczeń. W tym wieku nie skacze się na główkę do nieznanej wody. To, co teraz wyczyniała, aspirowało do miana głupoty miesiąca, ba, nawet dekady. Zalecała się do własnego lekarza, który poznał ją na wylot od – *excusez le mot* – dupy strony! Tragedia! Cięża faktycznie wypala mózgi na zgrabne racuszki.

Tymczasem jednak on... Miał w sobie coś takiego, że był jak szczeniak zostawiony w pudełku przed hipermarketem z karteczką „Przygarnij mnie”. Był jak zagubiona istota domagająca się odnalezienia. Miał w sobie coś tak uroczym i nieporadnym, że aż się prosiło, by wziąć go za rękę i poprowadzić we właściwym kierunku. Ta jego łysina i te koszarne okulary, a do tego jeszcze gorszy sweter. Gdzie on, do diabła, taki wynalazł? Na targu? Sprawiał wrażenie takiego nieśmiałego... No słodzik po prostu!

W Dorocie uczucia matczyne i opiekuńcze przemieszały się z coraz silniej dochodzącym do głosu pożądaniem, tworząc niebezpiecznie wybuchową mieszankę, uczuciową bombę zegarową. W każdej chwili mogła eksplodować, przerzucając pociąg dziejów na tory,

którymi pierwotnie nigdy nie miał jechać i którymi być może jechać nie powinien.

Póki co sytuacja wydawała się pod kontrolą. Jednak anioł stróż, który być może poczuł się zmęczony trudnym przypadkiem swojej podopiecznej i nieustannymi nadgodzinami, jakie musiał brać, by podołać obowiązkowi z nią związanym, zdrzemnął się na służbie, choć robić tego absolutnie nie powinien. Kiedy tak chrapał w najlepsze, przez nieuwagę trącił skrzydłem zapalnik i uruchomił mechanizm zegarowy. Ocknął się niewiele później i z przerażeniem zauważył, co się stało. Było już jednak za późno. Pozostawało mu tylko złożyć raport przed Szefem i zasugerować wprowadzenie planu B.

5.

Zima we Wrocławiu. Gdyby Marta miała obmyślać dla kogoś jakąś karę, zasugerowałaby zesłanie delikwenta na zimowe miesiące właśnie do tego miasta. Pomimo wspaniale brzmiących akcji antysmogowych z licznych kominów ulatywał szarobury, ciężki dym. Gdyby to jeszcze chciał sterować w niebo. Ale gdzie tam! Zamiast odchodzić gdzieś do atmosfery i walczyć w świętej wojnie przeciwko warstwie ozonowej, on snuł się pomiędzy dachami jak znudzony drapieżnik. Ocierał się o fasady kamienic, pozostawiając na nich pamiątki w postaci pyłu i brudu, który w połączeniu z deszczem (bo przecież nie ma co podejrzewać Wrocławia o śnieg) tworzył czarne zacieki. Nie dość, że niebo było stalowoszare, nie dość, że na chodnikach i ulicach zagościła słonobłotna, niszcząca buty breja, to jeszcze ten śmierdzący dym. Naprawdę nie da się tu normalnie oddychać.

Otworzenie okna też nie wchodzi w grę.

Nadodrze odziane w taką grudniową aurę wygląda ponuro. W oknach nie widać jeszcze kolorowych choinek, choć reklamy świąteczne w telewizji ruszyły pełną parą i jeden brodaty satyr w czerwonym średnio co dziesięć minut zajeżdża ciężarówką pełną

cukru w gazowanym płynie. Odrapane fasady kamienic wydają się wtedy jeszcze bardziej odrapane. Zwłaszcza na Rydygiera. Ta sąsiednia kamienica, od której już dawno temu odpadły balkony i załatwiono sprawę, montując prowizoryczne barierki w oknach balkonowych, była rekordy dziadostwa. Ulicy Rydygiera nie ratowały nawet nowe inwestycje deweloperskie, zwłaszcza ta w podwórku naprzeciwko. Niby ładny ten blok, może i faktycznie coś zrobiją z samym podwórkiem, ale okolica...

Niedaleko Marty jest kolejne obszerne podwórko, otoczone z czterech stron murami kamienic, w którym działa jakaś knajpa aspirująca do miana punktu inicjatyw artystycznych czy czegoś w tym guście. Na ściany kamienic naniesiono murale, wiosną i latem przed knajpę wystawiają jakieś leżaczki. Można posiedzieć, piwa się napić. Mieszkańcy według tego pomysłu mają się integrować, miło spędzać czas w sąsiedzkim towarzystwie, poznawać się lepiej, zacieśniać relacje.

Może nawet się poznają i zacieśniają, ale Marta, ilekroć przechodziła obok tego podwórka, zdumiewała się tą wrocławską formą hipokryzji. Tak jakby pociągnięcie artystycznym lakierem miało ukryć prawdziwy stan rzeczy. A prawdziwy stan rzeczy był taki, że społeczeństwo Nadodrza w istotnym procencie toczył rak alkoholizmu, przemocy domowej i życia z zasiłków, bez szukania jakichkolwiek innych perspektyw, których podobno we Wrocławiu nie brakowało. Marta odnosiła wrażenie, że ostatnie, o czym myślą mieszkańcy tej części miasta, to kulturalne bratanie się w ramionach sztuki.

A murale na ścianach mają zwyczajnie w dupie.

Odeszła od okna, zasunęła firankę i wróciła do komputera. Wypiła łyk „rozpustnej”, jak to mówiła Aśka, kawy z mlekiem, która w międzyczasie zdążyła ostygnąć i po przyjemnym ciepелku pozostały jedynie wspomnienia. Marta zdecydowana była opróżnić kubek do końca tak czy siak. Kawy po prostu się nie zostawia i kropka.

Tak *à propos* tych perspektyw. Może Wrocław pod tym względem nie jest aż taki zły? Może przez te trzy beznadziejne lata docierali się i poznawali, a teraz w końcu zaczynają odbierać na tych samych

falach? Kto wie? Cóż, alternatywą pozostawałoby to, że Marta zwyczajnie brnie z jednej mrzonki w drugą, budując swój świat na złudzeniach.

Jeśli jednak w jej życiu pojawiła się kolejna szansa na zrobienie czegoś zupełnie nowego i szalonego, grzechem byłoby jej nie wykorzystać, prawda? Choć z tym szaleństwem nie przesadzajmy, nie jest tak źle. Każdy kolejny dzień dokłada swój klocek do budowli doświadczenia życiowego, którą Marta pracowicie wznosi, może więc tym razem będzie inaczej niż do tej pory. Coś tam już przecież wie.

Westchnęła i wreszcie ruszyła z pisaniem tego, za co zabierała się już od pewnego czasu. To zawsze jest trudne i chyba nigdy się do tego nie przyzwyczai (oby nie, bo to oznaczałoby życiową padakę), ale tym razem chciała się naprawdę przyłożyć, dlatego sama sobie zawiesiła poprzeczkę bardzo wysoko. Tak swoją drogą dobrze, że Aśki i Marka nie ma teraz w domu. Gdyby wiedzieli, za co się zabrała, nie byłiby wybitnie zadowoleni. Oni patrzą na to wszystko trochę inaczej. Mają inne plany, inne priorytety i w końcu są razem, a świat dla tych, którzy są w związkach, wygląda inaczej niż dla tych, którzy pozostają samotni. I stwarza im inne możliwości. Większe. To brutalne, ale tak niestety jest.

Trzeba więc zmienić optykę i patrzeć na tę szansę, nową szansę, jak na coś, co jest w zasięgu ręki, do uchwycenia. Trzeba nastawić się pozytywnie. Dziś rzeczywistość wygląda inaczej niż jeszcze kilka miesięcy temu. Coś tam już się wyklarowało. Trzeba tylko odpowiednio do tego podejść. Postarać się i zawalczyć o siebie.

Marta postanowiła, że się postara. Postara się jak jasna cholera.

6.

Siedział naprzeciwko niej przy stoliku w stosunkowo niewielkim lokalu jak na galerię handlową i wyraźnie nie wiedział, co zrobić ze swoją filiżanką. Jakby obawiał się, czy mieszając cukier w prawą stronę, nie popełni jakiegoś *faux pas*, bo kto wie, może należało mieszać w lewo. Lokal z nazwy był kawiarnią, ale w praktyce tam i z powrotem przechodziły tuż obok należących do niego stolików prawdziwe pielgrzymki w poszukiwaniu już to markowych ciuchów, już to promocyjnych telewizorów. Człowiek miał wrażenie, że siedzi w korytarzu lub w poczekalni na dworcu.

Ale to dobrze. Poczucie intymności chyba jeszcze bardziej wzmogłoby jego nieśmiałość, w pierwszej chwili wyglądał bowiem, jakby miał zamiar uciec z wrzaskiem, i doprawdy odnosiła wrażenie, że tym, co trzyma go na miejscu, jest właśnie filiżanka kawy. Oraz łyżeczka, która kompletnie go pokonała. Spojrzał na nią przepaszająco i uśmiechnął się. Miał ładny uśmiech.

– To może się wydać dziwne, ale lubię to miejsce – powiedziała.

– Dlaczego? – zdecydował się jednak zakręcić łyżeczką kilka razy w lewo, po czym wreszcie upił ze swojej filiżanki.

– Cóż, jest tutaj zupełnie sympatycznie. Nie ma takiej nadętej atmosfery, można wpaść tak po prostu z marszu. Nawet w dresie, jeśli ktoś wychodzi w dresie do miasta. Zwyczajnie napić się kawy i spotkać.

– Galeria handlowa miejscem spotkań – znów się uśmiechnął.

– W Sky Tower nie ma wbrew pozorom aż takiego ruchu. No, teraz to inaczej, bo niedługo będą święta. Ludziom się już udzieliło i latają jak kot z pieprzem. Poza tym mam blisko.

– No tak – zgodził się. – Właściwie ja też. Mieszkam, jak się okazuje, blisko pani.

– Ciebie. Przed chwilą przeszliśmy na ty – poprawiła go cierpliwie.

– Wybacz, to takie nietypowe spotkanie – speszył się.

– Nie umawiasz się z kobietami? – uniosła jedną brew.

– Tutaj nie.

– A gdzie indziej?

– Tu mnie masz. Gdzie indziej też nie.

– To tak jak ja. Ja też nie umawiam się z kobietami – roześmiała się.

Atmosfera zaczęła nieco się rozluźniać, jakby ktoś rozsypał wiązanie przy zbyt ciasno zapiętym gorsecie, a sznurek sam powoli dokonywał reszty roboty.

– Z mężczyznami też się nie umawiam. Ani tu, ani gdzie indziej. Już nie – dodała i na moment przez jej szare oczy przebiegł cień zwiastujący chłód.

– A ja?

– Dla ciebie zrobiłam wyjątek.

Zapadła cisza. Wyraźnie chciał coś powiedzieć i jeszcze wyraźniej nie wiedział, czy może wypuścić na wolność słowa, które więził i dusił w sobie. Zamiast nich sięgnął do ławki rezerwowych.

– Cieszę się, że tu jestem.

- Ja też się cieszę. Fajnie tu jest.
- Fajnie – zgodził się i ponownie uśmiechnął.

Kolejna wizyta w przychodni odbyła się zgodnie z wcześniej umówionym terminem i wszystko przebiegło tak, jak Dorota się tego spodziewała. On wyraźnie ucieszył się na jej widok, co próbował rozpaczliwie zamaskować lekarskim profesjonalizmem, a im bardziej był speszony, tym dłuższych i trudniejszych terminów medycznych używał. Ona ucieszyła się, że on się ucieszył, choć sama nie rozumiała swojego entuzjazmu, i po raz kolejny znalazła sobie dyżurnego winnego, czyli ciążę. Bardzo wygodne rozwiązanie. Wszystko można sobie nią wytłumaczyć.

Dorota miała wiele pytań, on na te pytania cierpliwie odpowiadał. Sposób odpowiedzi najwyraźniej ją usatysfakcjonował, dzięki czemu jemu wyrosły skrzydła, a nie były widoczne tylko dlatego że nie mogły się przebić przez brązowy pulower.

W powietrzu unosiła się atmosfera czystej harmonii, zen, spełnienia i oboje mieli wrażenie, że są jak jin i jang, jak Żwirek i Muchomorek, jak czterej pancerni i czołg, jak Kopciuszek i jego pantofelek, słowem istnienie jednego wydawało się bezsensowne, gdyby pozbyć się tego drugiego. Sama wizyta skończyła się po półgodzinie, co i tak było czasem długim jak na standardy przychodni przy Podwalu, a Dorota, idąc do wyjścia, przedzierała się przez gęstniejącą żądzę mordu wyraźnie widoczną w oczach innych pacjentek odprowadzających ją wzrokiem. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, nie miałyby żadnych szans dotarcia do drzwi, a jej marny zewłok zostałby spopielony po uprzednim rozerwaniu na strzępy. Ona szczęśliwie nie zdawała sobie sprawy ze stanu ducha innych oczekujących, dlatego rozradowana jak dziecko, które dostało wymarzony zestaw Lego, trzy razy większy niż się spodziewało, wyszła prosto na porywisty wiatr i siekący śnieg z deszczem. Jednak nawet zimowa wrocławska aura nie była w stanie ostudzić jej uczuć.

Uczucia te były gorące i przyjemne jak kaloryfer w samym środku sezonu grzewczego. Trzy minuty po opuszczeniu przychodni, zanim jeszcze dotarła na pobliski przystanek, już tęskniła. Kiedy

uświadomiła sobie swój stan, przystanąła i roześmiała się na całe gardło, w skutek czego pewien rowerzysta z gatunku twardzieli (dajcie mi grad i tak będę jechał) o mało co nie skończył swojej podróży, wjeżdżając na łeb na szyję do przejścia podziemnego zwanego Bramą Oławską – tak bardzo skupił swoją uwagę na Dorocie, zamiast na tym, co ma przed sobą.

Zakochała się. W ginekologu. No głupiej już być nie mogło! Najpierw zaczęła współpracować z kompletnymi świrusami spod sztandaru „Aniołów do wynajęcia”, przekonana, że czyste szaleństwo i mnóstwo roboty są jedynym sposobem na uniknięcie rozpaczki po zdradzie i odejściu Bartłomieja, a teraz okazało się, że wpadła w jeszcze większy obłęd, przy którym „Anioły” zdają się zupełnie normalne i nawet nudne. Kolejna wizyta wypadła krótko przed świętami Bożego Narodzenia, ale Dorota była całkowicie pewna, że do tej wizyty po prostu nie wytrzyma. Pomyślała sobie w domu i podumała, ale nie za długo, bo jej domeną było raczej działanie niż czasochłonne dywagacje, po czym zdecydowała się do niego zadzwonić i zaproponować spotkanie. Może wymyśli jakiś pozór, a może i nie, to się zobaczy. Spotkanie, rzecz jasna, na gruncie prywatnym.

Gdyby wiedziała, co działo się w samym Jarosławie Stawinodze, wiedziałaby, że stwarzanie pozorów nie ma żadnego sensu. Stawinoga chłonał jej obecność w gabinecie każdą komórką swojego ciała i wznosił się na wyżyny swoich uczuć, które jak uważał, pozostawały nieodwzajemnione. Coś tam mu jednak nie pasowało i gdzieś z tyłu mózgu wykiełkowała nieśmiała myśl, że przecież żadna z jego poprzednich miłości po grób nie zachowywała się tak jak Dorota Kotecka i nie patrzyła na niego w ten sposób, w jaki patrzyła ona. Bronił się przed tą myślą rękami i nogami, kneblował ją, miażdżył i dusił, ale ona nie dała się zatłuc do końca i wylizawszy rany, odzywała się znowu. Jarosław Stawinoga zaczął w końcu podejrzewać, że coś powinien zrobić, podjąć jakąś inicjatywę, zadziałać. Ponieważ jednak nie zebrał w tej dziedzinie żadnego wcześniejszego życiowego doświadczenia, w czym przeszkodziły czynniki zewnętrzne oraz kompletny brak asertywności, nie miał pojęcia, od czego zacząć. Żeby więc nie popełnić błędu, na wszelki wypadek postanowił nie robić nic

i czekać na bieg wydarzeń, przekonując się w duchu, że na pewno mu się wydaje i starokawalerstwo rzuciło mu się na mózg.

Po kilku dniach od kolejnej wizyty Dorota zrozumiała, że nie wydarzy się nic, jeśli to ona nie pociągnie za sznurki. Stwierdziła, że obiektywnie rzecz biorąc, nie ma nic do stracenia, bo właśnie jej życie znalazło się na zakręcie, została samotną matką z dzieckiem, runęły jej wszystkie nadzieje i plany, dlatego naprawdę nie stanie się nic, jeśli zadzwoni do Stawinogi i zaproponuje mu randkę. Zadzwoniła więc.

Dzwonek jego telefonu rozległ się w momencie, kiedy irytująca myśl z zaplecza jego umysłu przekonała go w końcu, że nic nie robiąc, faktycznie nic nie robi, czyli nie posuwa wydarzeń naprzód, nie ma się więc co spodziewać, że coś się stanie, skoro on nie podejmuje żadnych działań, by się stało. Od pewnego czasu dojrzał do decyzji, że zadzwoni do Doroty pod pretekstem dbałości o jej stan i przekazania jeszcze kilku wskazówek, ale za każdym razem zły chochlik szeptał mu do ucha, że w ten sposób zrobi z siebie takiego idiotę, że jeszcze długi czas cały Wrocław będzie rżał ze śmiechu, przekazując sobie historię o nim z ust do ust. Stawinoga przeżywał więc męki i katusze, a w jego głowie trwała zażarta walka między opcją działania a opcją czekania i kiedy właśnie wydawało się, że poleje się krew, telefon zadzwonił. Spojrzał na wyświetlacz i poczuł tak niewypowiedzianą ulgę, że naprawdę nie miało dla niego znaczenia, z czym Dorota dzwoni i czego będzie chciała; zgodzi się na wszystko.

Ona chciała się spotkać i tego on nie spodziewał się wcale. Niby coś tam właśnie o tej ciąży gadała, ale absolutnie nic z tego, co mówiła, nie docierało do świadomości Jarosława, bo zwycięska frakcja w jego umyśle zapaliła potężny neon z napisem UWAGA, RANDKA. Zanim więc zdążył zająkać się na śmierć lub umrzeć z niedotlenienia, ona szczęśliwie przejęła inicjatywę i zaproponowała miejsce, które ku jego zdumieniu było blisko ich obojga. Prawdą jest stwierdzenie, że miłość jest ślepa, bo dopiero w tym momencie Jarosław Stawinoga skojarzył adres na wypisywanych dla Doroty receptach i dotarło do niego, jak blisko siebie mieszkają. Ona na Powstańców Śląskich, on na Kruczej, a Sky Tower wznosi się pomiędzy nimi jako idealny kompromis.

Umówili się więc, a właściwie to ona umówiła ich. On lojalnie poinformował babcię, że ma dodatkową zmianę w szpitalu, bo wziął ją za kolegę, dlatego wróci później. Zdecydował się nie wtajemniczać staruszki w swoje przeżycia, bo zapewne do białego rana klęczałaby przed obrazem Ostrobramskiej w podziękę za otrzymane łaski, a gdy tylko pora stałaby się bardziej ludzka, zwierzyłaby się pierwszej lepszej wyczajonej przez wizjer sąsiadce. Tej lawiny mogłoby nic nie zatrzymać, a w razie randkowej porażki Jarosław nie miałby życia przez następne dwa lata, dlatego wołał nie ryzykować.

Dokonał jednak małej zmiany: zdobył się na odwagę i zamiast znieawidzonego pulovera narzucił na koszulę sztruksową marynarkę, którą z niemałym zdumieniem odkrył w swojej szafie. No proszę. Pulowery zdominowały go tego stopnia, że zapomniał, co w ogóle ma w garderobie. Wychodząc z domu, naciągnął na głowę czapkę, nowy prezent od babci, zimową i ciepłą uszankę („Jareczku, takie czapki w czasie wojny pozwalały przeżyć”), która przez pewien czas walczyła o palmę pierwszeństwa w dziedzinie obciachu dekady, ale w końcu poddała się i uznała wyższość brązowych pulowerów.

Siedzieli więc teraz w pseudokawiarence, która intymność i spokój gwarantowała wyłącznie po godzinach zamknięcia obiektu, poznając się coraz lepiej i rozmawiając o wszystkim i o niczym. Po przedarciu się przez żywopłoty nieśmiałości wyszli na równinę wzajemnego porozumienia. Dorota ze zdumieniem odkrywała, jak wiele rzeczy ich łączy, jak bardzo podobne są ich zapatrywania na rozmaite kwestie, od poglądów politycznych zaczynając, przez kuchnię, na guście muzycznym kończąc. Dodatkowo Stawinoga tak drastycznie różnił się od Bartłomieja Goryczki, że już sam ten fakt był w oczach Doroty jego dodatkową zaletą.

Kiedy się już rozkręcił, okazał się przesympatycznym mężczyzną obdarzonym dużym poczuciem humoru, o wielkim sercu i ciepło patrzących oczach. Oczom tym mogła się przyjrzeć bliżej, kiedy zapomniał się i w ferworze opowiadania zdjął okulary, a następnie położył je obok siebie na stoliku. Stało się wtedy jasne, że Jarosław Stawinoga jest całkiem przystojnym mężczyzną, a przynajmniej nie

odbiega w tej kwestii od średniej krajowej i zdecydowanie nie ma się czego wstydzić. Łysina wcale nie odbierała mu męskości, wprost przeciwnie.

Sam Jarosław ugruntował się w tym, o czym był przekonany od samego początku. Dorota Kotecka to kobieta jego życia. Podobne myśli zdarzały mu się już wcześniej w odniesieniu do pewnej Edytki i jeszcze jednej Marioli, a i Hanka jeszcze była, nie zapominajmy. Tym razem jednak pojawiło się coś zupełnie nowego, na co Jarosław kompletnie nie był przygotowany i czego nie śmiał nawet brać pod uwagę – poczucie wzajemności. Fakt, że może interesować ją jako mężczyzna, po pierwszym oszołomieniu dodał mu skrzydeł. Czuł się już wyraźnie rozluźniony i choć niepewność krzyczała gdzieś tam z tyłu, że halo, nie zapominaj o mnie, towarzyszyłam ci tyle lat, on już wypływał na zupełnie nieznane sobie wody, szerokie po horyzont.

Chwilo, trwaj, myślał sobie zaraz za Faustem, ale chwila, jak to chwila, okazała się nad wyraz ulotna i romantyczną atmosferę przeciął jak grom dźwięk jego telefonu. Dzwoniąca komórka w pierwszej chwili o mało nie wypadła mu z ręki.

– To szpital, muszę odebrać, przepraszam. Słucham, Stawinoga. Tak, pani Halinko.

Pani Halinka, wieloletnia położna z powołaniem, dobry duch i wsparcie doktora Jarosława, wykrzyczała tak głośno i tak dobitnie, że pan doktor powinien natychmiast przyjechać do szpitala, że nie musiał niczego Dorocie powtarzać. Wszystko było doskonale słyszalne. Jedna z pacjentek doktora rodzi, dotarła do szpitala bardzo późno i żąda, szarpiąc wszystkich za poły, natychmiastowej obecności doktora Stawinogi, bo ona bez niego nie urodzi i kropka. Doktor ma więc jechać, póki choć jeden fartuch ostał się w całości.

– Oczywiście, pani Halinko, już jadę. Pani ją uspokoi. To Masłowska? No jasne. Pani uspokoi Masłowską i powie, że już jestem w drodze. Niech śmiało rodzi, zdążę na finał.

Odłożył słuchawkę i zaczął się szybko zbierać.

– Strasznie cię przepraszam, ale rozumiesz, Masłowska rodzi...

Nie znasz Masłowskiej, ale to nic. Boże, jak mi głupio, ale muszę lecieć, bo ona zaraz urodzi, rozumiesz, a ja prowadzę jej ciążę...

Dorota przerwała ten potok słów, zakrywając jego dłoń swoją.

– Spokojnie. Leć – uśmiechnęła się. – Ona rodzi i masz tam być. A my się jeszcze i tak spotkamy.

– O rany, no to lecę. Cześć, cześć. I wybacz! – krzyknął jeszcze, wykonując niezwykle sprawny slalom między stolikami i pędząc w kierunku wyjścia ze Sky Tower.

– Wybaczam – powiedziała cicho Dorota, patrząc, jak wybiega z kawiarni.

Pozostało jej co prawda zapłacenie rachunku, bo on o tym kompletnie zapomniał, porwany przez falę porodowych przeżyć, ale to nie było ważne. Naprawdę liczyło się tylko to, że po raz pierwszy od bardzo dawna Dorota czuła się niemożliwie szczęśliwa.

7.

Boże Narodzenie jak co roku przyszło o wiele za szybko. Kobiety (bo to zwykle są kobiety, statystyki pozostają nieubłagane) nie zdążyły jeszcze nalepić wszystkich pierogów z kapustą, nie dopiekły makowców, nie ukręciły babek i serników, a już bezczelnie wylazła na czarne niebo pierwsza gwiazdka i trzeba było siadać do wigilijnych stołów.

Kto mógł, to siadał.

Niektórzy do ostatniej chwili pchali wózki z zakupami, walczyli zaciekle o miejsce na parkingu, a potem klęli, na czym świat stoi i zupełnie nie po chrześcijańsku, kiedy grzęźli w korkach. Szybcy w hipermarketach i wściekli na drogach dopiero przy opłatku wrzucali nieco na luz, choć droga hamowania dla wielu bywała znacznie dłuższa, niż się tego spodziewali. Ślady warknięć i syknięć widniały jeszcze tu i ówdzie na drodze do świętego spokoju.

A potem urobione po pachy i kompletnie wypompowane gospodynie z ulgą zajmowały pozycję siedzącą, dzieciaki z wrzaskiem dopadały prezentów pod choinką, na Polsacie zgodnie z tradycją wigilijną leciał *Kevin sam w domu* i Polak wreszcie czuł, że może zacząć świętować. Zgodnie ze świąteczną tradycją

w odpowiednim momencie wigilijnego wieczoru następował obowiązkowy dialog:

– To ja jeszcze podam pierożków.

– O Jezu! Już więcej nie zmieszczę!

– A ja się tak narobiłam!

– Przecież mówiłem, żebyś kupiła w sklepie. Kupne są dzisiaj tak samo dobre.

– A żebyś wiedział, że za rok kupię! Kupię, jak miły Bóg. Będziesz miał kupne pierogi za rok, zobaczysz.

Dwanaście miesięcy to wystarczający czas, by wymazać przedświąteczną traumę, dlatego przy okazji kolejnych świąt ona wściekłym ruchem zagniata ciasto, a sił dodaje jej podskórna żądza mordy, zmusza kapustę do wyduszenia z siebie ostatnich witamin podczas obróbki cieplnej, a potem, ocierając pot z czoła, pcha na stół owoc pracy rąk swoich. I wtedy:

– O Jezu! Już więcej nie zmieszczę!

– A ja się tak narobiłam!

Marta spoglądała przez okno swojego kłodzkiego mieszkania na pokryte białym puchem ulice i chodniki, a potem kierowała wzrok dalej w stronę Czarnej Góry i masywu Śnieżnika. Śnieżnik oczywiście też był w śniegu. Wiadomo. Kłodzko również. Nie to co zabłocony i zasolony Wrocław z temperaturą oscylującą wokół plus pięciu stopni. Jak co roku wróciła na święta i jak co roku zastanawiała się, ile jeszcze tych powrotów odbędzie w pojedynkę. Albo jeszcze lepiej – ile tych powrotów w ogóle odbędzie. Czyżby ten miał być ostatni? Czy w przyszłym roku role przypadkiem się nie odwróci i to ona, przebywając na co dzień w swoim rodzinnym mieście, będzie od czasu do czasu pojawiać się we Wrocławiu? Czeką na ostateczne rozstrzygnięcie swoich spraw. Dała sobie ostatnią szansę. Jeśli tym razem jej nie wyjdzie, to wywiesi białą flagę. Ze swojej strony chyba zrobiła już wszystko, co mogła. Piłka przeszła na drugą stronę boiska.

Barbara również spoglądała przez okno. Mieszkanie Jacques'a i Aldony zlokalizowane było w nowoczesnej kamienicy w ścisłym centrum Luksemburga i naprawdę było na czymś zawieszona. Miasto przedzielał na dwie połowy potężny i niezwykle malowniczy kanion, z którego zboczy miejscami kaskadowo schodziły stare kamienice. Mieszkanie na piątym piętrze znajdowało się w budynku wyrastającym ze szczytu wąwozu tuż przy jego krawędzi. Nieco dalej most Charlotty łączył obie części miasta, tę zabytkową, pełną cudownych kamienic, klimatycznych ulic i ekskluzywnych butików z torebkami za trzy tysiące euro, oraz nowoczesną, naznaczoną wysokimi biurowcami, do których co rano tłumy ludzi zmierzały do pracy, zdecydowanych pilnować tego, by w ich kraju PKB per capita było jak dotąd najwyższe na świecie.

Święta w tym roku były inne, bo bez jej świętej pamięci męża. Barbarą Borzęcką targały sprzeczne uczucia. Z jednej strony minęły zaledwie trzy miesiące od jego śmierci, a ona już łapała się na tym, że jej myśli na co dzień krążą wokół zupełnie innych spraw, stopniowo spychając żałobę na dalszy plan. Czuła się z tym źle. Z drugiej strony zaledwie trzy miesiące oddzielały ją od życia pełnego upokorzeń i rozczarowań, naznaczonego wiecznie łamanymi obietnicami oraz zdradą już to w objęciach innych kobiet, już to w ramionach tej najważniejszej – gorzałki. Z tym też czuła się źle.

Oderwała wzrok od świateł Luksemburga, które migotały wyżej i niżej jak gwiazdy, i powróciła do stołu. Aldona i Jacques, spokojni i najedzeni (pierogi zrobiła i przywiozła ze sobą z Polski, mąż Aldony je uwielbia), rozmawiali o czymś po francusku, śmiejąc się co rusz i popijając czerwone wino. Bliźnięta Robert i Zuzia zajęli się swoimi sprawami, czyli Robuś ukradkiem wymknął się do swojego pokoju i zrobił to, czego dzisiaj robić mu nie było wolno (odpalił grę na komputerze), a Zuzia zgłębiała jakieś pismo medyczne, jedno z tych, które jej ojciec znosił do domu całymi pudłami. Barbara zastanawiała się, ile rezolutna nastolatka z tego rozumie. Ona sama nie zrozumiałaby oczywiście nic. Nie rozumiała własnego zięcia, ale w tym przypadku nie było problemu – znajdowali sposób, by się dogadać. Z Jacques'em łatwo było złapać kontakt. Był po prostu dobrym człowiekiem, a to jak nic innego sprzyjało

komunikacji.

Barbara patrzyła na swoich najbliższych, uśmiechała się do nich, słuchając śpiewnego, przyjemnie brzmiącego języka i wpadła na pomysł, że pomyśli życzenie. Bo dlaczego by nie. Zażyczyła więc sobie, by te święta rozpoczęły nowy etap w jej życiu. Po części stało się tak już na początku października, kiedy zaczęła swoją pracę (czy jak to Aldona określiła „wygłupy”) w „Aniołach do wynajęcia”, ale podświadomie czuła, że wydarzy się coś jeszcze. Coś, co będzie oznaczało prawdziwą rewolucję, taką, przy której „Anioły” to dopiero rozgrzewka. Życzyła sobie tego. Bardzo.

W życiu Doroty rewolucja już nastąpiła, teraz zaś nadszedł czas zbierania jej owoców. Po pierwszej, tak nagle przzerwanej, randce w pseudokawiarence w Sky Tower przyszedł czas na następne *tête-à-tête*. Potem na kolejne i jeszcze jedno. Mówiąc wprost, Dorota i Jarosław zaczęli się spotykać. Co prawda spotkania te przebiegały zupełnie inaczej niż te, które miała okazję przeżywać z Bartłomiejem Goryczką, skończonym draniem (niech go piekło pochłonie) i samcem alfa patrzącym na świat z pozycji macho, ale w tej całej nieporadności Jarka było coś tak rozbijającego, że wbrew wszystkiemu czuła, że zakochuje się coraz bardziej i bardziej. Co prawda zastanawiała się, kiedy Jarosław odważy się na coś więcej niż ujęcie jej dłoni, co już samo w sobie sprawiało wrażenie, jakby było dla niego wyczynem na skalę przejechania Syberii na deskorolce, ale póki co nie robiła nic, by go ponaglać. Bądźmy delikatni, jak mówił slogan reklamowy czekolady z krową w odjechanych kolorach na opakowaniu.

Siedziała więc teraz przy wigilijnym stole ze swoimi rodzicami gdzieś na peryferyjnych Sołtysowicach (każdy powinien raz w życiu spróbować dojechać z Sołtysowic do centrum – to kształtuje charakter) i opowiadała im, co słyhać i jak się sprawy mają. Cięża już wyraźnie zaznaczała się pod ubraniem, mdłości ustąpiły, a Dorota zaczęła naprawdę cieszyć się swoim stanem, który nie bez powodów zwań błogosławionym. Już za nią pierwsze tygodnie udreki, a jeszcze przed nią męka końcówki trzeciego trymestru. Naprawdę chciało się żyć. I kochać.

Jareczek do niej zadzwonił. Porozmawiali, przekazali sobie parę czułych słów, życzyli wesołych świąt i obiecali spotkać się najszybciej, jak to tylko możliwe. Wspaniałe było to, że przestała się zamartwiać tym, co będzie dalej i jak to będzie, bo niezależnie od tego, jak się życie potoczy, weszła w jego nowy etap, a on – w co wierzyła gorąco – nie może być gorszy niż kompletna pomyłka zwana związkim z Bartłomiejem. Teraz widziała to bardzo wyraźnie. Trauma porozstaniowa stopniowo zanikała, a Dorota przestała dyszeć żądzą zemsty, choć nie przestała życzyć sobie po cichu, by Goryczce jednak się z Jowitką nie powiodło. Tak dla zasady.

Elena i Romeczek świętowali podwójnie. Najpierw Boże Narodzenie w obrządku katolickim, a dwa tygodnie później w prawosławnym. Najpierw z rodziną Romeczka, a potem we dwoje. Jak zawsze przy okazji takich spotkań rodzinnych życzone sobie nawzajem zdrowia i sukcesów, a Elena zastanawiała się, czy sukces to rzeczywiście to, co zwykło się za sukces uznawać. Oraz czy jest im pisany. Czy przypadkiem skupiając się tylko na jednym i za wszelką cenę podążając w ustalonym kierunku, nie traci z oczu czegoś istotnego. Bo być może coś im umyka. Być może powinni zrobić nagły zwrot i podążać w innym kierunku. I nie wiadomo, czy takie myśli przybliżają ją do właściwych rozwiązań, czy wprost przeciwnie, gmatwają i spychają na manowce.

Romeczek uspokajał ją i klepał z pobłażaniem po rękę, kiedy zwierzała mu się z tych rozterek.

– Wiesz, jaki jest twój problem? – pytał i od razu sam sobie odpowiadał. – Za dużo myślisz. Przekombinowujesz. Wyluzuj, będzie dobrze, wszystko idzie jak po maśle.

Nie szło jak po maśle i to było oczywiste na pierwszy rzut oka, ale Romeczek, którego coraz bardziej pochłaniało pokątne tworzenie dzieła jego życia, nie zdejmował z nosa różowych okularów i wszystko widział nie tylko na różowo, ale i we wszystkich kolorach tęczy. Brakowało tylko tego, żeby dosiadł jednorożca.

Elena odpuszczała i nie drażyła tematu. Były święta. Za sprawą mamy Romeczka właśnie wjeżdżała na stół drożdżowa baba

wielkości Giewontu, pełna rodzynek, skórek pomarańczowych i lukru, który pokrywał ją z wierzchu jak lodowiec. W tych okolicznościach należało skupić się na prawdziwych pryncypiach, czyli przede wszystkim szybciotko podsunąć swój talerzyk. Rozmowy biznesowe schodziły na dalszy plan, wypychane przez przecudny aromat ciasta, przytłumione światło lampek choinkowych oraz kolędy płynące z płyty CD. Było cudnie. Elena uwielbiała polską oprawę Bożego Narodzenia i nawet amok przedświątecznych zakupów nie był w stanie jej zniechęcić. Uwielbiała też wyluzowanych i zdrowo zdystansowanych rodziców Słowackiego, którzy brali życie takie, jakie jest, i po prostu starali się robić swoje.

Święta, jak to zwykle we Wrocławiu bywa, upłynęły na nocnych Polaków rozmowach, oglądaniu telewizji, w której leciało dokładnie to samo co rok wcześniej, ale ponieważ objedzeni mieszczanie wrzucili na luz, nikomu to nie przeszkadzało. Ten i ów zarzekał się, że to już ostatni kawałek serniczka, no chyba że jeszcze jeden, ten tutaj, o, bo tak samotnie z tej blachy zagląda, a nie jest dobrze, żeby sernik był sam, czy jakoś tak mówiło Pismo, a Pisma trzeba słuchać. Większość kobiet już układała listę postanowień noworocznych, a na pierwszym miejscu dziwnym zbiegiem okoliczności stało odchudzanie. Tylko wariat odchudzałby się w święta, dlatego póki co dojadano ciasta i inne frykasy.

Nawet anioły krążące nad miastem i stróżujące swoich podopiecznych ciężiej machały skrzydłami i popuszczały pasa. Wszystkim udzielił się świąteczny nastrój, a istoty nadprzyrodzone nie były wyjątkiem. Jeszcze trochę i rzeczywistość dnia codziennego miała o sobie przypomnieć, co zawsze było bolesne, a po świętach Bożego Narodzenia bolesne było podwójnie, ale póki co wrocławianie żyli tak, jakby nie było jutra i kalorii. Miasto leniwie odpoczywało jak przejezdony wąż, który teraz trawił wszystko, co udało mu się wcześniej pochłonać. Po ulicach sunęły nieliczne samochody, co sprawiało wrażenie, że Wrocław mruczy pod nosem z ukontentowania. Wiele świąt już za nim i niejedno przed nim. W roku 2017 były dobre święta. Naprawdę dobre. Wrocław był zadowolony.

8.

Teodor Rywkin odłożył książkę, poprawił okulary na nosie i stwierdził, że jak na ogromną, poniemiecką willę o grubych ścianach ten budynek miał niezłą akustykę. Przy czym niekoniecznie akustyka była w tym momencie dla Rywkina priorytetem. Wprost przeciwnie. Pragnął przede wszystkim spokoju, najlepiej świętego. Niestety czas przed Bożym Narodzeniem aż do Trzech Króli nigdy nie był spokojny, a ostatnimi czasy, w erze rozpasanego konsumpcjonizmu, przestał być również święty. Mieszkańcy tego domu znacząco podwyższali średnią ogólnego zapotrzebowania na świętość, dlatego teraz, choć był już 2 stycznia 2018 roku, z pokoju telewizyjnego rozlegały się dźwięki kolęd w aranżacji dość nowoczesnej, choć, trzeba przyznać, nienajgorszej, śpiewanych przez gwiazdy polskiej sceny muzyki rozrywkowej. Teodor Rywkin nie miał nic przeciwko kolędom, sęk w tym, że rozlegały się one tak głośno, że uniemożliwiały robienie czegokolwiek innego, a płyta leciała już trzeci raz z rzędu. Cóż, powód tej inwazji decybeli był bardzo prosty.

Większość mieszkańców „Domu pogodnej jesieni” była głucha.

Teodor odłożył na bok pasjonującą lekturę o sekretnym życiu

papieży i tajemnicach Watykanu, uznając swoją porażkę. Tych kołęd nie pokona nikt. Właśnie na szczyty ekwilibrystyki wokalne wznosiła się jakaś artystka, która do tego stopnia dała się ponieść popisom, że zagubiła właściwą melodię. Skoro znalazło się to na płycie, widocznie zostało jej wybaczone, a nawet uznane za wartościowe. Rywkin przyjął pokornie i to. Do papieży obiecał sobie zajrzeć później, a teraz po prostu, jak zwykle co wieczór, postanowił się przespacerować.

Ulica Fryderyka Chopina na przeuroczym, wrocławskim osiedlu Zalesie, tuż obok Parku Szczytnickiego z pewnością sprzyjała nastrojowym przechadzkom. Nastrojowość psuł co prawda deficyt śniegu i nadpodaż błota oraz fakt, że gdzieś tam dało się jeszcze słyszeć, jak szczególnie intensywnie balujący Polacy z nocnej wracali wycieczki. Teodor nałożył płaszcz, obwiązał szyję szalikiem, a swoje bardzo gęste, choć zupełnie siwe włosy nakrył cyklistówką.

– Siostró Benedykto, wychodzę – odezwał się do zakonnicy przechodzącej korytarzem z basenem w ręku i kierującej się w stronę toalety.

– Na spacer, panie Teodorze?

– Na spacer.

– Ale późno już, dwudziesta pierwsza.

– Nie szkodzi. Przejdę się tak, o, tutaj, dookoła. Niedaleko. W godzinę obróć. Pamiętam, że o dwudziestej drugiej zamykamy.

– To dobrze. Tylko niech pan się nie natknie na ostatnich balowiczów. I na miłosierdzie pańskie, proszę założyć coś normalnego na głowę, nie ten pseudoczapkowy wypierdek.

Siostra Benedykta mogła się poszczycić językiem bardzo niewyparzonym jak na osobę zakonną.

– Siostró, doceniam troskę, ale nic mi nie będzie. – Teodor Rywkin uchylił czapki, ukłonił się i wyszedł.

Lubił te swoje przechadzki. Lubił ulicę Chopina, przy której domy, najczęściej stare wille, kryły się za drzewami jak nagie, wstydlive dziewczęta. Lubił całe osiedle Zalesie z jego przewidywalnością, spokojem, Stadionem Olimpijskim (niegdysiejszą chlubą III Rzeszy)

oraz kąpieliskiem Morskie Oko, które już przed wojną ściągało tłumy ówczesnych wrocławian szukających ochłody w upalne dni. Ulica Chopina nie była ruchliwa. Ciągnęła się i ciągnęła, aż dochodziła do kanałów żeglugowych, gdzie ostatecznie kończyła się blisko wałów. Teodor lubił docierać właśnie do tego miejsca i wracać. Czasami obierał inną trasę i sunął noga za nogą wzdłuż Rózyckiego, Karłowicza czy Moniuszki, wszystkich jednakowo spokojnych i bardzo podobnie zabudowanych. To była dobra dzielnica. Właściwie miał szczęście, że się tu znalazł, na dobrą sprawę mimo wszystko czuł się tutaj szczęśliwy. Choć nie, szczęśliwy nie było być może najlepszym określeniem. Pogodzony z życiem – o tak.

Drugiego stycznia wiał porywisty wiatr, a temperatura była charakterystyczna dla wrocławskiej zimy, czyli pięć stopni na plusie w dzień, a w nocy około zera. Przez cały dzień ołowiane chmury przetaczały się nad miastem, nadając parkowi Szczytnickiemu nieco złowieszczy image. Rywkin poprawił czapkę, postawił kołnierz i zasunął szczelniej klapy płaszcza, poprawił wiązanie szalika. Pogoda pod pse, ale spacer to spacer. Poza tym cały czas siostra Benedykta pastwiła się nad płytą z kolędami. Są granice, za którymi zaczyna się krzywda ludzka, nawet jeśli ta krzywda dzieje się zdecydowanej mniejszości i przebiega w sferze muzyki.

Teodor lubił swój „Dom pogodnej jesieni”, choć wbrew nazwie rzadko kiedy ta jesień faktycznie była pogodna i kolorowa. Raczej naznaczono ją samotnością, nierzadko cierpieniem, czekaniem na dzień, kiedy zegarmistrz światła purpurowy przyjdzie i sprawi, że zgasną podłogi i powietrza. Jego trzej kompani, z którymi grywał w brydża, nazywali go Juniorem, bo na dobrą sprawę był najmłodszym z pensjonariuszy. Cóż, niedługo miał skończyć siedemdziesiąt pięć lat. Faktycznie zaniżał średnią wieku.

W przeciwieństwie do niejednego ze współlokatorów domu nie został wstydliwie ukryty, odsunięty na bok z powodu konieczności sprawowania ciągłej opieki, nie zachorował obłożnie ani też nie padł ofiarą rodzinnych walk o pieniądze, majątek lub inne typowo ludzkie sprawy. Zamieszkanie w „Domu pogodnej jesieni” było jego świadomym wyborem. Rywkin nie miał rodziny. Już nie.

Jego rodzina składała się z żony, z którą całe dorosłe życie przeżył we Wrocławiu. Żona nie dała mu dzieci, bo niestety nie mogła ich dać, ale dała mu całą siebie i przez prawie pięćdziesiąt lat tworzyli zgrany związek, który najpierw był małżeństwem młodym, a potem starym i dobrym. Teodor towarzyszył swojej żonie do ostatnich chwil jej życia i z dojmującym poczuciem bezsilności obserwował, jak stopniowo gasła. Odchodziła pogodzona z losem i paradoksalnie to sprawiało, że wszystko wydawało się jeszcze smutniejsze. Chciał sprzedać mieszkanie, by ją ratować, ale ona łagodnie i stanowczo odmówiła, twierdząc, że nie życzy sobie takiej szarpaniny. Była realistką. Czwarte stadium nowotworu trzustki nie daje praktycznie żadnych szans na przeżycie i sprzedaż domu niczego by tu nie zmieniła.

– Po prostu bądź przy mnie – mówiła.

Więc był, a kiedy odeszła, przeraziła go wielkość jego mieszkania przy ulicy Kościuszki. Jedyńm lokatorem oprócz niego pozostał ich kulejący na jedną łapę, wyleniały kot, potworny żarłok i jeszcze większy pieszczoł. Przez pewien czas po śmierci żony Teodora kot wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest obrażony na cały świat w ogóle i na ludzi w szczególności, bo w końcu, jak pisała poetka, „tego nie robi się kotu”. Dni jednak mijały i w kocim uniwersum wszystko poukładało się na nowo. Dni Teodora upływały między gorączkowym zapełnianiem pustki poprzez czytanie wagonów książek a spacerami po centrum miasta.

Pewnego dnia okazało się jednak, że również i kot wybrał się w podróż i swoim powolnym, nonszalanckim kocim ruchem przeszedł na drugą stronę tęczy – do krainy wiecznie napełnionych misek.

Tego już było dla Rywkina za wiele. Sprzedał mieszkanie (a kupca znalazł błyskawicznie ze względu na niezwykle atrakcyjną lokalizację oraz standard jego lokum), zabrał tyle swoich książek, ile tylko mógł, po czym przeprowadził się na Chopina. Tam nadal czytał i nadal spacerował, ale też był wśród ludzi, z którymi mógł dzielić radości, troski lub opłatek. Z tego wszystkiego radości było najmniej. Nadal był sam, ale jego samotność przeszła do podziemia zepchnięta przez wzmożone siły ludzkiej życzliwości. Dało się przeżyć.

Teodor zrezygnował ze zwyczajowego dotarcia aż do samych wałów przeciwpowodziowych i zawrócił. Pogoda jednak zawiesiła poprzeczkę zbyt wysoko, nawet dla tak wytrawnego spacerowicza jak on. Wiatr bezlitośnie penetrował najtajniejsze zakamarki odzieży, choćby człowiek był nie wiem jak pozapinany. Miarka przebrała się, gdy zerwał Rywkinowi z głowy jego cyklistówkę i rzucił z pogardą kilka metrów dalej, prosto w kałużę. Ten podniósł ją, otrzepał i krokiem szybszym niż zwykle wrócił do „Domu pogodnej jesieni”, dzierżąc ją w ręce, żeby numer z lądowaniem w kałuży przypadkiem nie został powtórzony.

Budynek przywitał go przyjemnym ciepłem i mniej przyjemnymi zapachowymi oznakami starości. Teodor starannie wytarł buty o wycieraczkę. Rzecz warta zauważenia – kolędy ucichły. Pomyślał, że najwidoczniej zmęczyły nawet ich najbardziej zagorzałych fanów.

– A ten gdzie się znowu włóczył, powsinoga jeden? – rozległ się znajomy głos i z pokoju telewizyjnego wychyliła się drobna, jakby zasuszona, bardzo pomarszczona i kompletnie łysa głowa z ustami nieco zapadniętymi z racji braku sztucznej szczęki.

– Tam, gdzie zwykle, Stasiu, tam, gdzie zwykle. A gdzie twoje zęby? Znowu zgubiłeś?

– Zaraz zgubiłeś! Człowiek nie ma już dwudziestu lat, ale skleroza jeszcze mnie nie zżarła. Położyłem je.

– Gdzie?

– To jest właśnie przedmiotem śledztwa. Dojdę do tego, tylko daj mi szansę. Pewnie Zbyszek zabrał i sam używa.

Za Stanisławem rozległ się rumor i na korytarz wyjechał wózek inwalidzki. Jego posiadacz w przeciwieństwie do Stanisława dysponował włosami, nawet długimi, choć mocno przerzedzonymi i związanymi na karku w liche kucyk, w zamian za to pozbawiony był nogi.

– Bezczelne łgarstwo! – krzyknął. – A na cholere mi twoje zęby? Mam swoje.

– Gdzieś muszą być – oponował Stanisław.

– Ale nie u mnie, sklerotyku jeden. Zostawiłeś je pewnie w swoim

pokoju. Sam mówiłeś, że ci się klej do protez skończył.

Stanisław podrapał się po łysej głowie.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

– Idź ty, jak ci stówa stuknęła pół roku temu, to teraz z każdym miesiącem coraz bardziej głupiejesz – droczył się Zbigniew.

– Głupiejesz, głupiejesz! Jestem bystry jak student przed sesją! Czekaj, zaraz cię tutaj z Teodorkiem ogramy na cacy.

Teodor zdejmował płaszcz i z rozbawieniem obserwował zwyczajowe sprzeczki kolegów. Kłócili się nieustannie, ale jak Wrocław długi i szeroki, trudno by było znaleźć wierniejszych kumpli.

– Hej, co tam, panowie? Junior już wrócił? – krzyknął ktoś z pokoju telewizyjnego.

– Wrócił, Edziu, wrócił – odkrzyknął Stanisław.

– Wrócił?

– Tak, wrócił.

– Co? – nie poddawał się Edward.

– Wrócił!!! – strasznym głosem ryknął Zbigniew.

– Czemu tak krzyczysz, wystarczy odpowiedzieć! – oburzył się Edward. – Po prostu pytam, czy Junior wrócił. To wrócił czy nie?

Zbigniew przewrócił oczami i skierował swój wózek do pomieszczenia.

– Edkowi znowu nawalił aparat, muszę mu naregulować – westchnął. – Chodź, Teodor, jak zwykle nam brakuje czwartego do brydza. Z tych wszystkich matołów tylko ty umiesz grać.

Teodor Rywkin uśmiechnął się i ani trochę nie poczuł urażony zaliczeniem go w poczet matołów, może trochę bardziej rozwiniętych. Zbyszek zawsze coś chlapanął, choć nie był tego świadomy, a już na pewno nie było jego zamiarem urażenie Teodora, i kiedy człowiek zaczynał dochodzić swoich praw, płatał się coraz bardziej w wyjaśnieniach i coraz bardziej irytował. Nie było sensu się pieklić, Teodor darował więc sobie wszelkie

komentarze.

– Będę w parze ze Staszkiem – oznajmił, wchodząc do pokoju i zajmując jeden z foteli przy stoliku, na którym już leżały karty.

Stulatek chętnie się zgodził.

– Junior, proponuję, żebyś był w parze ze Staszkiem – rzucił Edward o wiele za głośno.

Teodor uśmiechnął się ponownie, a Zbigniew podjechał na swoim wózku i chwilę majstrował coś przy aparacie słuchowym kolegi.

– Halo, tu ziemia, jak mnie słyszysz? – krzyknął.

– Człowieku, nie drzyj się tak, jest cisza nocna! Znowu nas Benedykta rozgoni do pokojów! – Edward aż podskoczył, a Zbigniew z wielce zadowoloną miną podjechał do stolika i zajął swoje miejsce.

Teodor przeczesał ręką swoje siwe włosy, poprawił okulary na nosie, po czym zwarty i gotowy czekał na rozwój wypadków. Bardzo lubił te brydżowe partyjki, które tak jak jego spacer, stanowiły żelazny punkt każdego wieczoru. Trzech nietypowych staruszków, stulatek, głuchy i inwalida, było jego najlepszymi kumplami. Właściwie to jedynymi kumplami i jedynymi osobami, przed którymi Teodor odważył się odsłonić elementy swojej prywatności, do której na co dzień nie dopuszczał nikogo. Oczywiście Edward, Stanisław i Zbigniew z wrodzonym sobie wdziękiem przejechali się po niej walcem, o czym naturalnie nie mieli bladego pojęcia, ponieważ razem tworzyli wiekowy, ale bardzo sympatyczny chaos. Teodor lubił ich niezmiernie, o czym nigdy im nie powiedział wprost, pozostając cichy i zamknięty w sobie, jak to miał w zwyczaju. Jednak między najlepszymi przyjaciółmi słowa są niepotrzebne. Pewne rzeczy po prostu się wie.

– Bez atu! – ryknął Edward, a z jego aparatu słuchowego wydobył się charakterystyczny pisk. – Junior, ty się szykuj.

– Ja wiem, jakie karty mam, spokojna głowa.

– Nie o kartach mówię – darł się dalej Edward. – Ty się szykuj na swoje urodziny.

– Jakie urodziny? – zbaraniał Teodor.

– Cha, cha! No proszę! A podobno to ja mam sklerozę – zaśmiał się Stanisław. – W lutym kończysz siedemdziesiąt pięć lat, młodziku!

– No coś takiego!

– Aha! Zapomniałeś! – triumfował Stanisław. – Ale nie bój nic, kumple pamiętają. Nawet taki sklerotyk jak Zbigniew.

– Ja ci dam sklerotyka, ramolu! – oburzył się inwalida i swoją jedyną nogą kopnął w krzesło Stanisława. – Ale pamiętamy, pamiętamy. I szykujemy dla ciebie niespodziankę.

Teodor Rywkin zaniepokoił się nie na żarty.

– Dajcie spokój, koledzy. Nic nie wymyślajcie. Jeśli już bardzo chcecie, kupcie mi książkę.

– Książkę już masz – zaśmiał się Zbigniew. – Czekał, siedemdziesiąt pięć lat to okrągły jubileusz, nic nie może być tak jak zwykle. Ale więcej nie zdradzimy, co nie, Edziu?

– Co?!

– Mówię, że nie zdradzimy!!!

– Zaradzimy wszystkiemu!

– O Jezu. Nie „zaradzimy”, tylko „ZDRADZIMY”!

– Nic i nikogo nie będziemy zdradzać! – zagrzmiał Edward.

– No, tośmy się dogadali – podsumował Stanisław. – A teraz do boju, karty stygną.

– Panowie, dajcie spokój, zastanówcie się. Ja nie chcę żadnych cudów na kiju. To tylko urodziny i to nawet nie setka, tylko siedemdziesiątka piątka!

– Cichaj, Junior, cichaj – Zbigniew położył mu rękę na ramieniu. – Nie bój nic. To będzie świetny dzień, zobaczysz. Już nasza w tym głowa.

– W życiu takich urodzin nie miałeś i będziesz o nich pamiętał do końca życia, zobaczysz – dodał Stanisław.

Najprawdopodobniej anioł stróż Teodora zapatrzył się w karty i zamyślił nad strategią działania, bo umknęło mu to, co powiedział stulatek. Gdyby nie to, na pewno wyjąłby zza pazuchy swoją trąbę

anielską (albo co najmniej gwizdek) i zadał na alarm. Na pewno chciałby postawić na baczność przynajmniej trzy z siedmiu kręgów, albowiem Stanisław wypowiedział słowa ważne i prorocze.

O czym, rzecz jasna, nie miał najmniejszego pojęcia.

9.

Stary rok 2017 odszedł na zasłużoną emeryturę, zostawiwszy swojemu następcy przygotowane instrukcje, stosowne procedury oraz pięknie ogarnięte stanowisko pracy. Stery już definitywnie przejął młody i jeszcze nieopierzony rok 2018, po czym zrobił to, w co celują wszyscy młodzi, czyli instrukcji nie czytał, stanowiska pracy nie docenił, a procedury zużył do... no, do tego, do czego procedury używane być nie powinny. Z czasem sięgnie zapewne do pokładów doświadczeń swojego poprzednika i wyciągnie wnioski, teraz jednak dopiero co rozpoczął się styczeń, a jego rozpierała energia i przekonanie, że ma sobą wiele do zaoferowania. Słowem, rok 2018 zachowywał się jak millenialsi w korpo.

Dla „Aniołów do wynajęcia” styczeń oznaczał ostry wiraż i wywrócenie wszystkiego do góry nogami. Firma wyposzczona okresem świątecznym, kompletnie martwym, jeśli chodzi o zlecenia, pożądała coraz to nowych propozycji, nieważne, jak szalonych, i najlepiej w każdej ilości. Elena z niepokojem zachowywanym jedynie dla siebie codziennie logowała się na konto firmy i obserwowała to, co uparcie nie chciało się zmienić na lepsze. Bo na gorsze, to proszę uprzejmie, z miłą chęcią. „Zlecenia. Królestwo za

zlecenia”, myślała sobie wtedy, nieświadomie parafrazując rozpaczliwe wołanie Ryszarda III. Jak na złość, jedyne, co odchudzili wrocławianie podczas świąt, to swoje portfele, dlatego nowy rok oznaczał dla nich epokę zaciskania pasa. Przynajmniej przez pewien czas. A najłatwiej zaoszczędzić na tym, na co wydawać nie trzeba.

Terminarz spotkań „Aniołów” świecił więc pustkami, a Elena pracowała gorączkowo nad obmyśleniem planu B. Do tej pory stosowała metodę Scarlett O’Hary, że jakikolwiek nie byłby to problem, pomyśli o tym jutro, w końcu jednak przyszło to jutro i należało coś przedsięwziąć. Każda z trzech pracownic firmy miała co prawda jakąś poduszkę finansową, Dorota w postaci swoich tłumaczeń, Barbara w postaci emerytury, a Marta cały czas była zatrudniona na etacie i niemożliwie kombinowała, by pogodzić obowiązki zawodowe z akcjami „Aniołów”. Jednak ona i Romeczek pozostawali na łasce i niełasce klienteli (plus zleconka Romeczka, ale to za mało), a ta jechała ostatnio na tak pstrym koniu, że nie wiadomo było, czy śmiać się, czy uciekać.

Kiedy więc Elena szarpała się między rezygnacją i wywieszeniem białej flagi a dalszą walką o lepsze jutro i wiarą, że to się uda, nadeszło zlecenie. Telefon zadzwonił w chwili, gdy szala przechylała się na stronę bezwarunkowej kapitulacji. Spokojna i bardzo oficjalna pani notariusz z osiedla na Marszowicach zamieszkiwanego w większości przez ludzi o podobnych do niej statusie materialnym chciała zorganizować urodziny dla Dzióbeczka. Konieczne musiały być wyjątkowe, ponieważ wyjątkowy był sam Dzióbeczek (i właściwie śmierć temu, kto śmiałby pomyśleć inaczej). Słońce słońc i diament tej planety kończył właśnie sześć lat i oczywistą oczywistością było, że w siódmy rok życia należy wejść z przytupem.

– To musi być coś wyjątkowego, rozumie pani – podkreślała pani notariusz w przerwie między zachwalaniem przymiotów Dzióbeczka.

– Czy, ekhm, czy są jakieś wskazówki? Ma pani konkretne dyspozycje dla nas?

Pani nie miała. Tak właściwie dawała grupie wolną rękę, co

wynikało z nieciekawych doświadczeń z poprzedniego roku. Piąte urodziny Dzióbeczka zostały precyzyjnie przez nią zaplanowane, a wynajęta grupa z aptekarską dokładnością zastosowała się do jej wytycznych i wszystko wydawało się wprost skazane na sukces, gdyby nie to, że nie wzięto pod uwagę jednej istotnej zmiennej.

Mianowicie gustu samego Dzióbeczka.

Pięcioletni Dzióbeczek okazał głęboką dezaprobatę do matczynej wizji i od początku do końca imprezy kontestował poczynania wynajętego zespołu, który to – co pani notariusz przyjęła z prawdziwym bólem serca – nie wykazał się odpowiednią dozą elastyczności i najwyraźniej nie przygotował sobie planu B. Urodziny zakończyły się więc dla grupy i pani notariusz jedną wielką wizerunkową porażką, co już samo w sobie było smutne, jednak pozostawało niczym wobec problemu na miarę wojen światowych, czyli niezadowolenia Dzióbeczka.

– Widzi pani więc, jak istotny jest ten plan B. Oni takiego nie mieli – westchnęła pani notariusz.

Elena pomyślała sobie, że w takim razie klientka nie mogła trafić lepiej, albowiem plany B to ich specjalność. Notorycznie były w użyciu i można by nawet powiedzieć, że właściwie jeszcze nic nigdy nie poszło im tak, jak pierwotnie planowali. Przygotowanie planu B jest więc dla nich tak oczywiste, jak dla komandosa załadowanie broni. Nie powiedziała tego głośno, bo mogłoby to zostać opatrzenie zrozumiane, a nie ma co zrażać klientki, zanim... no, zanim nie zobaczy ich w akcji. Zamiast tego zadała inne pytanie.

– Proszę jeszcze powiedzieć, jak ma na imię Dzióbeczek.

Po drugiej stronie słuchawki zapadło pełne zdumienia milczenie i chwilę trwało, zanim klientka uświadomiła sobie, że zdolności telepatyczne nie należą do podstawowych kompetencji zleceniobiorców, mieli więc prawo zapytać. No więc Dzióbeczek ma na imię Lucynka. Ale, oczywiście, będą też koleżanki.

Elena odetchnęła z ulgą. Dziewczynka. Zawsze to łatwiej coś przygotować dla zgrai dziewczynek niż dla bandy chłopców. Pierwsze pomysły już leżały jej się w głowie, zwłaszcza że małe, bo

małe, ale jakieś jednak doświadczenie już za sobą mieli.

– Nazwa mnie do państwa przyciągnęła – mówiła dalej klientka. – Z jednej strony infantylna i pretensjonalna, z drugiej strony niosąca ze sobą sporą dawkę ciepła i nadziei. Postanowiłam zaryzykować, bo mam przecucie, że tym razem będzie inaczej i wszystko się uda.

Elena ostatkiem sił powstrzymywała się, by nie ryknąć entuzjastycznie, co z pewnością nie zrobiłoby dobrego wrażenia. Ton głosu zachowała więc do bólu profesjonalny, rzeczowy i wyważony, ale w zamian za to biegała po mieszkaniu i wykonywała najdziwniejsze gesty triumfu, czego klientka na szczęście widzieć nie mogła.

Choć biorąc pod uwagę to, co się stało później, bieganie i machanie uznane by zostało za standardowe zachowanie.

– Ależ na miłość boską, jak to nie możesz?! – tydzień później ryknął do słuchawki tonem przepełnionym paralizującym przerażeniem Romeczek.

Znajdujące się w tym samym pomieszczeniu Dorota i Barbara popatrzyły na siebie znacząco i już wiedziały, że będzie niedobrze.

– Musisz przyjść! Jesteś niezbędna! – pieklił się dalej Romeczek.

Ze słuchawki nawet do stojących trzy metry dalej kobiet dochodziło gorączkowe brzęczenie.

– Ale co ci zmienili? Grafik? Ale że teraz, dzisiaj? No i co z tego, że ci zmienili, weź na żądanie! Jak to nie możesz? Wykorzystałaś? Już wszystkie wykorzystałaś, przecież dopiero styczeń! Co ty, u licha, robisz, że je wykorzystałaś? Aha, z nami jesteś... – Romeczek rzucił okiem na przyglądające mu się z uwagą Barbarę i Dorotę.

– Wygląda na to, że mamy problem – mruknęła Dorota. – Znowu musimy zastosować plan B.

– Zawsze to robimy – wzruszyła ramionami Barbara.

– No tak, ale jeszcze się nie zdarzyło, żebyśmy go wdrażali, zanim w ogóle zaczęliśmy działać.

Romeczek odłożył słuchawkę, usiadł na krześle, spuścił głowę

i ciężko westchnął.

– Marty nie będzie – mruknął.

– Tego się już domyśliłyśmy – odpowiedziała Dorota. – I co teraz?

– Teraz trzeba zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze powiedzieć Elenie...

– To jej nie ucieszy.

– A po drugie znaleźć inną księżniczkę. Ktoś musi zastąpić Martę.

Elena faktycznie się nie ucieszyła. Stała właśnie w salonie domu pani notariusz oraz Dzióbeczka-Lucynki i zawieszała girlandy balonów, kolorowe serpentyny, brokatowe wstążki grożące utratą wzroku, gdy tylko się na nie spojrzy, oraz robiła wszystko, by w promieniu dwudziestu metrów zapewnić nadpodaż różu. Nad ustawionym centralnie specjalnym tronem dla jubilatki (bardzo, bardzo różowym) majestatycznie zawisała w powietrzu wielka, dmuchana, złota szóstka, a po jej prawicy i lewicy, jako kropka nad i, dwa dmuchane jednorożce z ogonami w barwach tęczy. Elena otrzymała od klientki jedną jedyną informację, że pępuszek wszechświata i nadzieja cywilizacji uwielbia róż, starała się więc zrobić wszystko, by Lucynka nie poczuła się zawiedziona niedostateczną reprezentacją tegoż.

– Romeczku, nie może nie być księżniczki. Różowa księżniczka to gwóźdź naszego programu. Musicie coś wymyślić!

– To ty się przebierz!

– Na litość boską, przecież wiesz, że nie mogę! Przygotowuję scenerię i zaraz jadę na spotkanie z drugim klientem, przecież ci mówiłam! Potrzebujemy zleceń na gwałt, każde jest na wagę złota – syknęła.

– Ale musisz teraz?

– Muszę teraz! Klient nie może kiedy indziej, a to fajna firma i stanę na uszach, żeby zrobić dla nich ten event. Koniec dyskusji, Romeczku. Za półtorej godziny ma tu być księżniczka różowa jak jasna cholera, z welonem i innymi duperelami. Musisz coś zrobić. Bądź twórczy!

I odłożyła słuchawkę.

Romeczek bezradnie powiódł wzrokiem po swoich towarzyszkach.

– Ja odpadam. Jestem w ciąży. Wszystko może przejść, ale nie księżniczka w ciąży, to nas zagrziebie już na samym początku. Nie bez powodu gram bałwanka z waty cukrowej. Przemyśl to.

– Ja też nie mogę, przecież jestem motylkiem. Paziem królowej. I mam poważną rolę do odegrania jako motylek. Nie może nie być motylka, tak samo jak nie może nie być księżniczki.

Trzy osoby stały w milczeniu i spoglądały na siebie z rezygnacją. Romeczek wzdychał ciężko i drapał się po głowie.

– Koniec, przepadliśmy. Położyliśmy to – powiedział wreszcie.

– Nie – sprzeciwiła się Barbara z tajemniczym błyskiem w oku. – Myślę, że znalazłam rozwiązanie.

– Serio? – powątpiewał Romeczek.

– Serio. Powiem więcej. To naprawdę może się udać...

Tata Lucynki, poważny człowiek na wysokim (bardzo dobrze płatnym) stanowisku, czuł się nieco dziwnie. Strategicznie wycofał się na tyły i zajmował teraz miejsce pod ścianą w ich ogromnym salonie znajdującym się na parterze. Wokół wielkiego domu roztaczał się ogromny ogród otoczony – co za przypadek – płotem z rzędem ogromnych iglaków wzdłuż niego, a właściciel domu, ogrodu i iglaków był z tego wszystkiego ogromnie zadowolony.

Co nie przeszkadzało temu, że teraz właśnie czuł się nieswojo.

Przywarcie plecami do ściany to był dobry pomysł. Ze swojego miejsca ogarniał wszystko spojrzeniem, a jednocześnie sam nie przyciągał niczyjej uwagi, co pozwalało mu na obserwacje, a co za tym idzie wyciąganie pewnych wniosków. Jego, prezesa dużej spółki, świat był bardzo uporządkowany. Wszystko znajdowało się w nim na właściwym miejscu i było bardzo przewidywalne. Wiedział, czego się spodziewać i jak opracowywać strategię w relacji do tego, co miało zaistnieć. Biznes nie lubił bałaganu, nie znosił chaosu. Biznes lubił porządek, solidnych partnerów

i transparentność. Świat biznesu to po prostu, no, świat ludzi normalnych.

Ludzie, na których patrzył, z pewnością normalni nie byli.

Nie chodziło o bałwanka. Babka w przebraniu imitującym kolorową watę cukrową była w jakimś sensie urocza, co nie przeszkadzało temu, że jej strój był bezdennie głupi. Żadne tam z niej młode dziewczę, widać, że dobrze po trzydziestce, może nawet blisko czterdziestki, uśmiechała się jednak rozbrajająco do wszystkich dwunastu dziewczynek, które wpatrywały się w nią, jak nie przymierzając, apostołowie w Jezusa. Chyba była przy kości, bo jej strój sprawiał wrażenie, jakby był tak na styk dopasowany do rozmiarów jej brzucha. No cóż, efekt zdrowego żywienia. To znaczy jego braku. Jak się człowiek zdrowo nie odżywia, to właśnie takie są skutki. W każdym razie bałwanek był na swój sposób słodki. Głupiutki, ale jeszcze do przejścia.

Nie chodziło też o motylka. Motylek w mrugających światełkami czułkach umocowanych na włosach, w bajecznie kolorowym wdzianku, z obłędnie kolorowymi, wielkimi i beznadziejnie brokatowymi skrzydłami musiał być w okolicach siedemdziesiątki. Pan prezes pierwszy raz w życiu widział tak starego motylka. Wprowadzało to niechciany chaos, którego tata Lucynki unikał jak ognia, jednocześnie jednak motylek nadrabiał ciepłem i radością, które emanowały z niego tak intensywnie jak radioaktywne cząstki z zepsutego reaktora. Motylek, choć stary i pomarszczony, rozsyłał na około piękno i dobro, uśmiechał się przy tym promiennie do dzieci, a dzieci uśmiechały się promiennie do niego i widać było bardzo wyraźnie, że cholernie zazdroszczą mu skrzydełek. Skrzydełka robiły dobrą robotę, zwłaszcza, że leciwy motylek pociągał za taki sprytny dynks i wprawiał je w ruch. Powolny, taki mach-mach, ale jednak. Dziewczynki były urzeczone. Nie, motylek też jeszcze był do przejścia.

Najgorsza była księżniczka. Z księżniczką coś było mocno nie tak i tata Lucynki dość szybko zaczął się domyślać co, choć trzeba oddać księżniczce honor, że radziła sobie ze swoim, ekhm, mankamentem znakomicie. Od stóp do głów spowijała ją intensywnie różowa sukienka, z wielkimi, bufiastymi rękawami, z mocnym wcięciem w pasie (tata Lucynki postawiłby trzy piwa na gorset) i z ogromną

kryoliną. Taką bardzo księżniczkową. Różowa suknia miała dekolt, ale szczęśliwie księżniczka założyła pod suknię podkoszulkę, a na szyi przewiązała różową apaszkę. Prezes spółki był jej za to dozgonnie wdzięczny. W sumie był to jedyny sposób, żeby ukryć to... czego w żadnym wypadku nie mogły zobaczyć wpatrzone w księżniczkę dziewczynki. Księżniczka dysponowała biustem, który zasługiwał na miano sporego, przy czym, jak to zwykle w przypadku biustów bywa, piersi wydawały się asymetryczne. Nie tyle jednak jedna większa, a druga mniejsza, co jedna wyżej, a druga niżej. Długie i grube blond włosy opadały księżniczce na plecy, a obfita grzywka zasłaniała czoło. Księżniczka wzbudzała wicher za sprawą trzepotania niezwykle długimi, czarnymi rzęsami, a różowe cienie na powiekach dobrze podkreślały błękit jej oczu. Na policzkach, co warto zaznaczyć, gładkich policzkach, ewidentnie przesadzono z różem, ale tata Lucynki to akurat wybaczał. W końcu jego żonie też zdarzały się wpadki z nakładaniem różu, a ona była przecież specjalistką.

W tym właśnie momencie księżniczka kocimi ruchami, gnąc się w pokłonach, przysiadach i tego typu działaniach, przyskoczyła do sprzętu grającego, uruchomiła podkład muzyczny i zaintonowała piosenkę o jakimś kotku. Wysokim głosem. Bez fałszowania. Bałwanek i motylek dołączyły się do niej i całe towarzystwo łącznie z dwunastoma kilkuletnimi dziewczynkami zalał róż, brokat i magia przyjaźni.

– A ty co taki drętwy stoisz? – zagadnęła swojego męża pani notariusz, która niepostrzeżenie stanęła przy nim ze szklanką soku pomarańczowego w ręku.

Oficjalnie był to napój bezalkoholowy, ale tata Lucynki wiedział, że w kuchni sprawnie działał obóz przetrwania dla rodziców, którzy przyprowadzili swoje pociechy i tam do soków dodawano rozmaite elementy na wzmocnienie.

– Popatrz na księżniczkę – mruknął i skinął głową, tak by jego żona nie miała wątpliwości, gdzie ma skierować wzrok.

– No patrzę i co?

– Popatrz uważnie.

– Przecież mówię, że patrzę, już uważniej nie mogę. O co ci chodzi?

Jej mąż spiorunował ją wzrokiem.

– To mężczyzna – syknął.

Jeśli liczył na omdlenie, krzyk oburzenia lub zgorzony wzrok, to grubo się pomylił. Jego żona przewróciła oczami i prychnęła drwiąco.

– Oczywiście, że to mężczyzna. Teraz dopiero się zorientowałaś?

Prezes spółki niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

– Skąd ty ich wystraszyłaś, na miłość boską?! – szeptem wtłoczył jej do ucha całe swoje rozgoryczenie.

Pani notariusz położyła mu rękę na ramieniu.

– Z internetu. Zresztą to nie ma najmniejszego znaczenia, skąd ich wystraszyłam, ważne jest to, jak zareagował Dzióbeczek, kiedy w ogóle się pojawili. Oczywiście miała okragłe z emocji. Spójrz na nią teraz. No spójrz! Widzisz to, co ja? Jest zachwycona. Jeszcze trochę i tęcza zacznie jej wylazić uszami, widzisz? Zawsze na wszystko kręci nosem i marudzi, że to nie tak, a tego to nie i cholernie ciężko ją zadowolić, a teraz co? Powiem ci więc, mój drogi, nieważne, skąd są, ważne, że zapewniają taki efekt, jakiego oczekiwałam. A oczekiwałam, że Dzióbeczek będzie szczęśliwy. I jest.

Jakby na potwierdzenie jej słów Lucynka spojrzała w kierunku rodziców, oderwała się od reszty rozanielonych dziewczynek i kurcgalopkiem popędziła w ich kierunku.

– Mamo, mamó, to najlepsza księżniczka w całym moim życiu! – klasnęła w swoje sześćioletnie łapki. – Czy może przyjść do nas jutro?

– Niekoniecznie, kochanie – zaczął jej tata, ale szybko zamilkł.

Jego córka zrobiła wściekłą minę, splotła ręce na piersiach i tupnęła nogą.

– Ale ja chcę jutro księżniczkę Rominię! Ma przyjść i się ze mną pobawić!

– Zobaczymy, kochanie, zobaczymy – wkroczyła czym prędzej pani

notariusz, posilkując się magicznym słowem wszystkich rodziców. – A teraz idź, dołącz do koleżanek, bo zobacz, zaraz zasiądziesz na tronie i dostaniesz prezenty. O widzisz, księżniczka już macha na ciebie ręką. No dalej!

Pieszczotliwie klepnęła córeczkę w pupę, a ta z miejsca odwróciła się i pobiegła do reszty.

– Księżniczka Rominia, ja pierdolę – mruknął tata Lucynki.

– Weź ty się uspokój – odwróciła się do niego jego żona. – Przypominam ci, że jesteśmy postępowym małżeństwem i postępową rodziną. Nie uznajemy jakichś zaściankowych stereotypów i mamy otwarte umysły. Przynajmniej do tej pory myślałam, że mamy, ale ty zachowujesz się jak narodowo-katolicki beton.

Tata Lucynki poczuł się dotknięty do żywego i stwierdził, że trzeba coś zrobić, by zatrzeć nieprzyjemne wrażenie.

– Oj kotku, daj spokój. Po prostu nie byłem na to psychicznie przygotowany. Dopiero co wróciłem z zebrania zarządu i spotkałem tę ich kierowniczkę, kiedy wieszala balony, a ty przecież też mnie nie uprzedziłaś o tym, kto będzie. Dobrze, Dzióbeczek jest szczęśliwy i to najważniejsze.

Pani notariusz w życiu nie przyznałaby się mężowi, że sama była zdezorientowana, a nie zareagowała wyłącznie przez efekt działania z zaskoczenia. Zanim zdążyła się odezwać, gdy zauważyła księżniczkę wysiadającą z samochodu, Dzióbeczek już piszczał z zachwytu. Pozostało jej więc robić dobrą minę do złej gry.

– Chodź do kuchni – zagadnęła do męża. – Tam mamysoczek.

– Nie chcę soczku.

– Mówiąc soczek, miałam na myśli, no wiesz, soczek.

– Ach, ten soczek.

– No ten, chodź, chodź – pociągnęła go za rękaw marynarki i razem poszli do kuchni.

Urodziny Dzióbeczka trwały w najlepsze. Piskom zachwytu nie było końca.

Trzy osoby w aucie Romeczka jechały z milczeniem. Barbara trzymała odpięte skrzydła na kolanach. Kostium bałwanka jechał w bagażniku. Milczenie trwało przez jakiś czas, żeby z ludzi miał szansę ulecieć nadmiar emocji, po czym wszyscy spojrzeli po sobie i jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

– Powiemy Elenie? – zainteresowała się Barbara, kiedy otarła łzy z oczu i odsączyła chusteczką higieniczną ślady po tuszu do rzęs.

– Sama zobaczy. Romeczek prowadzi w różowej sukience.

– Była ze mnie księżniczka jak malowana – rzucił Romeczek. – A najbardziej wodził za mną wzrokiem gospodarz.

– Myślę, że on wodził z zupełnie innego powodu – zauważyła trzeźwo Dorota.

– No cóż, Elena kazała nam znaleźć rozwiązanie. Co mogliśmy zrobić? – bronił się Romeczek.

– Teraz jak tak sobie myślę, to może moglibyśmy to rozegrać w trochę inny sposób – zastanowiła się Dorota. – Tak czy inaczej dobrze wyszło. Naprawdę dobrze. Dzieci były bardzo zadowolone.

– Dobrze to mało powiedziane! – zapalił się Romeczek. – Piosenką o kotku bisowaliśmy trzy razy.

– Świetnie radzisz sobie falsetem – pokiwała głową Dorota. – Preferencje muzyczne jednak się przydają. Bee Gees?

– Ekhm, raczej AC/DC i Guns N' Roses...

– Aha.

– A motylek jeszcze przez pół godziny musiał zostawiać motylkowe pieczątki na wszystkich rękach i nogach. I na buziach też – zachichotała Barbara. – W życiu się tak nie ubawiłam, jak z wami.

Stanęli na światłach na ulicy Legnickiej. Po ich lewej i prawej stronie auta ustawiły się na sąsiednich pasach i wszyscy trwali w oczekiwaniu na swoją kolej na przejazd.

– O, policja stoi obok nas – zauważyła Barbara.

Romeczek instynktownie sprawdził, czy na pewno ma zapięte pasy i włączone światła. Wszystko grało.

– O, machają do nas – zauważyła ponownie Barbara.

Pełen najgorszych przeczuć Słowacki spojrział w lewo i faktycznie dostrzegł radiowóz wypełniony szczerze mundurowymi, którzy entuzjastycznie machali w jego stronę i szczyrzyli się tak szeroko, że mógł nawet z tej odległości ocenić ich stan uzębienia. Romeczek nieśmiałym, damskim gestem wyciągnął łapkę i zrobił im dyskretnie „pa, pa”. Gliniarze zarechotali, światła zmieniły się na zielone i fala samochodów ruszyła.

– To przez te twoje rzęsy, robią furorę.

– Daj spokój, Dorota, czuję się jak debil.

– W sumie nie było jak się przebrać. Zostawiliśmy fakturę, zebraliśmy napiwki i w nogi, zanim ktoś zacząłby trzeźwo myśleć. Serio się zastanawiam, jak to się na nas odbije. Może już, Romeczku, jesteś gwiazdą internetu, tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Romeczek, jak się potem okazało, nie został gwiazdą internetu. Z jakichś względów nikt z rodziców intensywnie nagrywających telefonami urodziny u Dzióbeczka nie zdecydował się umieścić nagrania w sieci. Przynajmniej na razie. Elena po pierwszym napadzie wściekłości urozmaiconym elementami rozpaczy nad klęską wizerunkową „Aniołów” zaczęła nawet tego żałować. W sumie tak czy inaczej staliby się sławni, a rozgłos przysporzyłby im zapewne nowych zleceń. Zapewne niekoniecznie o takim profilu, jaki był ich celem, ale w obecnej sytuacji kto wie, czy by tego nie rozważała.

Kiedy już wszyscy Elenę uspokoili, Romeczek wyciągnął z barku małe co nieco i nalał wszystkim za wyjątkiem Doroty, która wytrwale zachowywała ciężową abstynencję i nawet wyczyny księżniczki nie były w stanie zachwiać jej postawą.

– Muszę powiedzieć Jarkowi, ale się uśmieje – westchnęła i otarła uciekającą ukradkiem łzę, kiedy to kolejny raz wspominali i kolejny raz zaśmiewali się do rozpuku.

– Jakiemu Jarkowi? – zastrzygła uszami Elena.

– No jak to jakiemu? Naszemu. Stawinodze.

– Zaraz, zaraz, czy wy...

– A owszem – uśmiechnęła się Dorota i odruchowo pogłaskała po wyraźnym już brzuszku.

– Moje dziecko! – Barbara zerwała się z miejsca i przycisnęła Dorotę do swojej obfitej piersi. – To cudownie! Romeczku, polewaj. Dorotka nie może, ale będzie się z nami łączyć duchowo, a my po prostu musimy to uczcić! Zaprosimy go któregoś razu do nas, przecież niemal należy do rodziny!

Wszyscy wpatrywali się w Barbarę z otwartymi ustami. Dopiero teraz uświadomili sobie, jak bardzo stali się sobie bliscy na przestrzeni trzech ostatnich miesięcy i jak wiele ich łączyło. Tworzyli nie tylko firmę. Byli nawet czymś więcej niż gronem przyjaciół. Patrzyli razem w tym samym kierunku, będąc gotowymi jeden dla drugiego zrobić naprawdę wiele. Spotkali się w punkcie, w którym każdy z nich nie miał nic do stracenia, i okazało się, że razem mogą tworzyć rzeczy, o których im się wcześniej nie śniło. Mieszkanie na Młodych Techników nie wiadomo kiedy przestało być po prostu siedzibą firmy, a zaczęło pełnić funkcję drugiego domu, w którym każdy czuł się po prostu jak u siebie.

Zapadło pełne zakłopotania milczenie.

– Faktycznie jesteśmy jak rodzina – przerwał je w końcu Romeczek.

– Magia przyjaźni jak u My Little Pony – dodała Dorota.

– Nie wiem, o jakich oponach mówicie, ale cieszę się, że się znamy, drogie dzieci. Naprawdę się cieszę. Tyle się w moim życiu wydarzyło, że głowa mała! – Barbara uśmiechnęła się i uścisnęła wszystkim ręce, jakby składała gratulacje.

Anioł stróż Barbary, który stał cicho z tyłu i wzruszony obserwował całą sytuację, najpewniej się zagapił i nie zareagował w odpowiednim momencie. Nie wcisnął jakiegoś tajemniczego przycisku wstrzymania wydarzeń, nie przełożył zwrotnicy dziejów, by wszystko mogło biec dalej wytyczonym torem. Tylko tak można wyjaśnić to, co się potem wydarzyło i na co nikt nie był kompletnie przygotowany, a już najmniej przygotowana była sama Barbara.

10.

– No nie wiem, czy to zrobimy... Właściwie się zgodziłam, w pełni świadomie zresztą, ale tak jakoś teraz emocje opadły i zaczęłam się zastanawiać – wyraziła wątpliwość Barbara.

Był luty i jak to zwykle we Wrocławiu z tym miesiącem bywa, nie mógł się zdecydować, czy już oficjalnie zainaugurować pełną wiosnę, czy poczaić się jeszcze przez jakiś czas, a potem wyskoczyć jak filip z konopi z temperaturą plus piętnaście. Celem lutego najpewniej było wprowadzenie przeciwnika w błąd, bo rozleniwieni wrocławianie co roku nabierali się na ten sam numer – zdecydowanie nie doceniali śnieżnego potencjału Wielkanocy.

– Nie mówię, żebyśmy odpuścili, ale czy to zlecenie nie wydaje wam się, nawet jak na nas, zbyt, no, wiecie, jak to młodzi dzisiaj mówią, Martusia? Odjechane?

Marta w milczeniu pokiwała głową, utkwiwszy spojrzenie w oknie, za którym luty kusił przepiękną pogodą, tak piękną, że nawet brzydki Szczepin nie wydawał się taki szpetny.

Siedzieli w bazie na Młodych Techników szczęśliwi jak prosięta w błocie, bo właśnie ich biuro opuścili nowi i zupełnie nieoczekiwani

klienci, którzy nie zapowiedzieli się wcześniej telefonicznie ani przez maila, tylko po prostu wzięli i przyjechali. Cóż, w ich przypadku wydawało się to zupełnie zrozumiałe.

Nowa nadzieja zagościła wśród „Aniołów do wynajęcia”. Dorota, szczebiocząc coś do Eleny, nalewała wszystkim herbatki, Romeczek pomrukiwał z ukontentowania pod nosem jak najedzony kot, a sama Elena jednocześnie słuchała Doroty i klepała w klawiaturę komputera, pisząc coś w tempie iście kosmicznym. Właściwie tylko Marta wydawała się nieco nieobecna i zamyślona, a Barbara niepewna. Ale to i tak znacząca zmiana w stosunku do tego, co działo się jeszcze godzinę wcześniej.

Elena westchnęła głęboko i powiodła wzrokiem po czterech pozostałych osobach. Nosiła się z zamiarem poinformowania ich o tym, co leżało jej kamieniem na sercu, a kamień ten był rozmiarów Kasprowego. Dłużej chyba nie było sensu tego odwlekać. Przynajmniej tak jej się wydawało. Tak czuła.

- Myślę, że możemy to sobie otwarcie powiedzieć. Przegraliśmy.
- Ale... – zaczęła Dorota.
- Tak to chyba wygląda. Tak myślę.

Pięć osób zajmujących siedzibę biura „Aniołów do wynajęcia” na Młodych Techników nastroje miało odwrotnie proporcjonalne do pogody panującej za oknem, bo ta jak na złość epatowała pięknem, optymizmem i nadzieją na lepsze jutro.

– Działamy już piąty miesiąc, ale wszystko idzie nie tak, jak powinno, i nie tak, jak chciałam, żeby szło. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażałam.

- Ależ, Elenko, nie tragizuj – próbowała pocieszać Barbara.
- Nie, Basiu, nie tragizuję. Ja po prostu mówię, jak jest – wstała i podeszła do okna, po czym odwróciła się i spojrzała na resztę drużyny. – Konkurencja na rynku jest bardzo duża. Firmy zaciekle rywalizują i podbierają sobie klientów, po części uczciwie, po części nieuczciwie. Taki jest świat, nic nie zrobimy. Żeby się przebić, proponujemy niższe ceny, ale dłużej tak nie pociągniemy. Płacę

wam mniej, niżbym chciała...

– Oj, przestań! – przerwała jej Dorota.

– Płacę wam mniej, niżbym chciała – powtórzyła Elena, patrząc na nią znacząco – i czuję się z tym źle. Nie mamy pieniędzy na reklamę, a istniejemy za krótko, żeby jakiś bank coś nam sypnął w zamian za jakiś procent, nawet lichwiarski. Czas sięzwijać.

– Ej, dzisiaj tak myślisz, jutro będzie lepiej – odezwała się Marta, ale zabrzmiało to bardzo bez przekonania.

– Lepsze jutro było wczoraj – westchnęła Elena.

Marta zerknęła na nią i wróciła do spoglądania w swój telefon, który najwyraźniej przykuwał jej uwagę od pewnego czasu. Szczerze mówiąc, średnio interesowały ją rozterki Eleny. Przyszła na spotkanie, bo przyszła, w końcu jeszcze jej płacą, choć faktycznie szalu nie ma, ale tak naprawdę większość jej emocji pochłaniało coś innego. W życiu Marty zaczęło się dziać. W inicjatywach „Aniołów do wynajęcia” uczestniczyła trochę z sentymentu, trochę dlatego że mogły być jeszcze przydatne.

– Nie, nie, nie, ja się na to nie zgadzam! – Barbara wstała energicznie z krzesła, aż zadygotał stolik kawowy i wszyscy odruchowo polecili na pomoc trzęsącym się filiżankom. – Nie zgadzam się z takim myśleniem! Romek, nic nie powiesz?

Słowacki oderwał wzrok od okna i spojrzał na Borzęcką nieobecny wzrokiem. On najwyraźniej też przebywał w nieco innych rejonach wszechświata.

– Ale co?

– Coś z sensem, do diabła! Wesprzyj ją! Nie pozwolę na taki marazm! Jesteśmy zespołem, ba, jesteśmy jak... jak rodzina. I będziemy walczyć o to, co nasze. Dobrze mówię?

Dorota uśmiechnęła się szeroko i pokazała kciuk w górę, międzynarodowy znak aprobaty. Romeczek, równie nieobecny co przed chwilą, choć nieco raźniejszy, przytaknął jej skinieniem głowy. Elena ponownie westchnęła, szczerze wzruszona entuzjazmem i wolą walki Barbary.

– Basieńko, ja strasznie bym chciała walczyć, naprawdę. I wiesz,

że potrafię. Potrzebujemy jednak zleceń. Konkretnie przydałoby nam się chociaż jedno konkretne, tłuste, dobrze płatne zlecenie, które nam pozwoli wyjść z dołka i rozwinąć skrzydła.

– Damy radę! – Barbara zapalała się tak, że kwiat światowego coachingu wyglądałby przy niej jak marne chabazie. – Jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa, mówię wam. Jeszcze jesteśmy w grze. Jeszcze mamy coś do zrobienia!

– Naprawdę tak myślisz? – zainteresował się Romeczek.

– Oczywiście! – prychnęła Barbara, jakby podważenie jej szczerości było tak nie do przyjęcia jak publiczne dłubanie w nosie.

– A co niby mamy do zrobienia? – mruknęła Marta.

– Nie wiem! Coś! Wiem jednak, że będziemy działać dalej. Wierzę w to gorąco, a zarobki mam w nosie, bo nie jestem tu dla pieniędzy. Coś się będzie działo. Coś się wydarzy, zobaczycie! Jestem tego tak pewna, tak pewna, że... że... że nie zdziwię się, jeśli Opatrzność da nam jakiś znak!

Zamilkła z ogniem w oczach godnym największych proroków i z palcem wzniesionym ku górze. Przez chwilę trwała pełna zdumienia cisza, której nikt nie śmiał przerwać.

I w tym momencie zadzwonił dzwonek.

– Ktoś dzwoni – stwierdził logicznie Romeczek i z faktem tym nie dało się dyskutować.

– Do drzwi? Może to listonosz, idź, Romek, zobacz – poleciła Elena.

Słowacki poszedł. Już trzy sekundy później wiadomo było, że nie listonosz, chyba że ci mają zwyczaj nachodzić klientów stadnie i mówić wszyscy naraz. Z klatki schodowej dochodziły odgłosy zaangażowanej konwersacji na kilka dusz, przy czym jedna z osób przyćmiewała wszystkie inne emisją decybeli, domagając się, żeby to inni mówili trochę głośniej, do jasnej cholery, bo są tacy, którzy nie słyszą tak dobrze jak inni, a im też należy się szacunek i dostęp do informacji.

Po chwilowym trwaniu w stuporze, kobiety odblokowały się i wszystkie cztery rzuciły do przedpokoju. Scena, jaka ukazała się

ich oczom, zdumiała nawet zdystansowaną do tej pory Martę.

Romeczek, ucieszony jak małe dziecko na widok wielkiej kałuży z błotem i braku dorosłych w pobliżu, stał w otoczeniu trzech staruszków. Jeden, drobny, pochylony i pomarszczony, wyglądałby na około sto lat, gdyby nie to, że wymachiwał energicznie laską, co z miejsca odejmowało mu jakieś dwadzieścia, jak nie więcej. Drugi, gdyby mógł, też pewnie by wymachiwał, nie było mu to jednak dane, bo i laska nie była mu potrzebna. Wiercił się natomiast na swoim wózku inwalidzkim, tupiąc jedyną nogą, która mu pozostała. Tupał jednak ową nogą tak dziarsko, że niejeden dwudziestolatek wyposażony w obie, poczułby się zawstydzony. Wózek pchał przed sobą trzeci mężczyzna, który cały czas gmerał coś przy aparacie słuchowym i z wrzaskiem dopominał się o prawa dla niedosłyszących, bo szacunek wymaga tego, by mówić nieco głośniej. A on przecież nie wymaga wiele, prawda?

Kobiety stały z otwartymi ustami, prezentując wzorcowy wytrzeszcz. Gdyby jakiś malarz zechciał przedstawić personifikację zdumienia, oddałby ją właśnie tak.

– Romeczku, kim są panowie? – pierwsza otrząsnęła się Elena.

Słowacki objął stulatka za ramiona i triumfalnie spojrzał na swoją połowicę.

– Eleno Wołodymerewna, pozwól, że ci przedstawię. To panowie Stanisław, Zbigniew i Edward. Nasi kochani klienci.

Kochani klienci przetoczyli się w końcu przez próg i z miejsca zaanektowali pokój przerobiony na biuro. Ponieważ jednak interesanci zjawiający się hurtem podchodzili raczej pod wyjątek niż pod regułę, krótko po aneksji stało się jasne, że oprócz nich i Eleny więcej osób się w pomieszczeniu nie mieści. Wszyscy przy wtórze posykiwań („uważaj z tym wózkiem”, „zabierz swoją laskę, tylko takie na ciebie lecą”, „głośniej, do diabła!”) przenieśli się do pokoju gościnnego i zajęli wszelkie możliwe wolne miejsca.

Kiedy już wreszcie przestali mówić wszyscy naraz, wśród gróźb rękoczynów za pomocą laski, jeśli się ktoś nie zamknie, kiedy Zbigniew wywalczył sobie w końcu takie miejsce, by widzieć wszystko i być widzianym, i kiedy Edward wyregulował swój aparat

słuchowy, stało się jasne, że panowie przybyli w interesach.

– W czym moglibyśmy panom pomóc? – spytała uprzejmie Elena nieco oszołomiona tym wejściem smoka.

– W urodzinach! – odkrzyknęli chórem.

– Aha. A kto będzie miał urodziny? Wnuczek?

– Junior. Ale on jest zdecydowanie za stary na wnuczka, nawet na mojego – odparł Stanisław.

– Junior, aha. A tego, a czy mają panowie już jakąś koncepcję, jak chcieliby panowie, żeby to miało wyglądać?

Panowie mieli koncepcję, a i owszem, pomysł był nawet na etapie nie tyle wstępnych przemyśleń, co już konkretnego scenariusza działań. Ponieważ Junior siedzi na co dzień z nosem w książkach lub uprawia te swoje śmieszne spacerki po okolicy bez względu na pogodę, przyjaciele postanowili zrobić coś, co nim wstrząśnie.

– Jak bardzo wstrząśnie? – zaniepokoiła się Barbara.

Bardzo. Ma to być coś zupełnie odwrotnego niż to, do czego Junior jest przyzwyczajony. Wszystko po to, by mu pokazać, że istnieje coś poza literkami i nie mówimy tu, Edziu, do diabła, o telewizji, choć wszyscy wiemy, że oglądasz przez całą dobę programy publicystyczne i kłócisz się nie gorzej od prowadzących, bo nie słyszysz, co mówią. Nie. Chodzi o wstrząśnięcie Juniorem takie, no, międzyludzkie. Przywrócenie go na łono społeczeństwa. Będzie to więc huczna impreza w stylu amerykańskim.

– A styl amerykański to...? – drażył Romeczek, pysznie się bawiąc.

No jak można nie wiedzieć, co to jest styl amerykański? Przecież to oczywiste. Dużo balonów, dużo serpentyn, girlandy tego i owego zwieszające się z wszelkich możliwych miejsc. Wielki napis na ścianie „Sto lat, Junior”. Wszyscy w czapeczkach na głowach z trąbkami w ustach... Co? Oczywiście, że sto lat. A ile, Zbyniu? Osiemdziesiąt? Przez te pięć lat nie zdążyłby na nowo się złudzić, tak bardzo się odczłowieczył. Co ty chrzaniisz, jaka męka? Ja mam stowę i czuję się świetnie! Nie wiesz, co mówisz, młodzieńcze, szanuj starszych. Wszyscy więc w czapeczkach i z trąbkami

w ustach czekają w ciemności. Co? Z TRĄBKAMI, Edziu. Trąbkami, nie trampkami. Boże święty, no nie dokończę. No więc wszyscy z tymi trąbkami i ciemno będzie, a wtedy Teodor, to znaczy Junior, wejdzie i wtedy wszyscy zakrzykną „Niespodzianka!!!”. Zapalimy światła, zadmiemy w trąbki, a siostra Benedykta zaintonuje „Sto lat”.

– To Junior ma siostrę? – zainteresowała się Barbara.

Nie no, skąd. To wspólna siostra, wszyscy ją mają. To znaczy bez skojarzeń tutaj, nie o to chodziło! Siostra Benedykta rządzi personelem, a personel jest zakonny, siostra też. To z nią zresztą poszukiwano odpowiedniej ekipy do organizacji, bo tylko siostra ogarnia internet. Co? A na cholere im internet? Jest siostra, to niech ogarnia, oni są stworzeni do wyższych celów. No i to właśnie siostra Benedykta zobaczyła, że są „Anioły do wynajęcia”, dlatego powiedziała, że „Anioły” będą najlepsze. Tak pochrześcijańsku.

Zapadła cisza wypełniona pewną dozą zakłopotania.

– Tylko że my, no, tego. Może i mamy czyściutkie sumienia i pewną drogę do nieba bram, ale niestety nie jesteśmy bez wad. Na przykład nie pracujemy za „Bóg zapłać” – trzeźwo zauważył Romeczek.

Och, Boże ty mój! Jak mogli tak w ogóle pomyśleć! Co prawda nie samym chlebem żyje człowiek, ale nie lekceważmy tej sfery materialnej, bo bez chleba to i duch kiepsko ciągnie. Oczywiście, że zapłacą. Nawet już zrobili ściepę. Przeszli się po pokojach wszystkich pensjonariuszy „Domu pogodnej jesieni” i prosili o co łaska, przy czym łaska zaczynała się od pewnego poziomu „nie mniej niż”. Wszyscy zrzucali się bez mrugnięcia okiem. Po pierwsze, dlatego że lubią Juniora. Po drugie, Edzio groził, że jeśli ktoś się nie zrzuci, odetną mu telewizję. Pieniądze przynieśli ze sobą. Płacą z góry. O, proszę.

Stuletni Stanisław wyjął zza pazuchy wypchaną kopertę i położył ją na stole. Koperta ostro odcinała się swoją bielą od ciemnego brązu blatu i trwała tak jak prozaiczny negatyw słynnego obrazu *Czarny na białym* Kazimierza Malewicza. W końcu Elena, która jak się przyjęło myśleć, zajmowała stanowisko kierownicze, sięgnęła po pieniądze i przeliczyła. Zadrżały jej ręce.

– Czy naprawdę...

– Naprawdę tak bardzo lubimy Juniora – potwierdził Stanisław. – To nasz przyjaciel.

– To dużo pieniędzy, nawet jak na nasze wygórowane stawki.

– Junior wart jest każdych pieniędzy, a poza tym widać, jak reszta przywiązana jest do swoich telewizorów. Tyle wam chcemy za płacić. No chyba że nie chcecie.

Wszyscy naraz wstali z miejsca i bardzo głośno zapewnili, że nie, skąd, chcą bardzo, jasne, że chcą, w życiu tak bardzo nie chcieli. A baloniki, serpentyny i te sprawy da się załatwić bez trudu.

– To nie wszystko – zauważył jednonogi Zbigniew. – Musi być odpowiednia oprawa muzyczna.

– Tak, musi być Mieczysław Fogg. Bez Fogg'a nie płacimy – twardo postawił żądanie Stanisław.

– A z nowszych kawałków musi być Sławomir. Bez Sławomira też nie płacimy – dodał Edward.

– Sławomir to tam pal licho, ale ja nie wyjdę, jak nie przyrzekniecie Skaldów i Czerwonych Gitar – ryknął Edward i znów poprawił aparat słuchowy. – Jak potańcówka, to potańcówka. Ma być zabawa na całego!

– Bułka z masłem – zapewnił Romeczek. – Będzie wszystko, co chcecie. Coś jeszcze?

Stanisław spojrzał znacząco na swoich kolegów.

– Tak, jest jeszcze coś. Właściwie dobrze, że pan pyta.

Romeczek w skupieniu, Elena w zdumieniu, Marta śmiejąc się w kułak, Dorota z otwartymi ustami, a Barbara w przerażeniu – wszyscy w jakiś sposób słuchali tego, co miał do powiedzenia Stanisław, samozwańczy przywódca trójki przyjaciół Juniora. Impreza imprezą, baloniki balonikami, śpiewanie „sto lat” i piosenki Micia Fogg'a, wszystko to było niezwykle ważne, ale najważniejsze okazało się zwieńczenie całej inicjatywy, kropka nad i. Stulatek bardzo obrazowo przedstawił, na czym im zależy,

a Elena zerknęła jeszcze raz na kopertę z pieniędzmi, stwierdzając, że skoro tak się sprawy mają, to zapłata wcale nie oszałamia hojnością. Owszem, jest dobra, taka, jakiej im trzeba było, żeby dać „Aniołom” drugą szansę, ale żeby mogli tak sobie radośnie szastać pieniędzmi na prawo i lewo – co to, to nie.

Stanisław, wspomagany przez Edwarda i Zbigniewa, skończył wreszcie kreślić swoją wizję i zapadła cisza. Cisza przeciągała się, a napięcie rosło w niej jak drożdżowe ciasto. W końcu Romeczek wyprostował się na krześle i pokiwał głową.

– No cóż, jest rozmach. A tego, chciałem zapytać, bo, no, to niezbędny element całości?

Trzej starsi panowie pokiwali energicznie głowami.

– Właściwie – zaczął Romeczek spoglądając na Elenę – dałoby się to zrobić. Może gdyby Marta...

Wezwana do tablicy Marta uśmiechnęła się szeroko.

– Jeśli o mnie chodzi, nie ma problemu. Na ostatnim egzaminie musiałam zagrać kalafior na dopalaczach. Nic mnie nie zaskoczy. Dam radę.

Starsi panowie ponownie spojrzeli po sobie i Stanisław, przywódca grupy, pokręcił zdecydowanie głową.

– Mówiliśmy o osobie młodej, ale nie aż tak młodej. Ile ty w ogóle, dziecko, masz lat?

Marta fuknęła na poły zdumiona, na poły obrażona i nie zaszczyciła Stanisława odpowiedzią.

– To chyba odpadamy – podjęła Elena. – Ja nie mogę ze względów organizacyjnych, a Dorota przecież jest w ciąży i nie możemy jej narażać...

Zbigniew energicznie zamachał rękami.

– Nie, nie, nie. Chodziło nam o osobę młodą, no, taką odpowiednio młodą. O, pani byłaby świetna.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę, w którą wskazywał Zbigniew. Barbara siedziała, nie mogła więc już usiąść z wrażenia, i zasłoniła ręką otwarte usta.

– Ja?

– Basia? – upewnił się Romeczek.

– Pani jest odpowiednio młoda – potwierdził Stanisław.

Barbara popatrzyła jeszcze raz na wszystkich, potem spojrzała na kopertę, potem jeszcze raz na zgromadzonych w pokoju i powiedziała to, co w jej odczuciu najlepiej podsumowywało sytuację.

– Oj.

Momentalnie wszyscy zaczęli mówić naraz. Trzej starsi panowie przekonywali, że to wisienka na torcie, którą wykoncypowali, to element niezbędny, by wyrwać Juniora ze szponów literatury, w którą to zapadał się coraz głębiej i głębiej. Elena z Dorotą dowodziły, że można robić świetną imprezę urodzinową, bez aż tak dosłownego sięgania po wzorce amerykańskie, a co jak co, ale „Anioły” potrafią przeprowadzić to, czego się podjęły, na naprawdę najwyższym poziomie. Marta zaśmiewała się do łez, uważając sytuację za kapitalny dowcip, a Romeczek starał się sprowadzić wszystkie strony do wspólnego mianownika.

– CISZA! – ryknęła potężnie Barbara.

Towarzystwo umilkło. Barbara chrząknęła i nabrała powietrza.

– Zgadzam się. Tak, zrobimy takie urodziny, jakie wymyślili sobie panowie. Jestem za. Tylko co na to siostra Benedykta?

– To będzie niespodzianka również dla niej – zapewnił Zbigniew.

– Nie wątpię. W takim razie – uśmiechnęła się nieśmiało – zanoszę się na to, że będzie niezła zabawa.

Pół godziny później, po zadziergnięciu węzłów dozgonnej przyjaźni z „Aniołami” trzej starsi panowie zapakowali się do taksówki, której kierowca z niezwykłą cierpliwością czekał, aż wszyscy, zwłaszcza Zbigniew („precz z łapami, sam sobie poradzę!”), usadowią się na swoich siedzeniach. Kiedy odjeżdżali, machali pozostałym na pożegnanie, póki nie zniknęli za zakrętem osiedlowej uliczki.

Klamka zapadła. Działalność „Aniołów do wynajęcia” weszła

w zupełnie inny wymiar.

To był z pewnością niezapomniany dzień. „Anioły do wynajęcia” z impetem odbiły się od dna, rozłożyły skrzydła i okazało się, że pisane są im jeszcze wcale dalekie loty. Elena Wołodymerewna Rusłan po raz dziesiąty przeliczała pieniądze i w skupieniu tworzyła coś na kształt biznesplanu, by zapiąć wszystko na ostatni guzik i jednocześnie wywiązać się ze zlecenia. Tak, jeśli wszystko pójdzie tak, jak się tego spodziewa, powinno być dobrze. To duże zlecenie. Większe było tylko szkolne Halloween, kiedy to Marta dała swój popis wokalny, a pani dyrektor porwała do tańca wuefistę. Chociaż nie, może to nie była pani dyrektor i nie wuefista, a historyk. Mniejsza z tym. Grunt, że dalej można działać, a działanie było Elenie do życia niezbędnie potrzebne.

Romeczek zaszył się w ich pokoju sypialnym i z zapalonym klepał w klawiaturę. Zerknęła w jego stronę, kiedy szła do kuchni, by zaparzyć dla siebie i dla niego gorącej herbaty. Kiedy niosła mu kubek, chrząknęła znacząco i na wszelki wypadek zasymulowała potknięcie się w przedpokoju. Coś tam wymruczała (o wiele za głośno) o walających się wszędzie butach, które tylko czyhają na niosących herbatę, po czym z uśmiechem weszła do pokoju. Romeczek doskonale symulował zajmowanie się fanpagem „Aniołów” i szlifowaniem ich strony internetowej. Uśmiechnął się do niej i z wdzięcznością przyjął herbatę, a w jego oczach można było wyczytać wyraźną ulgę, że niczego nie zauważyła. Oraz nutkę jakiegoś rozmarzenia. Ona odwzajemniła uśmiech i ucieszyła się, że po raz kolejny on tak łatwo dał się nabrać i nadal pozostawał w głębokiej nieświadomości, że ona doskonale wie, czemu tak naprawdę poświęca swój czas. Łatwo jest skołować Romeczka.

Do tej pory nie zorientował się, że ona potajemnie podczytuje książkę, którą Słowacki wieczorami potajemnie pisze. Opowieść o nich, o „Aniołach” wyraźnie nabierała tempa i barw, a Elena musiała przyznać, że zapowiada się na zupełnie niezły kawałek literatury. Pochłaniała kolejne akapity, zerkając czujnie w stronę łazienki, czy przypadkiem Romeczek nie kończy swoich zwyczajowych wieczornych ablucji. Na szczęście miał zupełnie niemęski zwyczaj okupowania łazienki niczym Armia Czerwona

zajęte tereny – póki go ktoś nie wyrzucił.

Z jednej strony czuła złość, że proceder ten okazał się taki trudny do wykorzenia i Romeczek, pomimo jej prób sprowadzenia go na ziemię, nadal uparcie tkwił z głową w chmurach, snując sny o potędze. Szczęście w nieszczęściu, nie tworzył kolejnego tomiku poezji. W takim wypadku istniałoby ryzyko, że zechce go wydać, jak zwykle za własne pieniądze, a to w obecnej sytuacji oznaczałoby dla nich ruinę finansową. Elena czekała, aż praca nad książką ostatecznie ustanie, a dzieło podzieli los kilku poprzednich z jego gatunku, czyli ostatecznie zdechnie gdzieś w zapomnianym kącie twardego dysku. Ku jej zdumieniu zapal twórczy Romeczka trwał w najlepsze, a książka tyła, gromadząc kolejne akapity jak fałdki na brzuchu. Elena Wołodymerewna, tak jak wcześniej postanowiła, czekała i obserwowała, co z tego wyniknie. Choć nie sądziła, by rzeczywistość miała ją zaskoczyć.

Barbara o godzinie pierwszej w nocy zakończyła połączenie na Skype. Krzyś dał znać z Australii i jak zwykle zadzwonił w porze nieludzkiej, kompletnie lekceważąc odległość naznaczoną różnicą w strefach czasowych. Barbara z przyjemnością słuchała o tym, jak układa mu się w pracy (układa się dobrze), jak specyficznym społeczeństwem są Australijczycy (bardzo specyficznym), co tam słychać u czarnoskórej wybranki jego serca, w której ciele płynęła gorąca krew rdzennych mieszkańców kontynentu na końcu świata. Barbara lubiła rozmowy z Krzysiem, który już to z racji odległości, już to z racji takiego a nie innego charakteru pozostawał człowiekiem kompletnie oderwanym od rzeczywistości, żyjącym w świecie cyfr, haseł i kodu JavaScript. Lata leciały, a Krzyś pozostawał człowiekiem doskonale zdystansowanym i bez znaczenia pozostawało to, względem czego ten dystans wykazywał.

Tym razem uśmieł się do łez, kiedy Barbara opowiedziała mu o wizycie – jak ich nazwała – trzech tenorów i wszystkiego, co się wiązało z ich zleceniem. Zapytał, co na to Aldona, a Barbara wymusiła na nim przysięgę, że jej córka o niczym się nie dowie, inaczej Barbara wybierze się w podróż do Australii i będzie u Krzysztofa przesiadywać całymi dekadami, a przecież wiadomo, czym jest przedłużająca się wizyta mamusi. Barbara na umierającą

nie wygląda, dlatego siedzieć im na głowie mogłaby naprawdę długo, niech więc się Krzysztof trzy razy zastanowi, zanim chlapnie coś nieopatrznie Aldonie. Krzysztof przyrzekł, że nie chlapnie, po czym zmienił temat i doniósł o swojej ostatniej przygodzie ze stadem kangurów, kiedy to jechał autem przez australijskie nieużytki i spotkała go niesamowita przygoda. Barbara pomyślała, że Krzysztof to naprawdę dobre dziecko. Wie, kiedy nie drażnić i odpuścić temat.

Dorota trzymała Jarosława za rękę. Właściwie to on ją trzymał, a ona czekała, kiedy w końcu zbierze się na odwagę i wykona jakiś bardziej zdecydowany ruch celem namacalnego ukazania jej, co do niej czuje. Bo że jego uczucia były gorące jak świeżutka lawa Etny, nie miała najmniejszych wątpliwości. Sęk w tym, że Jarosław Stawinoga zachowywał się tak, jakby podczas ich spotkań otaczał ich szczelny kordon przyzwoitek gotowych razić prądem przy próbie nawet najbardziej nieśmiałego pocałunku. Nie mówiąc już o, ekhm, innej, bardziej zaawansowanej mowie ciała. Dorota Kotecka cierpliwie przyjmowała więc adorację polegającą na znaczących spojrzeniach, bezbrzeżnej miłości wylewającej się wszystkimi porami ciała, aksamitnym głosem przepełnionym uczuciem, a opowiadającym o sprawach doskonale zwykłych i przyziemnych, co samo w sobie było intrygujące, musiała to przyznać. Jarosław Stawinoga adorował ją, wielbił i kochał, a ona miała wrażenie, że gdyby kochał i wielbił w ten sposób jeszcze bardziej, pozostałoby jej jedynie zajęcie miejsca w jakiejś bogato zdobionej ramie za ustawionym przed tą ramą ołtarzykiem.

To było miłe, ale Dorota marzyła, by Jarosław nieoczekiwanie zapukał do jej drzwi. Ona otworzyłaby mu zaskoczona, a wtedy on jeszcze w przedpokoju zacząłby ją namiętnie całować, jednocześnie sprawnymi ruchami zdejmując z niej ubranie. Chwilę potem zaprowadziłby ją do jej sporego, małżeńskiego łóżka, dzielonego jeszcze nie tak dawno z boskim Bartim (zgiń, przepadnij!) i tam zrobiłby to, co już dawno zrobić powinien, a czego ona nie mogła się doczekać. I co z tego, że ciąża! Gdzie jest wola, tam znajdzie się sposób.

Mając przed oczami wyobraźni scenę dzikiego, namiętnego seksu,

patrzyła rozmarzonym i nieco odrealnionym wzrokiem na Jarosława, kompletnie nie słuchając, co do niej mówił. Nie znajdowali się w jej łóżku, nie byli nawet u niej. Jak para zakompleksionych gimnazjalistów kryjących się przed rodzicami stali pod jej bramą, pod którą on odprowadził ją po wieczornym spacerze. Normalnie szkoła. Za każdym razem, kiedy takie odprowadzanie miało miejsce, pytała, czy do niej wejdzie. Za każdym razem znajdował jakiś niezwykle ważny powód, dla którego akurat dzisiaj nie mógł tego zrobić. Dorota Kotecka знаła go już na tyle dobrze, że doskonale rozpoznała winowajczynię całego zamieszania, czyli niezwykle nieśmiałość Jareczka. Obiecała sobie nad tą nieśmiałością popracować. Tak gruntownie. Praca u podstaw. Kropla draży kamień i tak dalej. To kiedyś musi przynieść efekt, nie ma innej opcji. Nie wiadomo, jak się ten Jareczek przez wszystkie lata uchował, bo wyglądał na kosmitę w sprawach damsko-męskich, to znaczy tych dotyczących jego osobiście, bo jako ginekolog sprawdzał się wybornie. Wsiadając do windy, Dorota pomyślała sobie, że najwidoczniej ona jest jego pierwszą... Jeśli tak, to to by było... by było... No, cóż, na swój sposób podniecające, o tak.

Marta siedziała w swoim pokoju ze słuchawkami na uszach. Słuchawki były konieczne. Marek, chłopak Anki, niedawno wrócił do mieszkania spragniony po pierwsze czegoś ciepłego do żarcia, po drugie ciepłego ciała do przytulenia i tak dalej. To pierwsze dostał szybko, a to drugie niewiele później. Teraz właśnie przytulał Ankę, a ona jego i jak zwykle wiedziała o tym połowa ich starej kamienicy, już to za sprawą irytująco skrzypiących sprężyn ich tapczanu, już to z racji tego, że wcale nie próbowali zachowywać się cicho. Ponieważ tapczan uginał się coraz szybciej, należało przypuszczać, że zabawa wkrótce się skończy, on pójdzie do łazienki, a ona za jakiś czas leniwie wysunie się z pokoju, po czym pójdzie do kuchni zaparzyć sobie kawę. Kawę Anka mogła pić o każdej porze dnia i nocy, a Marta doskonale to rozumiała.

Oderwała się od myśli o Marku, Ance, orgazmach i kawie, a skupiła na tym, co widziała na monitorze. A widziała szansę. I to dużą. Zobaczyła ją już jakiś czas temu i wysłała stosownego e-

maila, natomiast teraz szansa powracała do niej z informacją zwrotną, a jej treść sprawiała, że Marcie zaczęły rosnać skrzydła u ramion, jak przystało na pracownicę agencji artystycznej „Anioły do wynajęcia”.

Ach, te „Anioły”. Totalna banda wariatów, szaleństwo galopującej geriatry, zgraja nieudaczników. No dobrze, Marcie nie udaje się niemal tak samo jak im, ale oni jakoś tak zabierają się do wszystkiego na opak. Zupełnie nie tak, jak powinni. Nie mają o niczym pojęcia, brak im jakiegokolwiek przygotowania, a rzucają się na główkę do nieznannej wody. Póki co są jej potrzebni i jeszcze może być z nich pożytek, ale w Marcie wzbierało przekonanie, że przy nadarzającej się okazji, trzeba będzie się wymiksować z tego towarzystwa. Poczekamy, zobaczymy, żadnych gwałtownych ruchów. Weźmie udział w imprezie dla tych staruchów, odbębni swoją część roboty, ale żadnego emocjonalnego zaangażowania. Będzie monitorować sytuację, póki to będzie konieczne, a potem... Potem to właśnie się zobaczy. Wszystko zależy od... odinnych.

11.

Z girlandami i serpentynami nie było jeszcze tak źle. Najgorsze było dmuchanie baloników. W czynności tej Elena i Romeczek powoli stawali się profesjonalistami i właściwie trudno o kwestię mniej skomplikowaną, rzecz w tym, że zadanie postawione przed nimi przez zleceniodawców okazało się, cóż, wymagające. Sala telewizyjna obwieszona była już we wszystkich możliwych miejscach, a Elena i Marta uwijały się jak w ukropie, dokładając kolejne ozdoby, bo ich liczba ciągle jeszcze okazywała się niewystarczającą. Romeczek przysięgał sobie w duchu, że jeśli ktoś kiedyś wymówi przy nim słowo „balon”, to będzie lał na odlew, nie patrząc, kto pada martwy. Trup będzie się ścielił grubą warstwą. Dorota rozdawała wszystkim mieszkańcom „Domu pogodnej starości” papierowe czapeczki i trąbki oraz przeprowadzała podstawowy instruktaż ich obsługi. Napis „Sto lat, Junior!” zwieszał się dumnie, tonąc we wszystkich barwach tęczy. W powietrzu pływały zacumowane do stołu dwie ogromne, złote cyfry siedem i pięć, które ktoś przez nieuwagę przymocował odwrotnie, co odmłodziło Teodora o osiemnaście lat. Siostra Benedykta biegła z tacami pełnymi ciast, jedną ręką tłukąc po łapach każdego, kto po nie sięgał, drugą ukradkiem wycierając

ślinę ściekającą po brodach największych łakomczuchów.

Dwa tygodnie na zebranie niezbędnych materiałów i przygotowanie wszystkiego, czego wymagali nietypowi klienci, okazało się czasem na styk, a zapłata w tym świetle nadal wyglądała na sowitą, choć nadal nie można jej było uznać za zapłatę na wyrost. Koszty przygotowań jednak były znaczne. Teraz najważniejszą część roboty mieli za sobą, a współdziałanie pensjonariuszy i personelu wciągniętych w urodzinowy spisek ułatwiło dopinanie szczegółów. Jak w obrazie malarza brakowało tylko ostatnich pociągnięć pędzlem. Romeczek po nadmuchaniu balonów zwarty i gotowy czekał przy sprzęcie grającym uzbrojony w twórczość Czerwonych Gitar, Skaldów i Mieczysława Fogga. Dorota pomogła dostarczyć miski z sałatkami i zakąski, zdumiewając się nad umiejętnościami kulinarnymi sióstr zakonnych i obiecując sobie, że musi koniecznie wyszarpać przepis na to i owo. Marta biegła z ostatnimi balonami i serpentynami, przyglądała się wszystkiemu i sprawdzała, czy jest coś, co jeszcze mogłaby zrobić. Wyglądało na to, że nie. Pozostało czekać na umówiony sygnał, który miała dać jedna z sióstr zakonnych wystawiona na czatach w krzakach za drzewami przy ulicy Chopina, obserwująca, czy nie wraca Junior.

W ogólnym rozgardiaszu dał się nagle słyszeć głośny dzwonek telefonu. Wszyscy zwrócili się w jego kierunku. Siostra Benedykta sięgnęła po swojego Samsunga i nakazała wszystkim ciszę.

– Melduj – rzuciła krótko.

– Tu Jodła, melduję, że nadal nic się nie dzieje.

Siostra Benedykta przewróciła oczami.

– Na miłość boską, miałaś dzwonić, kiedy go zobaczysz, a nie kiedy go nie widzisz. Już trzeci raz dzwonicz!

– No tak – odezwał się w słuchawce przejęty głos szpiegującej siostry. – Ale ja go już długo nie widzę. I to jest właśnie dziwne. Ileż można się szwendać po muzeum?

– Można. W przypadku Teodora bardzo można. Melduj jak coś...

– Chwileczkę... Idzie! Widzę go! Idzie!!!

– Nie drzyj się tak, na miłosierdzie pańskie, bo nas zdradzisz! Siedź w krzakach, póki do ciebie nie zadzwonię. Bez odbioru!

Siostra Benedykta niczym dowódca brygady komandosów powiodła wzrokiem po swoich licznych podkomendnych.

– Wszyscy na stanowiska! Obiekt zbliża się do celu!

W sali telewizyjnej zapanowało krótkie, acz gwałtowne pandemonium, po czym wszyscy nagle ucichli i zgaszono światło. Gdyby w pomieszczeniu znalazła się jakaś zapóźniona, wybudzona ze snu zimowego, późnolutowa mucha, słyhać byłoby, jak przelatuje.

Dzień zaczął się dla Teodora Rywkina inaczej niż zwykle. Ściślej rzecz biorąc, do pewnego momentu nie różnił się niczym od trzystu sześćdziesięciu czterech dni, które upłynęły od dwudziestego trzeciego lutego ubiegłego roku. Jak zwykle obudził się o siódmej, jak zwykle umył się i ubrał w swoje zwyczajne ubranie. Jak zwykle włączył radio i wysłuchał najnowszych doniesień z kraju i ze świata, a ponieważ wyglądało na to, że nic się nie dzieje, albo dzieje się to, co zwykle, a świat nie stał się ani odrobinę lepszy, wyłączył radio i sięgnął po książkę. Po chwili odłożył ją jednak i pstryknął przycisk przy czajniku elektrycznym, żeby zagotować wodę. Postanowił napić się herbaty, zanim zejdzie na śniadanie. Śniadanie było o ósmej. Kto mógł się poruszać i chciał, to schodził, kto nie mógł, temu dostarczano śniadanie do pokoju, a w razie konieczności również do ust. Teodor punktualnie o ósmej opuścił swój pokój i wtedy właśnie dzień zaczął wyglądać inaczej.

Spotkane na korytarzu osoby przywitały się z nim grzeczniej niż zwykle i życzyły mu wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. To, rzecz jasna, było zupełnie normalne, niezwykle były natomiast przekazywane sobie ukradkiem spojrzenia i stłumione chichoty. W jadalni również go powitano, złożono mu życzenia, ktoś się podśmiewał, ktoś inny puścił oko, a potem ten i ów wymieniał gorączkowe szeptu z sąsiadem obok.

Jego trzech koledzy od brydża siedzieli już w komplecie. Zbigniew tłukł skorupkę jajka, jakby chciał odreagować na nim wszystkie

życiowe frustracje, Stanisław raczył się miękką chałką, a Edward pochłaniał parówki.

– Cześć, Junior! Dzisiaj jest twój wielki dzień! – zawołał na jego widok stulatek.

– Witaj, Stasiu. Dzisiaj są moje urodziny, to prawda, dziękuję za pamięć, ale to żaden szczególnie wyjątkowy dzień. Przynajmniej nie bardziej niż poprzednie urodziny.

– O i tu się mylisz, Junior, mylisz się okrutnie. To będą twoje zupełnie szczególne urodziny, bo mamy cię zamiar odciągnąć od książek.

Teodor roześmiał się serdecznie.

– Jeśli to ma wyglądać tak, że cały dzień będziemy rżnęli w brydża lub pokera, to ja się na to nie piszę. Fajnie się z wami gra, ale są granice.

– Jasne, że są. Gdyby nie było, zgrałbyś się do majtek, a wybacz, stary, majtek twoich oglądać nie chcemy, co nie, panowie?

Panowie na słowo „majtki” skrzywili się ze wstrętem i ochoczo przytaknęli.

– Mamy dla ciebie coś lepszego. Właściwie to siostra Benedykta ma. Zaraz tu będzie.

Nie minęły dwie minuty a potężna postura siostry Benedykty pojawiła się w drzwiach jadalni z garnczkiem gorącej kaszy manny. Wojskowym krokiem podeszła do stołu i nałożyła odpowiednie porcje tym, którzy wyrazili chęć spożycia zupki mlecznej. Zauważyła Teodora, odstawiła garnczek, wytarła ręce w fartuch i dziarskim krokiem godnym majora podeszła do niego.

– No, witamy, panie Teodorze, witamy – powiedziała zaskakująco niskim altem. – Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! Chłopcy już zdradzili, że mają dla pana prezent?

Chłopcy spojrzeli niewinnie, jakby ich średnia wieku wynosiła lat osiem, a nie dziesięciokrotnie więcej, po czym posłali siostrze Benedykcie uśmiech zdolny stopić wieczne lodowce na Antarktydzie.

– Nie dam się na cały dzień zagnać do brydża – ostrzegł Teodor.

– Ależ skąd! – siostra machnęła ręką, a wyglądało to tak, jakby zadawała cios karate. – Żadnych brydżów. Zagnamy pana, owszem, ale w zupełnie inne miejsce. O, tutaj – i wyciągnęła z przepastnej kieszeni habitu coś, co wyglądało na folder i zaproszenie.

– A cóż to jest?

– Wszystkiego najlepszego, panie Teodorze. To jest zaproszenie na wernisaż, który odbędzie się dzisiaj w Muzeum Narodowym. Nazwiska artysty nie mogę spamiętać, tu pan ma, na zaproszeniu, ale wernisaż jest ponoć wielce obiecujący, a pan chyba już dawno w muzeum nie był.

Teodor uniósł wysoko brew zaskoczony tym nagłym zainteresowaniem siostry sferą kulturalną Wrocławia i jego poczynaniami w tej materii.

– Och, dziękuję bardzo, dziękuję. Tu jest napisane, że wystawa prac potrwa do kwietnia. Nie jestem pewien, czy ja na ten wernisaż...

Trzej starszycy wszyscy naraz zaczęli nagle przekonywać, że tak, na wernisaż obowiązkowo należy iść, koniecznie należy iść, bo do ludzi należy iść, do miasta należy iść i w ogóle należy iść, a nie tylko w książkach ślęczeć. Kultura, kultura przez duże „K” czai się za rogiem i najzwyczajniej w świecie jest to obywatelski obowiązek stawić się tam, powiedzieć paru osobom „dzień dobry” i pooglądać obrazy. Oraz najlepiej zwiedzić muzeum. Całe. Gruntownie.

Teodor oczami okrągłymi ze zdumienia obserwował ten kulturalny poryw serc, bo jako żywo nie mógł sobie przypomnieć, by na słowo „muzeum” ktoś z jego kolegów reagował inaczej niż machnięciem ręką. Do chóru dołączyła siostra Benedykta, która położywszy ciężką rękę na ramieniu Rywkina i spojrzawszy mu głęboko w oczy, rzekła stanowczo:

– Panie Teodorze, pan pójdzie do tego muzeum.

Nie było wyjścia. Teodor podziękował i po prawdzie ucieszył się bardzo, bo do muzeum chodzić lubił, a do Muzeum Narodowego nawet bardzo i chociaż odwykł od kontaktu z ludźmi, zawęziwszy swój świat do pensjonariuszy „Domu pogodnej jesieni”, zgodził się,

że dobrze mu zrobi taka wycieczka. Prezent uznał za bardzo trafiony i podziękował jeszcze goręcej. Koledzy wydali z siebie jakieś dziwne westchnienie ulgi, a siostra posłała mu tajemniczy uśmiech.

Kilka godzin później Teodor przechadzał się po korytarzach muzeum, uczestniczył w wernisażu i choć prace malarza okazały się zupełnie nie w jego guście, pokiwał nad nimi głową, pokornie przypominając sobie, że przecież nie zna się na sztuce i nie potrafi jej właściwie ocenić. Spędził miło czas, obcując nie tyle z ludźmi, co z wytworem ich niepodważalnego, wielkiego talentu, po czym uznał, że najwyższy czas wracać do domu. Prezent był naprawdę bardzo udany. To jak dotąd jego najlepsze urodziny. Od śmierci żony, oczywiście.

Wysiadł z tramwaju numer trzydzieści trzy i postanowił, że skoro nie musi się nigdzie spieszyć, machnie sobie swój zwyczajowy spacer wzdłuż parku. A co. *Ordnung muss sein*, jak mawiali przedwojenni mieszkańcy tego miasta. Sunął więc sobie niespiesznie noga za nogą i pewnie dlatego siostra zakonna wystawiona na czatach nie mogła się doczekać jego powrotu. Kiedy Teodor ją mijal, krzaki podejrzenie zaszeleściły. Rozejrzał się dookoła przekonany, że z krzaków wytoczy się jeden z fanów „woodki” Bols, halsujący slalomem, jakby miotało nim dziesięć w skali Beauforta. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Krzaki zaszeleściły i znieruchomiały. Teodor wzruszył ramionami, poprawił czapkę i poszedł.

Otworzył drzwi do ogromnej willi, w której mieszkał, i starannie wytarł buty w wycieraczkę. Było cicho. Za cicho. Zerknął na zegarek – siedemnasta. Powinien ryczeć telewizor, bo z koleśkami siostra Benedykta na szczęście dała już sobie spokój, Edward ze Staszkiem powinni się kłócić, po korytarzu powinni kręcić się ludzie, siostry przygotowywać kolację, bo siedemnasta to najbardziej ruchliwa godzina w życiu pensjonariuszy „Domu pogodnej jesieni”.

Tymczasem było cicho. „Jak w horrorze” – pomyślał Teodor.

– Hop, hop! – zawołał.

Nic. A nie, niezupełnie nic. Jakby szmery i to dochodzące z pokoju telewizyjnego. Rywkinowi stanęły przed oczyma sceny z *Lśnienia*

i szczególnie go to na duchu nie podniosło. Ruszył w głąb korytarza. Żarówka kinkietowa na suficie zamrugła ostrzegawczo, po czym znów rozjarzyła się pełnym światłem. Niedomknięte drzwi do jednego z pokoi zaskrzypiały tajemniczo.

– Dziwne – powiedział do siebie.

Może coś przegapił? Jakaś ewakuację przeciwpożarową? Jakies ćwiczenia ratownicze? Nie zabrał ze sobą komórki, może próbowali go zawiadomić, a nie mogli. Masz ci los. Pomyślał, że zajrzy do pokoju telewizyjnego, żeby zorientować się w sytuacji, a potem postanowi, co dalej.

Energicznym krokiem udał się do pokoju. Pomieszczenie pogrążone było w kompletnym mroku. Na pamięć sięgnął ręką ku ścianie i nacisnął włącznik światła.

– NIESPODZIANKA!!! – ryknął niezliczony tłum ludzi i jednocześnie miliard trąbek niemal pozbawił go słuchu.

W świetle, które zalało pokój telewizyjny, zobaczył stłoczonych wszystkich pensjonariuszy wraz z całym zakonnym personelem. Personel wyglądał nieco inaczej niż zwykle, bo oprócz welonów nosił na głowach kolorowe, szpiczaste czapeczki. Wszyscy dmuchali z zapalonym w rozwijane, papierowe trąbki i wydzierali się jak opętani. Ktoś otworzył zawór z konfetti, a te obficie wysypało się na wszystkich, stanowiąc niezwykle barwny substytut śniegu, którego we Wrocławiu tradycyjnie zabrakło. Tłum klaskał w dłonie, jakby to był kościół ku czci The Beatles, a on sam jako Paul McCartney wychodził właśnie na scenę. Cud, że nie zaczęły fruwać staniki. Wprost przed sobą widział zajmujący całą ścianę napis „Sto lat, Junior!”, a na stołach ustawionych wzdłuż ścian spostrzegł masę najrozmaitszego jedzenia, godnego uczyty iście królewskiej.

Jego trzech koledzy od brydża przyskoczyli do niego (Zbigniew podjechał) i pokleпали go po plecach, śmiejąc się na całe gardło. Teodor powitał się z nimi serdecznie i pozostając w szoku, poszukał wzrokiem siostry Benedykty. Stała nieopodal w największej papierowej czapeczce i z oddaniem dęła w papierową trąbkę, wyciskając z niej maksimum możliwości. Wrzask uspokoił się nieco i wszyscy wlepili w Teodora spojrzenia, najwidoczniej spodziewając się, że coś powie. Teodor milczał i wodził wzrokiem po

zgrupowanych. Nie uszło jego uwadze kilka młodych twarzy, w tym jedna ognście ruda kobieta w zaawansowanej ciąży, jedna bardzo młoda i jakaś para roześmiana od ucha do ucha tak, że można im było sprawdzić stan ósemek.

– Kompletnie zwariowaliście! – wydusił wreszcie i uśmiechnął się szeroko.

Pensjonariusze na nowo zaczęli wrzeszczeć, a najgłośniej darł się Stanisław, pod względem decybeli pokonując nawet trąbkę siostry Benedykty.

– Powiedz, Junior, że się cieszysz! – zakrzyknął Stanisław, kiedy tłumek ponownie się uspokoił.

– No pewnie, że się cieszę!

Rozpętała się burza oklasków.

– Tylko jestem kompletnie zaskoczony. Nie spodziewałem się, niczego się nie domyślałem. Ale z was konspiratorzy!

Pensjonariusze zaczęli wiwatować, a najgłośniej darł się Stanisław, który na prawo i lewo wskazywał na siebie i mówił, że ma się to doświadczenie.

– I co teraz? – zapytał Teodor, kiedy znowu stał się słyszalny.

– Teraz przekąsimy co nieco, bośmy z siostrami od garów nie odchodziły i prawdziwe cuda nam wyszły – zarządziła siostra Benedykta. – Posilmy się, drodzy państwo, a potem sobie potańczymy, prawda, panie Stanisławie?

– Prawda – ochoczo przytaknął stulatek i jakby był tylko ciutkę zwawszy, wyciąłby oberasa z przytupami. – Ale to jeszcze nie wszystko, bo zaplanowaliśmy kolejną niespodziankę.

– Jak to? Nic o tym nie wiem – łypnęła podejrzliwie siostra Benedykta.

– Bo to niespodzianka ściśle tajna. Wszystko w swoim czasie. A teraz pora na kawał o apostołach. Jedzmy i pijmy, a po stołach nie biegajmy!

Wszyscy zasiedli do stołów, a Teodor raz po raz przyjmował kolejne serdeczne życzenia. Dorota przycupnęła gdzieś w samym

rogu, żeby mieć możliwość swobodnego poruszania się w razie potrzeby. Kończący się drugi trymestr rządził się swoimi prawami, więc bezkolizyjna droga do toalety to był dla niej priorytet. Elena z Romanem przygotowywali wszystko na laptopie, żeby w odpowiednim momencie rozbrzmiała muzyka, której zażyczyli sobie niecodzienni klienci.

Marta z oczami wychodzącymi z orbit pochłaniała kolejne kawałki ciasta, błogosławiąc niebiosą za rewelacyjną przemianę materii, która pozwalała jej delektować się autentycznymi cudami sztuki kulinarnej i jednocześnie nie bać się inwazji hordy podstępnych kalorii. Było to zresztą obiektem zazdrości wszystkich jej koleżanek.

– Odchudzasz się? – pytały, bezskutecznie próbując doszukać się wad w rewelacyjnej figurze panny Malinowskiej.

– Skąd.

– Nienawidzimy cię. Ale biegasz chociaż czy coś tam?

– A gdzie tam.

– Nienawidzimy cię podwójnie i usychamy z rozpacz.

Z każdym kęsem ciasta z umysłu Marty Malinowskiej ulatywały wszelkie wcześniejsze myśli na temat bandy wapniaków, a na ich miejscu rozgaszczały się pokój i dobro oraz serdeczna przyjaźń wobec całego świata.

– Panie i panowie – w pewnym momencie Romeczek odezwał się do mikrofonu. – Zapraszamy do tańca. Na specjalne życzenie pana Stanisława zaśpiewa Mieczysław Fogg.

Rozległy się brawa po raz nie wiadomo który i Fogg faktycznie zaśpiewał. Wszyscy kiwali się przy stołach i przytupywali nogami, aż w końcu jakaś odważna para wygramoliła się zza stołu na środek nagrodzona za odwagę burzą oklasków. Za nimi poszli kolejni i każda wolna przestrzeń salonu telewizyjnego zapełniła się płaszącymi staruszkami. Jedni tańczyli odważniej, inni tylko podreptywali, każdy tak, jak pozwalały mu wiek, zdrowie i siły.

Atmosfera zrobiła się już całkiem swobodna, a Mieczysław Fogg skończył śpiewać swoją drugą piosenkę, kiedy z końca sali ktoś

rzucił słuszną uwagę, że brakuje niezwykle ważnego elementu
każdych urodzin, mianowicie tortu.

– Gdzie tort? Gdzie tort? – pytano jeden przez drugiego. –
Zapomnieliśmy o torcie?

Z laptopa przygotowanego przez Romeczka rozległ się odgłos
werbli, a Słowacki przemówił:

– Panie i panowie, to jest właśnie najlepszy moment na punkt
kulminacyjny naszego pełnego niespodzianek przyjęcia. Uwaga,
uwaga, proszę zrobić przejście w drzwiach!

Staruszkowie odsunęli się posłusznie i na stoliku o specjalnych
kołach dostojnie wjechał pchany przez Dorotę, Elenę i Martę
gigantyczny, różowy, piętrowy tort. Wielkością bez dwóch zdań
przyćmiewał wszelkie arcydzieła rąk siostry Benedykty i jej
towarzyszek, a liczba błyszczących ozdób i różu przyprawiłaby
o spazmy zachwyty wszystkie dziewczynki do lat sześciu. Dookoła
wystawały z niego sztuczne ognie, które syczały i strzelały orgią
iskier na wszystkie strony.

Tort wjechał powoli i zajął miejsce na samym środku sali. Odgłosy
werbli nasiliły się, a wszyscy trwali w napięciu i oczekiwaniu, co też
się wydarzy. I właśnie w chwili, kiedy Teodor uświadomił sobie, że
tort gigant jest sztuczny, wieko z impetem odskoczyło na bok,
a z tortu niczym Wenus z morskiej piany wyłoniła się kobieta.
W odróżnieniu od Wenus była ubrana i to nie tylko we własne włosy
przysłaniające najbardziej strategiczny rejon ciała, ale w bajecznie
kolorowy strój, który aż się prosił o skrzydła motylka (zresztą
kiedyś je miał, tylko teraz nie był dla nich odpowiedni czas). Wenus
wyłaniająca się z tortu miała na oko około siedemdziesiątki, ale biło
od niej takie ciepło, a policzki już to z emocji, już to z racji
przebywania przez pewien czas w sztucznym torcie miała tak
uroczo zaróżowione, że można jej było odjąć jeszcze z piętnaście lat.
Wenus wyłoniła się nie sama. Towarzyszył jej tort, tym razem
wielkości bardziej przypominający muffinkę, z dwoma świeczkami
w kształcie cyferek siedem i pięć.

Wenus bezbłędnie wyłowiła z całej zgrai pensjonariuszy jubilata,
choć nie widziała go nigdy wcześniej.

– Drogi panie Teodorze. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin życzą „Anioły do wynajęcia” – po czym wychyliła się przez tort i wyciągnęła rękę, by podać Rywkinowi mikrotorcik.

Rywkin przyjął go z jej rąk kompletnie oszołomiony, ze spojrzeniem utkwionym w jej oczach, z których z kolei strzelały iskiereki radości.

Pensjonariuszom „Domu pogodnej jesieni” oczy wyszły z orbit, a zuchwy opadły ku ziemi. Wszyscy wstrzymali oddech, jakby zapomnieli, że po wdechu naturalną rzeczą jest wydech.

– I to jest, drodzy państwo, najlepszy moment, żeby zaśpiewać „Sto lat” – wykrzyknął przejęty Romeczek.

I byłby zaczął śpiewać, ale w drugiej części sali rozległ się rumor i odgłos, jakby na ziemię runął kilkudziesięciokilogramowy worek kartofli.

Siostra Benedykta zemdląła.

W wielu słowach i na bardzo różne sposoby można by opisać to, co się potem działo, ale wszystko i tak miałoby swój początek w tym, że Teodor utkwivszy wzrok z Barbarze, powolnym ruchem poprawił okulary na nosie, uśmiechnął się szeroko i rzekł:

– Muszę zatańczyć z niespodzianką.

Romeczek i inni obecni na sali mężczyźni rzucili się, by pomóc Barbarze opuścić słodkie więzienie, zgrabnie postawili ją na ziemi, a ona, jakby była gwiazdą wieczoru, dobrą wróżką zjawiającą się w najlepszym możliwym momencie, by spełnić życzenie, roześmiała się szczerze i powiedziała, że oczywiście. I cokolwiek byśmy sobie nie myśleli, wszystko zaczęło się właśnie od tego jednego tańca. Można snuć domysły, czy wydarzenia potoczyłyby się tym torem, gdyby Barbara nie wyskoczyła z tortu, a uczciwie weszła drzwiami czy też gdyby była ubrana nie w szaleńczo kolorowy strój, tylko normalnie, po kobiecemu w uroczystą bluzkę i spódnicę lub gdyby w rękach dzierżyła nie mikrotorcik ze świeczkami siedem i pięć, a po prostu torebkę. Można by główkować, gdybać i zastanawiać się, ale wyszło jak wyszło. A wyszło tak, że ten i ów do dzisiaj łapie się za głowę.

Pary tańczyły w pokoju telewizyjnym i była to być może jedyna taka potańcówka we Wrocławiu, na której średnia wieku przekraczała osiemdziesiątkę. Kto mógł, obracał lub dał się obracać na środku sali. Kto nie był w stanie się obracać, dreptał w miejscu mniej lub bardziej do rytmu, a Zbigniew, dla którego nawet dreptanie było poza zasięgiem, klepał się po jedynym posiadanym kolanie i stukał laską w ziemię. Laskę zabrał komuś, kto jej chwilowo nie potrzebował.

Troskliwa grupa wsparcia niosła pomoc siostrze Benedykcie, którą udało się w końcu docucić i posadzić na krześle. Ktoś intensywnie wachlował ją wielką, kraciatą chustką do nosa, ktoś klepał po plecach, ktoś próbował poluzować habit pod szyją, choć było to trudne.

– Niech siostra chwilę tu posiedzi, przyniosę wodę – zaoferował się Romeczek i już rwał się, by przejść od słów do czynów.

– Stój, chłopcze – powstrzymała go Benedykta i łypnęła na niego okiem. – Daj spokój tej wodzie. Przynieś mi koniaku.

Koniak okazał się lekiem na całe zło i nadzieją na przyszły los, bo już dziesięć minut później siostra Benedykta była energicznie obtańcowywana przez Stanisława, z którym tworzyła niezapomnianą parę. Ona rosła i postawna, on drobny i zasuszony, sięgający jej mniej więcej do pach.

Teodor Rywkin nie miał pojęcia, kto tańczy, jak tańczy, gdzie tańczy i do jakiej melodii. Liczyło się tylko to, że stoi twarzą w twarz z kobietą, której roześmiane oczy miały moc stwarzania wszechświata na nowo. Jego wszechświata. Rozmawiali ze sobą początkowo bardzo onieśmieleni, z upływem minut coraz odważniejsi, coraz swobodniejsi i coraz sobie bliżsi. Niebieskie spojrzenie Barbary promieniało zza okularów niesamowitym ciepłem. Spodobał mu się jej miły głos, kiedy opowiadała mu o sobie, o swojej rodzinie i w dwóch skąpych zdaniach o swoim mężu, którego niedawno pogrzebała. Nie chciał pytać o więcej, nie teraz, gdy przeżywał coś, co było mu kompletnie obce od momentu choroby i śmierci jego żony.

Teodor Rywkin szczerze cieszył się życiem.

Tańczyli więc i tańczyli, a pensjonariusze zmieniali się na parkiecie obok nich. Część wróciła do swoich pokoi, zabierając ze sobą resztki boskiego ciasta przygotowanego przez siostry. Zakonnice zaczęły powoli sprzątać ze stołów. Romeczek ze Stanisławem raczyli się tym samym koniaczkiem, który wcześniej był sprawcą cudownego uzdrowienia siostry Benedykty. Marta opuściła już imprezę, otrzymawszy wcześniej całą górę kulinarnego dobra. Dorota i Elena powoli i niepostrzeżenie zaczęły odpinać baloniki.

Oni dalej tańczyli. A kiedy nie mogli już tańczyć, usiedli i zatopili się w rozmowie, jakby byli jedynymi ludźmi na całej planecie, z której reszta *homo sapiens* została nagle wymazana gumką myszką. Każde kolejne zdanie nie zapełniało żadnej pustki. Wprost przeciwnie, wzmagало tylko potrzebę rozmowy, bycia razem, wzajemnej bliskości. Barbara miała wrażenie, że kręci jej się w głowie i gdzieś po cichu tłumaczyła sobie, że to przecież niedorzeczne, by siedemdziesięciolatka czuła się jak na pierwszej randce. Teodor przekonywał sam siebie, że to tylko zupełnie normalna rozmowa z miłą panią, która po prostu trochę inaczej niż inne panie, zamiast wchodzić drzwiami, wyskoczyła z tortu. Trwali więc razem, jedno i drugie sięgając po mistrzostwo w zakłamywaniu rzeczywistości i staczając walkę rozumu z sercem, w której to rozum był na z gruntu przegranej pozycji, choć rozpaczliwie nie chciał się do tego przyznać.

Przerwali dopiero wtedy, kiedy wokół nich na dobre trwało już sprzątanie. Stanisław, który kiedyś stawiał czoła wielu groźnym przeciwnikom, wywiesił białą flagę wobec koniaczku, a ten przypuścił krótki i udany atak, skutkiem czego stulatek śpiewał z zapalem o ułanach, którzy przybyli pod okienko. Barbara uśmiechnęła się do niego i ruszyła na pomoc Dorocie oraz Elenie. Za sprzątanie zabrał się też Teodor.

Kiedy wszystko zostało już zrobione, a pokój telewizyjny z powrotem przypominał pokój telewizyjny, każdy pożegnał się z każdym, jakby wszyscy stanowili grono najlepszych przyjaciół do tańca i do różańca.

– Zadzwoń jutro – szepnął Teodor do Barbary.

– Zadzwoń koniecznie – odszepnęła.

Kiedy „Anioły do wynajęcia” wychodziły, zabierając ze sobą wszystkie swoje bambetle, chmury przetały się i zrobiły nieco miejsca dla księżyca, który zupełnie nieświadomy wszystkiego, co się wydarzyło, zerkał swoim nocnym okiem na Wrocław. Omiótł blaskiem Park Szczytnicki, omiótł auto, do którego zapakowały się cztery osoby zupełnie zwyczajne na pierwszy rzut oka, spojrzął w stronę Placu Grunwaldzkiego i nie napotkał niczego, czego nie widziałby już wcześniej. Cóż, tak to bywa. Ciała niebieskie wbrew pozorom są kiepskie w dostrzeganiu kiełkujących pędów miłości.

Telefon siostry Benedykty zadzwonił i dla pewności jeszcze zawibrował. Potem jeszcze raz zadzwonił i jeszcze raz zawibrował. Zadzwonilby po raz trzeci, ale siostra Benedykta odebrała połączenie.

– Tak?

– To ja.

– Kto?

– No ja!

– Ach, ty. Słucham cię.

– Chciałam zapytać, czy mogę już wyjść.

– Skąd wyjść? – siostra Benedykta poczuła lekkie ukłucie, jakby przed jej oczami ktoś rozciągnął transparent z napisem „Ups!”

– No z krzaków. Mówiłaś przecież, żebym została, póki nie dasz mi znać. No i nie dajesz. Co tak długo? Mogę już wyjść?

– Eee, no tak, tak. Oczywiście, że możesz. Spocznij.

– No wreszcie – wyraźnie ucieszył się głos w słuchawce. – Opuściłam coś?

– E, nic takiego, nic nie straciłaś. Takie tam nudy, wiesz, jak to jest z naszymi.

– No tak, faktycznie nudy. To ja wracam. Ale heca! Pierwszy raz w życiu szpiegowałam.

– Ekhm, no tak – odchrząknęła Benedykta. – Znakomicie wykonane zadanie. Wracaj i rozgrzej się. Zostało jeszcze coś z ciasta.

Połączenie zostało zakończone. Benedykta pokręciła głową, westchnęła i znów sięgnęła po różaniec, przy okazji odsuwając na bok szpiczastą, papierową czapeczkę.

12.

Marzec poszedł w ślady lutego i stwierdził, że nie ma sobie co zawracać głowy jakąś tam zimą. Niech sobie inni nad nią myślą, on nie zamierza. On zacznie działać inaczej, tak wiosennie. Pączki na drzewach trzeba obudzić z zimowego snu? Proszę bardzo. Zarządzić wyższą od średniej temperaturę, żeby gołębie zgłupiały, myśląc, że już najwyższy czas na inaugurację okresu godowego? Robi się. Taki był właśnie marzec. Kapryśny, nieprzewidywalny, nieokiełznany, ale wyraźnie trzymający stronę wiosny.

W tym właśnie momencie płakał rzewnymi, przedwiosennymi łzami, zostawiając kurtynę szlochów na szybach budynków i splukując wrocławskie ulice. Wymagająca pogoda sprawiała, że korki w centrum stawały się jeszcze większe niż zwykle. Pierwsi poddali się rowerzyści, następnie ci, którzy musieli zaliczać przesiadkę, żeby dotrzeć do pracy. Smog czy nie smog, wszyscy pokornie wyjechali samochodami na ulice, przyczyniając się do zwiększenia i tak już niemałego chaosu.

Dorota Kotecka zapatrzyła się w spływające po szybie krople. Odłożyła laptop i zwlekła się z narożnika. Teraz najlepiej pracowało jej się w pozycji półleżącej. Dedlajn, który do tej pory opierał o nią

swoje długowłose kocie cielsko, oburzony i zniesmaczony podniósł się leniwie i nonszalanckim krokiem skierował ku kuchni.

Dorota stanęła przy oknie. Smutek i płacz w tym Wrocławiu. Co za zima. Właściwie co za jej brak, bo za moment i tak oficjalnie rozpocznie się wiosna. Cięża dawała się Dorocie już nieźle we znaki. I tak znosiła ją świetnie, nawet rewelacyjnie, jeśli wziąć pod uwagę to, że czterdzieści dwa lata (no, już prawie czterdzieści trzy) rządzą się swoimi prawami. Tak czy inaczej dziecko mocno się już rozpychało, od czasu do czasu serwując jej soczyste kopniaki, a ponieważ miało jeszcze ten luksus metrażu, że mogło się wiercić, kopniaki kierowane były raz w stronę żołądka, raz w stronę pęcherza. Kiedy tylko Dorota siadła i przez pewien czas pozostawała bez ruchu, miała sto procent gwarancji, że zaraz rozpoczną się mistrzostwa świata w lekkoatletyce wewnątrzbrzuszej.

Rozpoczęły się i teraz, dlatego ponownie odłożyła na bok laptop z najnowszym tłumaczeniem i postanowiła trochę się poruszać. Rzuciła okiem w stronę szafy i zastanowiła się, kiedy boski Barti przyjdzie po resztę swoich szmatek i innych rzeczy.

Jakby ściągnęła go myślami: chwilę później rozległ się odgłos próby włożenia klucza do zamka. Próba okazała się nieudana, a Dorota uśmiechnęła się z satysfakcją. Gmeranie w zamku powtórzyło się, co było potwierdzeniem powiedzenia Einsteina, że tylko idiota przy identycznych działaniach oczekuje dwóch różnych rezultatów. Po drugiej stronie drzwi najwyraźniej zrozumiano, że nic z tego nie będzie i dla pewności szarpnięto kilka razy za klamkę. Znowu nic. Nadszedł czas na wywieszenie białej flagi i po zacieklej batalii rozległ się dzwonek do drzwi.

Dopiero wtedy Dorota ruszyła się z niepozabawionym złośliwości uśmiechem i poszła otworzyć. Tak, rudy to zdecydowanie charakter.

Za drzwiami stał Bartłomiej Goryczka piękny jak zwykle (niech to szlag!) i wyposażony w sportową torbę. Markową.

- Cześć – powiedziała.
- Cześć – bąknął zdumiony, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.
- Nie mogę wejść.

– Nic dziwnego, zmieniłam zamki.

– Jak to zmieniłaś?

– Nie mieszkasz już tutaj, pamiętasz? Wyprowadziłeś się do Jowitki. A to moje mieszkanie i mogę sobie zmieniać zamki, kiedy tylko zechcę.

– No tak, tak – boski Barti nieoczekiwanie chwilowo spokorniał. – Mogę wejść?

– Przyszedłeś po resztę rzeczy?

– Tak.

– To możesz – odsunęła się, by go przepuścić.

Wszedł do mieszkania i rozejrzał się po nim, by stwierdzić, że nic się nie zmieniło. Spojrzał jeszcze raz na nią i zauważył, że w niej zmieniło się wszystko.

– Wyglądasz... inaczej.

– Brawo za spostrzegawczość. Jestem w ciąży. To jest pewien proces, on postępuje, nie wiem, czy wiedziałeś.

– Który to miesiąc?

Dorota już miała na końcu języka, że co jak co, ale on powinien doskonale wiedzieć, który to miesiąc, bo o ciąży dowiedział się w tym samym dniu, w którym ją zostawił. Postanowiła jednak nie eskalować nerwowej atmosfery.

– Siódmy.

– No, to mamuśka się z ciebie robi – roześmiał się.

Pomyślała, że za słowo „mamuśka” powinno się skazywać na krzesło elektryczne albo co najmniej dwadzieścia lat kolonii karnej. Zwłaszcza gdy padało z ust Bartłomieja Goryczki.

– Przyszedłem po kilka aktówek z papierami i parę innych rzeczy. Już ostatnich, zapewniam. – Nie wyrzuciłaś ich?

Niczego nie wyrzucałam – westchnęła. – O które papiery chodzi?

– A takie tam finansowe – Bartłomiej obrzucił ją czujnie wzrokiem. – Nie zaglądałaś do nich?

– Nie interesują mnie twoje papiery. Zabierz je i niech już ich tu nie będzie.

Razem z tobą, dodała w myślach.

Bartłomiej, pogwizdując, gmerał w szufladach i wyciągał to, po co przyszedł. W przedpokoju na wieszaku powiesił płaszcz z wielbłądziej wełny, rażąco kontrastujący klasą i przepychem z całą resztą mieszkania. Płaszcz z całą pewnością był oryginalny. Goryczka pozostał w marynarce, pod którą miał cienki golf (oczywiście od najlepszych projektantów), a jedno i drugie wybornie układało się na jego wysportowanym ciele. Dorota pomyślała, że nic dziwnego, że zawrócił jej w głowie tych parę lat temu, kiedy to myślała, że los sprawił jej niebywale hojną niespodziankę. Tak hojną, że na nią nie zasłużyła. Niedawno okazało się, że to nie prezent, a pożyczka. I ona ją teraz spłaca.

– Wiesz, byliśmy z Jowitką na Kubie – zagadnął.

– Ach tak?

Powiem ci, że Hawana jest taka klimatyczna, ma taką atmosferę... No i ten optymizm. Normalnie trafiało mnie, jak wysiadłem z powrotem na lotnisku we Wrocławiu.

– Jowitkę też trafiało?

– O tak – boski Barti jakimś cudem przegapił pocisk sarkazmu rozmiarów rakiety V2. – Bo Jowitka, wiesz, nosi w sobie mnóstwo optymizmu, ale mówi, że ważne jest ładowanie baterii i regeneracja. Organizmu, rozumiesz. Baterie mentalne. To ważne dla równowagi psychicznej, dla spokoju ducha, no, dla zen. Dlatego jeździmy w miejsca, gdzie jest dużo słońca i gdzie możemy te baterie ładować, przebywając wśród ludzi o pozytywnym spojrzeniu na świat.

– Ach tak?

– No tak. I tak raz na dwa miesiące to koniecznie musimy wyjechać, chociaż na parę dni, chociaż na weekend.

– Weekend na Kubie, hm.

– Nie no, na Kubie byliśmy dwa tygodnie. Na parę dni to, wiesz, bliżej. Kanary, te sprawy. O, a teraz w zimie to praktycznie co dwa

tygodnie. Wiesz, Dolomity, Alpy francuskie, Alpy austriackie. Tam to jest zima, nie to co ten polski wypierdek. O, à propos wypierdków, wiesz, wchodziłem do bramy, a pod bramą stał jakiś żaloszny facet z kwiatami.

– Jaki facet? – współczynnik czujności Doroty nagle skoczył do góry.

– Taki o wzroku wiernego spaniela. Jak Nicolas Cage. Stał, jakby nie wiedział, co z sobą zrobić.

– Z kwiatami?

– Z sobą i z kwiatami.

– Jak wyglądał?

– No, mówiłem, że jak wierny spaniel. Jakaś kretyńska czapka na głowie, okulary w grubych oprawkach. Kurtka wyglądała, jakby była z Lidla. Niektórzy to już za grosz klasy nie mają, naprawdę. Stał pod bramą, jakby myślał, że domofon wybuchnie, jeśli on naciśnie jakiś przycisk.

– I co dalej? – spytała Dorota z dziwnie ściśniętym gardłem.

– Wchodziłem, to wszedł za mną. Nawet wsiadł ze mną do windy. Ja nacisnąłem siódme, on dziewiąte.

– I?

– O Jezu, nie wiem, co dalej! Zacząłem walczyć z zamkiem i wszystko inne przestało mnie obchodzić. A co on cię tak interesuje? Jakiś znajomy? Może jechał do ciebie, tylko pomylił piętra? – zaśmiał się Bartłomiej. – Niezły adorator ci się trafił, nie ma co. Gdzie ci mężczyźni, aaaaa – zanucił znaną piosenkę.

– Właśnie – podchwyciła Dorota z głosem kipiącym z trudem hamowanym wzburzeniem. – W tym momencie w tym mieszkaniu ich nie ma. Być mężczyzną oznacza coś więcej niż nosić płaszcz z wielbłąda i golfik od Ralphi Laurena. To coś więcej niż sprawnie działający kutas, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

– O, toś się oburzyła!

– Wyjdz. Zabierz te pieprzone papiery, te duperele i wyjdz. I lepiej o niczym nie zapomnij, bo nadal w drzwiach mam wizjer.

I następnym razem, jeśli zobaczę, że to ty, to nie otworzę. Jowitka się już na pewno za tobą stęskniła, więc nie marnuj czasu ani jej, ani swojego, ani mojego.

Bartłomiej Goryczka, posyłając jej szydery uśmiech, zabrał swoją sportową torbę, narzucił na siebie obłudnie drogi płaszcz z wielbłądziej wełny i lekkim krokiem opuścił mieszkanie, będąc przekonany, że zmierza ku lepszemu światu lepszych ludzi. Dorota zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie. Na klatce schodowej rozległ się szum windy zjeżdżającej w dół.

Była wściekła, chciało jej się ryczeć, miała ochotę wytłuc boskiego Bartiego po jego wypielegnowanym ryju, a najbardziej bolał ją fakt, że facet o spojrzeniu wiernego spaniela niebezpiecznie przypominał Jarosława Stawinogę. Dobra, ona rozumie nieśmiałość. Matkowanie dorosłemu facetowi i prowadzenie go za rączkę też ma swój urok, zgoda, ale do diabła, są jakieś granice. I jeśli on nie zrobi jakiegoś męskiego kroku ku... ku czemuś, to będzie źle, bo jej cierpliwość naprawdę się wyczerpuje. A tkwienie gdzieś tam na klatce schodowej jak jakiś chłopczyk to... to...

Nie dokończyła swojej myśli, bo za jej plecami rozległo się stukanie do drzwi. Odwróciła się gwałtownie i szybkim ruchem je otworzyła.

Na klatce schodowej stał Jarosław Stawinoga w kretyńskiej czapce na głowie, w swoich mało twarzowych okularach i w kurtce, którą boski Barti pogardliwie określił mianem „jakby była z Lidla”. W rękach trzymał ogromny bukiet przepięknych róż. Oddychał ciężko, jakby zrobił sobie poczwórną przebieżkę z parteru na siódme i z powrotem. Najwidoczniej skutkiem tego przyrósł do podłogi, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek kroku. Wyraźnie wzbierały w nim słowa, które domagały się wypowiedzenia, i wyraźnie wszystko zmierzało ku niechybnej eksplozji. Niech to, co powiesz, będzie mądre i z sensem, błagam. Inaczej nie wiem, co będzie, pomyślała Dorota. Moment wybuchu niebezpiecznie się przybliżał, a temperatura emocji w Jarosławie osiągnęła ten punkt krytyczny, kiedy następuje synteza wodoru i niekontrolowana reakcja termojądrowa. Albo za moment zaczniesz świecić własnym światłem, pomyślała Dorota, albo...

A chrzanić to – oznajmił nagle Jarosław, po czym śmiało i energicznie przekroczył próg mieszkania i przywarł namiętnie ustami do ust zdumionej Doroty.

Całował ją dłuższą chwilę, aż w końcu pozwolił jej nabrać tchu.

– Jareczku – wyszeptała.

– Och, przepraszam, kwiaty.

– Chrzanić kwiaty, całuj mnie dalej, do jasnej cholery!

Stawinoga mało subtelnym kopniakiem zatrzasnął drzwi, rzucił kwiaty na szafkę z butami i ponownie zabrał się za całowanie Doroty, co wychodziło mu zaskakująco sprawnie, biorąc pod uwagę fakt, że robił to po raz pierwszy. Ona przywarła do niego, jak tylko mogła.

– Nie mogłem się powstrzymać – szeptał.

– Już się bałam, że nigdy się nie zdecydujesz.

Całował ją dalej tak namiętnie, jakby chciał nadrobić wieloletnie zaległości, jakby w ten sposób nagromadzone w nim emocje mogły znaleźć bezpieczne ujście, zachwycił się kragłościami jej piersi, kiedy gwałtownie zdarł z niej bluzkę, nie przejmując się taką drobnostką jak guziki. Jęknęła.

– Jeśli nie chcesz, powiedz, zanim nie będę się mógł zatrzymać.

– Nikt nie chce, żebyś się zatrzymywał, głupku, tylko zrobmy to w sypialni, a nie w przedpokoju.

– A ciąża? – Jarosław na chwilę otrzeźwiał.

– Jestem przekonana, że z ciążą świetnie sobie poradzisz także w tej sytuacji. Chodźmy.

Pociągnęła go za sobą do sypialni, która była niemyym świadkiem jej uniesień z Bartłomiejem, a teraz obserwowała uniesienia z Jareczkiem. Obserwowała i kibicowała, bo widać było wyraźnie, że poza sferą fizycznej satysfakcji z zaskakująco udanego seksu rozciąga się cały niezmierny ocean czegoś znacznie ważniejszego, co przyjemność płynącą z pieszczot przenosiło na zupełnie inny poziom. Można to było górnolotnie nazwać komunią dusz albo zwyczajnie wzajemną miłością. Sypialnia z zadowoleniem

skonstatowała, że to właśnie tego elementu wcześniej tu brakowało.

Leżeli obok siebie zupełnie nadzy i spoceni. Jarosław wsparł się na jednej ręce, a drugą zataczał ósemki na piersi Doroty.

– Dlaczego tyle zwlekałeś, do diabła?

– Och, długo by mówić.

– To nie mów, tylko działaj. Chcę jeszcze raz.

– Na dzisiaj damy sobie spokój. Świetnie znosisz ciężę, ale nie można o niej zapominać. W końcu jestem twoim lekarzem. Poza tym coś kudłatego przytula się do mnie od tyłu i chyba próbuje mnie drapnąć. Aua!

Dorota roześmiała się.

– To Dedlajn, mój kot. Chodź, Dedlajn, już nie czaj się tak.

Potężny kocur wyłonił się zza Jarosława i wszedł między nich powolnym krokiem, jakby chciał dać do zrozumienia, że właściwie to nie chciał, ale skoro tak go proszą, to on łaskawie ulegnie i przychyli się do ich prośby. A skoro wszedł, rozciągnął się na całą swoją kocia długość, tworząc futrzastą wersję miecza z dziejów Tristana i Izoldy.

– Widzisz, kot twierdzi, że już wystarczy.

Dorota westchnęła, podniosła się i zaczęła rozglądać za majtkami oraz stanikiem.

– Zostań na noc.

– Nie mogę – westchnął. – Wiesz, babcia. To naprawdę starsza kobieta, nie mogę jej fundować takiego szoku. Muszę ją urabiać stopniowo.

Dorocie szczególnie podobała się opcja powolnego urabiania babci, ale nie było wyjścia, musiała się z tym pogodzić. I tak Jareczek wykonał wielki krok naprzód, za co mu cześć i chwała.

– Ale obiecaj, że jutro przyjdiesz.

– Teraz będę przychodził codziennie. Choć gdybyś miała ochotę na coś innego poza seksem, to zawsze możemy wyskoczyć do kawiarni.

Nie przypuszczała, żeby miała ochotę na cokolwiek innego przez

najbliższe sto lat, ale kawiarnia faktycznie też wchodziła w grę. To niesamowite, jak zupełnie inaczej zaczął się ten dzień i zupełnie nieoczekiwanie się kończy. Była szczęśliwa, spełniona i nasycona, a przede wszystkim cieszyła ją metamorfoza Jareczka, który wreszcie przejął kierownicę i co tu kryć, dodał gazu. Ona mogła wreszcie się rozluźnić na siedzeniu pasażera. No tak, tak można jechać przez życie, proszę bardzo. Nie wiadomo, co będzie dalej, ale do licha, musi być dobrze.

13.

Tak! Przyszedł mail! Odpowiedzieli! Nie dość, że odpowiedzieli, to jeszcze tak, jak tego chciała. Zgodzili się! Zgodzili! O rany, już myślała, że tym razem też nic z tego nie będzie, ale nie. Dziś los zakręcił kołem ruletki, a kulka wpadła na to, co Marta obstawiała. Cudownie! Teraz wszystko potoczy się inaczej, teraz lata wyrzeczeń zostaną nagrodzone, teraz, jak w tej znanej piosence, wreszcie będzie przepięknie, wreszcie będzie normalnie. Teraz los jej sprzyja, teraz... Teraz jest dobry moment, by pójść do sklepu po wielką czekoladę. Dla siebie, dla Anki i dla Marka. Dla nich zresztą po większą niż dla niej.

Mail, który Marta otrzymała, ucieszył ją podwójnie. Po pierwsze, nadal jest w grze i do osiągnięcia celu ma bliżej niż dalej. Po drugie, może jeszcze trochę pomieszkać u Anki, co nie było wcale takie oczywiste. Marek zadomowił się już na dobre, coś tam przebąkują o ślubie i wygląda na to, że sytuacja będzie zmierzać w ustalonym przez życie i biologię kierunku. Hajtną się, nacieszą sobą i pojawią się dzieci. Albo dzieci pojawią się wcześniej, zanim oni zdążą się hajtnąć, bo w końcu z dziećmi nigdy nic nie wiadomo. Nigdy ich nie ma, dopóki się nie pojawią, czy jakoś tak. W każdym razie

w momencie pojawienia się jakiegoś potomka na horyzoncie, dla Marty skończyłby się etap pomieszkiwania na Rydygiera. Definitywnie. To znaczy, że trzeba byłoby się w końcu ogarnąć, zakreślić koło siebie, coś przedsięwziąć, coś wynająć albo podczepić się pod kogoś innego w roli sublokatorki. Póki co Marta zdecydowanie nie chciałaby takiego rozwiązania.

Marek zadomowił się więc na dobre, ale ponieważ przed Martą wreszcie pojawiła się realna szansa, nie tylko mrzonki, porozmawiała z Anką (z Anką, która – co bardzo dziwne – ciągle w nią wierzy) i ustaliły, że Marta zostanie, póki nie wyklaruje się sytuacja. Mimo że przyszła pomieszkać kilka miesięcy, a została na trzy lata. Sytuacja wygląda coraz piękniej, ale tego i owego jeszcze nie jest się pewnym, a do upewnienia się potrzeba czasu. I ten czas Anka Marcie dała. Poza tym to jej mieszkanie, a Marek może sobie gadać i żądać, ale tylko gadać i żądać, bo do podjęcia działań nie ma żadnych praw. I tyle.

Jest dobrze. Do Marty małymi krokami zbliżała się wielka szansa. Nie zaprzepaści jej, to pewne. Nie da jej się wyślizgnąć z rąk. Anioły musiały maczać w tym palce, bo to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Te normalne anioły, nie te do wynajęcia. O ile te pierwsze istnieją. Bo te drugie istnieją na pewno, tylko nie wiadomo, ile jeszcze pociągną.

14.

Szesnastego marca Barbara zostawiła włączony laptop. Był piątek, a w piątki odzywał się na Skypie Krzysztof, który pomimo już ładnych paru lat mieszkania w Australii jakoś nie mógł przyswoić różnicy czasu między ostatnim kontynentem a Europą. Różnicy, bagatela, dwunastogodzinnej. Była więc pierwsza w nocy, a w Sydney trzynasta, czyli mniej więcej pora lunchu. Mniej więcej. Krzysztof nie stosował się do pory lunchu mniej więcej tak jak do stref czasowych. Dobrze, że jego praca polegała głównie na siedzeniu w domu i klepaniu w klawiaturę. Lunch mógł sobie Krzysio zrobić nawet o siedemnastej.

Barbara lubiła rozmawiać z Krzysztofem, który wraz ze zwiększeniem odległości geograficznej nabrał też zdrowego dystansu do życia, przynajmniej do życia toczącego się w Europie. Chociaż do własnego zapewne też. Bardzo chciałyby go kiedyś odwiedzić. Z Teodorem. Koniecznie z Teodorem.

Powiedziała Krzysiovi o Teodorze, o tym, co się między nimi zaczęło prawie miesiąc temu i co tak zabójczo szybko zmieniało się z wątlęgo pędu w wielkie drzewo.

– Jeszcze raz, jak się poznaliście? – upewniał się Krzysztof.

– No, normalnie. Wyskoczyłam z tortu.

– Aha. Ale byłaś ubrana?

– Na litość boską, Krzysiu, to był dom dla seniorów prowadzony przez zakonnice, nie burdel. Chociaż niezły burdel powstał po tym moim wyskoku, to fakt.

– I tak w jeden wieczór on się w tobie zakochał?

– A ja w nim.

– A ty w nim – powtórzył Krzysztof jak echo. – Wiesz, mamó? To jest piękne.

Barbara otarła łzę wzruszenia i musiała przyznać, że oprócz tego, że piękne, to kompletnie szalone i dla niej niezrozumiałe. Bo jak to możliwe, żeby siedemdziesięcioletnia kobieta, która już dawno ma za sobą całe życie i klimakterium, nagle zakochiwała się jak nastolatka? I klimakterium, owszem, nadal ma za sobą, ale życie, jak się okazuje, jeszcze przed! Jeszcze tyle ma do zrobienia, tyle do przeżycia. Nagle się okazało, że potrafi i chce kochać, spotykać się, rozmawiać, przeżywać, a przecież ona ma nadal te siedemdziesiąt lat, powinna więc chyba powoli pakować walizki.

– Chyba że do Australii – zaznaczył Krzysztof. – Zresztą na drugą stronę walizek nie potrzebujesz. A do Sydney przyjeźdź koniecznie z twoim nowym chłopakiem.

– Moim chłopakiem, jak to brzmi!

– No brzmi. Jak chłopak ma na imię?

– Teodor. Teodor Rywkin.

– No to zabierz Teosia Rywkina i przyjeżdżaj. Pozna moją żonę. Z pewnością spodoba mu się taka nietypowa rodzina.

Za to właśnie Barbara była Krzyśkowi wdzięczna. Właśnie za ten dystans. Obiecała, że jak tylko okrzepną, ogarną własne sprawy, no i oczywiście zorientują się co do wydatków, zaplanują podróż do Sydney.

– A Aldona wie? – zapytał z nienacka.

Barbara westchnęła głęboko.

- Oj, wie.
- I co ona na to?
- Co ona na to? No cóż...

Pandemonium w niewielkim państewku zwanym Wielkim Księstwem Luksemburga rozrosło się na taką skalę, że rozpętanie trzeciej wojny światowej byłoby przy tym jak zabawa w rzutki. Barbara odsunęła słuchawkę telefonu od ucha i z rezygnacją pozwoliła, by natłok emocji znalazł ujście z Aldony. A że ujście znalazł poprzez gardło, to efekt akustyczny można było znieść, owszem, ale z pewnego dystansu. Czekwała więc i myślała o czymś zupełnie innym.

- Halo! – usłyszała w końcu. – Halo, mamó, jesteś tam?!
- Jestem, dziecko, jestem.
- Pytałam cię o coś, mamó.
- A o co? Bo przepraszam cię, ale jakieś zakłócenia były w połączeniu i nie słyszałam.

Aldona zaliczyła chwilowy bezdech, po czym wypuściła powoli powietrze zgodnie z wzorcem najlepszych metod medytacji.

- Jak to możliwe, mamó?
- No cóż, jak to możliwe, że się zakochaliśmy? Takie rzeczy się zdarzają. Czy jest jakiś okres przydatności do spożycia, jeśli chodzi o miłość? Czy jest jakaś grupa, która z definicji jest wykluczona, jeśli chodzi o wiek?
- Ale tak nagle? Tak teraz?
- A co, czy zakochanie się wymaga wcześniejszych szkoleń, kursów czy przygotowań? Dlaczego nie może być nagle? Czy jeśli jest nagle, to będzie mniej prawdziwie?
- Ale ty masz siedemdziesiąt lat!
- No i co z tego? Czy w takim razie powinnam się położyć ze splecionymi rączkami i czekać na pannę z kosą? Choć kto wie, może to nie panna, a przystojniak z kosą. Mam siedemdziesiąt lat i co?

Już jestem przygotowana do odstrzału? Jeszcze tylko ileś tam śniadań, obiadów, ileś wizyt w toalecie i pif, paf?

– Ale co ludzie powiedzą...

– A to mnie, moje dziecko, najmniej obchodzi, co ludzie powiedzą. Ludzie nie interesują się tym, co ja mówię, dlatego to działa w obie strony. Ludzie zawsze mówią, a rzadko kiedy rzeczywiście mają coś do powiedzenia. Co nie przeszkadza im mleć ozorami na okrągło. Jakby to powiedziała dzisiejsza młodzież? Jak to mówi Robuś? Olewam.

– Robuś tak nie mówi!

– No dobrze, dobrze, przyjmijmy, że nie mówi. Dlaczego nie miałabym wycisnąć jak cytryny życia, które mi jeszcze pozostało? Przecież nie robię nikomu krzywdy, prawda? A to, że to nie jest spójne z czyjąś wizją, to z całym szacunkiem, drogie dziecko, nie jest mój problem.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza.

– Jasne, mamó, rozumiem twój punkt widzenia. Tylko nie do wiary, że tak po prostu wpadliście na siebie w drzwiach.

– No, niezupełnie w drzwiach...

– Nie w drzwiach, a jak? Spotkaliście się w autobusie?

– To też nie. Na imprezie urodzinowej.

– No to się jakoś minęliście, tak?

– No nie. Ja, ekhm, jakby to ująć, wyskoczyłam na niego z tortu.

– Wyskoczyłaś z tortu?! – ryknęła Aldona strasznym głosem.

W tle rozległ się rechot, jakby jakieś dusze potępione uznały, że któryś z czartów opowiedział kawał miesiąca. Dał się słyszeć rozentuzjasmowany głos Robusia, który domagał się od swojej matki, by ta pociągnęła Barbarę za język celem wydobycia bardziej pikantnych szczegółów. Zuzia, piętnastoletnia nadzieja luksemburskiej medycyny, perorowała w tle o niezwykłych właściwościach ludzkiego mózgu, skoro reakcje chemiczne i wyładowania elektryczne między synapsami, zwane potocznie przez laików miłością, zdarzają się nawet w wieku podeszłym, nad

którym to faktem naukowcy powinni się pochylić bardziej niż nad czymkolwiek innym.

– Ale jak to? – dopytywała się Aldona kompletnie zbita z pantałyku.

– Normalnie. Odskoczyła klapka tortu, a ja wyjrzałam i powiedziałam „sto lat”.

– Mamo, kochaj i rób, co chcesz, ale dlaczego wyskakujesz z tortu?

– A dlaczego by nie? – powiedziała wesoło Barbara.

W tle panowała atmosfera wyraźnie piknikowa. Brat bliźniak Zuzi głośno dyskutował ze swoją siostrą o możliwościach stwarzanych przez uczucie po siedemdziesiątce.

– Zuzka, ty to z chłopakiem tak zwyczajnie na densy pójdziesz i szalu nie ma, a oni? „Kochanie, kupiłam ci twój ulubiony klej do protez”. „Perełko, ty tak cudnie smarujesz Voltarenem”.

– Przestań, Robert, tobie tylko durne memy w głowie, a to jest zagadnienie domagające się konkretnej naukowej analizy. Zajmę się tym. Bez kitu, z tego można zrobić doktorat.

– Przypadki medyczne do pracy już masz.

Aldona przegoniła dzieci, kazać im się wynosić i sprawdzić, czy mają zrobione zadania domowe, bo ona ich z tego rozliczy, a rozliczać będzie bez litości, bez względu na rokowania odnośnie do przyszłej ewentualnej kariery naukowej.

– Mamo, lubisz Jacques’a?

– Czy lubię? – Barbara zdumiała się nieoczekiwanym pytaniem. – Bardzo lubię mojego zięcia! – To fajny chłop.

– To wysłuchaj go. – Aldona chwyciła się ostatniej deski ratunku, broniąc się zaciekle przed kompletnym fiaskiem. – Jacques! Jacques, choć tu i powiedz coś mamie. Teściowa to też matka, pamiętaj! Chodź i powiedz coś mądrego, na miłość boską, jesteś mężczyzną. Powiedz coś po męsku, tego tu potrzeba.

W tle nastąpił szum, jakby słaby protest i postulat niewciągnięcia jego, Jacques’a, do całej afery.

– Jacques, do diabła, wesprzyj mnie! – zażądała.

Luksemburski lekarz, czego Barbara widzieć nie mogła, ale wyobrazić sobie już tak, rozłożył bezradnie ręce i z rozbrajającym uśmiechem niewinnego chłopczyka powiedział:

– *J'aime ta maman, ma chéri, mais je ne comprends rien.*

W dalszej części rozmowy Barbara Borzęcka zupełnie nie musiała uczestniczyć, ponieważ państwo Leudelage zajęli się sobą, a konkretnie pani Leudelage zajęła się swoim mężem. Barbara udzieliła ulubionemu zięciowi – którego bohaterски opór uczynił jeszcze bardziej ulubionym – duchowego wsparcia i odłożyła słuchawkę. Jeszcze długo potem nie przestawała się śmiać.

Krzysztof, podobnie jak jego mama, okazał niezwykłą wesołość, kiedy relacja dobiegła końca.

– Przywieź swojego wybranka serca do Australii, mamo. Pasujecie tutaj jak nic. W Sydney kazaliby ci bisować.

Barbara uśmiechnęła się i podziękowała synowi za wsparcie. Wymienili jeszcze parę luźnych uwag o tym i owym, po czym zakończyli rozmowę, a Barbara zamknęła laptop. Pomyślała sobie, że właściwie dobrze, że ani Krzysiu, ani tym bardziej Aldonie nie zwierzyła się z tego, co zamierza dalej zrobić i co już było w fazie słów, a jeszcze nie przeszło do stadium czynów. Nie zwierzy się im, zastosuje natomiast znacznie lepszą metodę. Postawi ich przed faktem dokonanym.

FINAL

1.

Sypnęło śniegiem. Po ciepłym lutym i nader sympatycznie rokującym marcu, wrocławska wiosna pokazała, że nie z nią te numery, Bruner, i nie ma tak, że tylko ciepélko i ciepélko. Bez przesady. Pięćdziesiąty równoleżnik szerokości geograficznej północnej zobowiązuje. Pochowali puchowe kurtki w szafach? Zamknęli kozaki na cztery spusty w trudno dostępnych pudłach? Błąd. Zróbmy im niespodziankę i zaproponujmy minus dziesięć stopni. W dzień. Niech wiedzą, kto tu rządzi.

Końcówka marca rządziła więc niepodzielnie, udowadniając wszem wobec, że to do niej należy ostatnie słowo. Zima po raz kolejny zgodnie z tradycją zaskoczyła drogowców, a zaskoczenie było tym większe, że przyszła wiosną, tuż przed Wielkanocą. Wrocławianie grzęzli w korkach jeszcze większych niż zwykle i klęli na czym świat stoi. Niektórzy uwierzyli wczesnej wiosnie na słowo i zmienili opony na letnie. Ci klęli najgłośniej.

Tylko dzieci doceniły wiosenną niespodziankę i wymogły na rodzicach już to wyciągnięcie głęboko schowanych sanek, już to kupno nowych. Tłum ruszył do marketów po zakup odpowiedniego do aury sprzętu sportowego, a zdezorientowani handlowcy nie

wiedzieli, co reklamować najpierw – ergonomiczne sanki nowej generacji za jedyne dwanaście pięćdziesiąt czy sześciopak czekoladowych króliczków wielkanocnych (siódmy gratis). Dla dzieci mogły być nawet króliczki na sankach, grunt, że wreszcie zrobiło się białe, a mróz w dzień (nie tylko w nocy) dawał nadzieję, że białe stan utrzyma się nieco dłużej niż dwa dni. Śnieżny potencjał Wielkanocy po raz kolejny został nierozsądnie zlekceważony i po raz kolejny udowodnił, że pomija się go niesłusznie. Najśmieszniejsze było to, że w 2018 roku Wielkanoc przypadła w prima aprilis. Rzeczywiście, zimo, ubaw był po pachy. Można było turlać się ze śmiechu, zwłaszcza po oblodzonych ulicach.

Elenie do śmiechu nie było. Po głębszym oddechu, który „Anioły do wynajęcia” zaczerpnęły wraz ze zleceniem zorganizowania niecodziennej geriatrycznej balangi, konto ponownie świeciło pustkami. Stan życia z dnia na dzień, od zlecenia do zlecenia stał się nie tyle okresem przejściowym, co codziennością. Owszem, „Anioły” jeszcze działały, nadal zachowywały optymizm i wiarę w dobry obrót spraw, ale trudno powiedzieć, by rozwinęły skrzydła. Potrzeba im było czegoś spektakularnego, finansowego zastrzyku, sławy, słowem czegoś, co sprawi, że będzie o nich głośno, dzięki czemu rozpoczną nowy rozdział swojej działalności.

Myślenie nad przyszłością firmy zostało na czas Wielkanocy odwieszane na kołku, bo wtedy na stół u rodziców Romeczka wjechały boskie mazurki, jeszcze pyszniejsze serniki i obezwładniająco dobre drożdżowe baby, które wraz z sałatkami, jajkami i wędlinami sprawiały, że człowiek nie myślał o niczym innym poza jedzeniem. Elena pozwoliła sobie bezwstydnie najeść się do syta i dziękowała w duchu Opatrzności za dar w postaci szybkiej przemiany materii, dzięki czemu mogła świętować, nie martwiąc się konsekwencjami. Wielkanoc jednak odeszła w przeszłość, a codzienność przypominała o sobie ze zdwojoną mocą. To bolało.

Romeczek nie podzielał trosk swojej ukochanej. Romeczek w ogóle nie podzielał żadnych trosk, bo zwyczajnie nie zauważał problemów. Ostatnimi czasy zasłona dymna w postaci pozorowania prac nad stroną internetową „Aniołów” i ich fanpagem stała się

szczególnie gęsta, a to, nad czym pracował rzeczywiście, pochłaniało go bez reszty. Elena naprawdę musiała się nieźle gimnastykować, by udawać, że niczego nie zauważa i o niczym nie wie. Ku jej rosnącemu zdziwieniu książka powstawała nadal, co sprawiało, że miała szansę stać się pierwszą powieścią Romeczka, która w ogóle zostanie dociągnięta do końca. Tak czy inaczej wyglądało na to, że wena twórcza szczerze pobłogosławiła swego wiernego sługę, w trójnasób wynagradzając mu długie lata posuchy. Słowacki tworzył więc, aż mu się uszy trzęsły, a świat rzeczywisty przestał dla niego istnieć. Eleny nadal nie opuszczało przekonanie, że pisarstwo Romeczka spełnia wszelkie standardy snów o potędze, które rozwieją się bezpowrotnie w konfrontacji z wydawniczą rzeczywistością, ale przynajmniej rozwieją się jako pełna książka, a nie niedoróbka.

Co i tak w niczym nie pocieszało.

Siedząc tak sobie przed komputerem i zastanawiając się, co dalej robić, przeglądała wiadomości z rozmaitych serwisów internetowych. Gdzieś nad Wisłą znaleziono wylinkę sześciometrowego pytona, a trzy osoby na własne oczy widziały gada majestatycznie sunącego wzdłuż brzegu rzeki. Osoby te, jak zaznaczono, były trzeźwe. Policja złapała przemytnika, który wwiózł do Polski tir wypełniony marihuaną. Miał rozmach, trzeba przyznać. Ktoś samotnie opłynął świat kajakiem, ktoś przejechał rowerem na Kamczatkę i z powrotem, a po drodze nie zezarły go żadne niedźwiedzie ani – co dziwne – komary. Wrocław przygotowuje się do juwenaliów, do których zostało półtora miesiąca, a nadal nie wiadomo, kto poprowadzi inauguracyjny koncert. Dziennikarze ubolewają nad brakiem profesjonalizmu organizatorów, bo w końcu jak to możliwe, że prace nad imprezą trwają od października, a na początku kwietnia nadal nie ma oficjalnej informacji. Z niejasnych względów z poprowadzenia imprezy w pierwszym dniu zrezygnował znany, lokalny kabaret oraz jedna agencja artystyczna. Prasa podejrzewa ostry konflikt z władzami miasta, pracowicie zamiatany pod dywan i ukrywany przed opinią publiczną w obawie przed skandalem. Zaraz, zaraz. Nadal nie było wiadomo... To jest to!

Elena całą uwagę skupiła na juwenaliach. Tak, tego właśnie im

trzeba. Komuś tutaj właśnie wałą się plany. Miało być tak pięknie, a wygląda na to, że będzie jak zawsze, dlaczego by więc „Anioły do wynajęcia” nie miałyby sfrunąć i uratować sytuacji? Trzeba działać. Jest szansa!

Trochę czasu zajęło jej wyszukanie namiarów do komitetu organizacyjnego tworzonego przez przedstawicieli wszystkich sześciu uczelni wyższych, które w tym roku zjednoczyły siły i juwenaliami zajmowały się wspólnie. Sięgnęła do wyżyn swojego intelektu i napisała maila, który nafaszerowała profesjonalizmem niczym okazały krokiet obfitym nadzieniem. Postarała się, by wykreowany w nim wizerunek „Aniołów do wynajęcia” rzucał na kolana i zmuszał – nomen omen – do modłów, wyciskał łzy wzruszenia i sugerował wydrukowanie maila oraz umieszczenie w złotej ramce na ścianie na honorowym miejscu. Najlepiej w pokoju jakiegoś rektora. Zadowolona z siebie kliknęła „wyślij” i uzbroiła się w cierpliwość, obiecując sobie, że koniec cierpliwości będzie przypadał mniej więcej za trzy godziny, a wtedy ona weźmie telefon i zwyczajnie zadzwoni.

Odpowiedź nadeszła, jeszcze zanim ostatnie ziarenka przesypały się w klepsydrze oczekiwania, ale eufemistycznie rzecz ujmując, entuzjazmu nie wywołała. Elena z drżeniem rąk i przyspieszonym biciem serca przeczytała, że organizatorzy serdecznie dziękują za przysłanie oferty, ale, nie owijając w bawełnę, w przypadku ofert mają klęskę urodzaju, bo owszem, dwie znamienite kandydatury odpadły, ale na ich miejsce zgłosiło się trzydzieści innych. Kolejna więc, co prawda z intrygującą nazwą, ale jednak brakiem doświadczenia w prowadzeniu konferansjerki na tak masowych imprezach nie jest im potrzebna. Dziękują więc, ale nie, poradzą sobie. Zachowają sobie, rzecz jasna, namiary na „Anioły”. Wszystko wskazuje na to, że juwenalia w 2019 roku też się odbędą, dlatego organizatorzy nie wykluczają wzięcia pod uwagę szanownej grupy za rok. Będą się kontaktować i tak dalej, bla, bla, bla, bla.

Elena pozwoliła sobie na kilka minut rozpacz, po czym wzięła się w garść. Nie można się poddawać, nie teraz. Odpowiedź organizatorów podcięła jej skrzydła, ale jednocześnie miała wrażenie, że nie zrobiła wszystkiego, co mogła zrobić. Musiał istnieć jeszcze jakiś sposób, jakieś wejście od kuchni lub w ostateczności

oknem, jeśli drzwiami frontowymi się nie da. Uczelnie organizują juwenalia w porozumieniu z kim? Z władzami miasta oczywiście.

Elena zerwała się na równe nogi tak gwałtownie, że przewróciła krzesło, na którym siedziała. Z sąsiedniego pokoju ze zdziwieniem wyrzwał Romeczek, który uznawszy, że rzut krzesłem należy to szeroko pojętej normy zachowań, wrócił do swoich zajęć. Przez ostatnie dwie godziny próbował połączyć przemożną potrzebę potajemnego pisania książki z koniecznością stworzenia tekstu zachęcającego do zakupu nowoczesnego depilatora laserowego i właśnie niedawno udało mu się pogodzić interesy obu stron. Nie chcąc zakłócać kruchej równowagi, wycofał się bardzo cichutko, bez wzbudzania uwagi swojej ukochanej.

Ukochana nie zareagowałaby, nawet gdyby Słowacki trzasnął drzwiami, rycząc przy okazji fałszywym barytonem „To nie ja byłem Ewą”, do tego stopnia pochłonał ją jej nowy pomysł. Będzie musiała poprosić o pomoc, ale to nie będzie trudne. To znaczy dla niej nie będzie, bo z innymi to może być różnie.

2.

Sky Tower, ironicznie określany przez swojego fundatora „pomnikiem własnego ego”, bywał świadkiem najróżniejszych spotkań biznesowych. Tych bardzo formalnych i tych zupełnie nieformalnych, takich, na których podpisywano oficjalne umowy w prześwielającym wszystko blasku jarzeniówek, i tych, gdzie pokątnie dobijano targów. Biurowca Sky Tower nie zdziwi już nic, a już na pewno nie kobieta w zaawansowanej ciąży i z płomiennie rudymi włosami splecionymi w zgrabny kok oraz niezwykle przystojny i pięknie zbudowany mężczyzna wpatrujący się w nią teraz wzrokiem, którego nie można rozszyfrować. Tworzyli razem piękną parę. Właściwie tworzyliby, gdyby nie to, że coś między nimi ewidentnie nie grało.

– Co tam u Jowitki? – spytała rudowłosa i pociągnęła łyk łagodnej latte stojącej przed nią w dużym kubku.

– Dorota, uwierzę we wszystko, ale nie w to, że wyciągnęłaś mnie na kawę, żeby mówić o Jowitce.

– No fakt, ten wstęp mi nie wyszedł. Ale wierzysz mi lub nie, wyobraź sobie, że chciałabym ją poznać. Och, nie patrz tak na mnie. Nie po to, żeby ją zamordować. Po prostu poznać. Jestem ciekawa.

To chyba normalne, nie sądzisz? – Dorota uznała, że dla dobra sprawy takie drobne kłamstwo nie zaszkodzi, a lekkie ocieplenie może nawet pomóc.

– Ostatnio trudno mi zdefiniować normalność w odniesieniu do ciebie – odparł chłodno, jakby ocieplenie nie miało na niego żadnego wpływu. – No dobrze, to o czym porozmawiamy?

Dorota Kotecka milczała przez chwilę, bawiąc się zbieraniem puszystej pianki z kawy za pomocą długiej łyżeczki. Wiele ją kosztowało umówienie tego spotkania, wiele kosztowało ją to, by się przemóc. Wszystko w niej zapierało się rękami i nogami przed kontaktem z człowiekiem, z którym jeszcze niedawno dzieliła łóżko, a teraz dzieliło ją od niego wszystko, z łóżkiem włącznie. Robiła to tylko dla Eleny, którą przez te kilka miesięcy niezmiernie polubiła. Wróć, robiła to w ogóle dla nich, dla grupy, dla jej przyjaciół, bo uważała, że należało im się takie wsparcie i zasługiwali na to, by dać im szansę. I po tę szansę tu przyszła. W imię tego gotowa była przygiąć kark swojej dumie, włożyć knebel w usta, by nie palnąć czegoś, co bezpowrotnie tę szansę przekreśli.

– Za półtora miesiąca odbędą się juwenalia – zaczęła wreszcie.

– No tak. Czternastego maja ruszy barwny pochód świrusów, którzy przebiorą się za spidermanów, Deadpoolów, drzewa, mistrzów Jedi, lordów Vaderów i inne głupoty. I co z tego?

– Pewien kabaret zrezygnował z prowadzenia koncertu inauguracyjnego. Wiesz pewnie, o kim mówię.

– No wiem.

– I jeszcze jedna agencja artystyczna też się wycofała, a wydawała się taka pewna. Teraz został miesiąc z kawałkiem, a organizatorzy nadal szukają kogoś, kto przejmie pałeczkę. I podobno ofert jest dużo, ale wymagań jeszcze więcej, za to czasu coraz mniej.

– I? – Bartłomiej Goryczka uniósł brew i łyknął espresso.

– I to jest właśnie to, o czym chciałam porozmawiać.

Przez chwilę patrzył na nią, ale w końcu najwidoczniej połączył wątki i pokiwał głową.

– Ty i ta twoja ekipa artystyczna.

– Właśnie – Dorota uznała, że widzi światełko w tunelu i podkreśliła tempo. – Naprawdę potrafimy dać czadu i możemy zapewnić świetne show, konferansjerka, że mucha nie siada, a w dodatku wszystko utrzymane w szalonym klimacie juwenaliów.

– To się zgłoszcie.

– Zrobiliśmy to. Tylko że, jakby to powiedzieć, nie mieliśmy do tej pory doświadczenia z tak dużymi imprezami. Na kilkadziesiąt, nawet kilkaset osób tak – wspomniała niezapomniane Halloween w szkole. Dzieci i nauczyciele do tej pory kłaniają się Barbarze w pas, mówiła o tym. – Na kilka tysięcy nie. Nie za bardzo możemy się przebić.

– Tylko dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

Niemożliwe, że tego nie połączył. Musi być bardziej domyślny, niż się wydaje.

– Bartek, pracujesz w urzędzie miasta na wysokim stanowisku. Przecież miasto współorganizuje juwenalia. Poleć nas.

Goryczka otworzył oczy ze zdziwienia, odchylił się na kawiarnianym krześle i roześmiał się na tyle głośno, że ludzie przy sąsiednich stolikach spojrzeli ze zdziwieniem na nietypową parę i niby przypadkiem nachylili się w ich stronę, w żadnym wypadku nie po to, żeby co nieco usłyszeć.

– Co cię tak bawi?

– Jak to co? Cała ta sytuacja to czysta komedia. Ty wiesz, o co mnie prosisz?

– Właśnie przed chwilą to powiedziałam. Proszę cię, żebyś nas polecił. Masz dojścia przecież. Pogadaj z organizatorami. Zrób to dla mnie, po starej znajomości. – Dorota spojrzała na niego najcieplej, jak potrafiła, a w myślach dodała, że jeśli Goryczka się zgodzi, ona nie wytoczy mu procesu o alimenty. Nawet taka łaskawa będzie, a co.

Goryczka jednak nie wyglądał na podążającego w kierunku pojednania, a nawet kompromisu. Zrobił minę właściwą ludziom, którzy wiedzą, że są górą, i napawają się władzą, których podnieca myśl, że mogą zdecydować o czyjejs przyszłości.

– Moja droga. W tej właśnie chwili próbujesz skorumpować urzędnika miejskiego.

– No bez przesady – oburzyła się. – Korupcja byłaby wtedy, gdybym oferowała ci coś w zamian. A ja cię po prostu proszę.

– Nie.

– Co nie?

– Nie polecę was.

– Dlaczego?

– Najprostsza odpowiedź: bo nie. To, o co mnie prosisz, jest w ogóle śmieszne. Jak to będzie wyglądało? Urzędnik miejski na eksponowanym stanowisku uległ dawnej kochance i załatwił jej dobrze płatną fuchę. Ludzie pomyślą, że albo ona ma na niego jakiś hak i w związku z tym warto się przyjrzeć temu bliżej, albo on coś z tego ma i tym bardziej warto się temu przyjrzeć bliżej. Nie ma takiej opcji. Nie mogę się stawiać w takim świetle.

– Na miłość boską, nie proszę cię o ustawienie przetargu, tylko podpowiedzenie, żeby zwrócili na nas uwagę.

Goryczka drgnął gwałtownie po jej słowach, jakby uderzyła go w twarz. Jego ciemne oczy pociemniały jeszcze bardziej i wyraźnie można było w nich odczytać czającą się groźbę.

– Nie ma mowy. Nie mam na to ani ochoty, ani czasu. Zresztą teraz z Jowitką jedziemy do Dubaju i mam inne rzeczy na głowie.

– Do Dubaju? Niedawno byliście na Karaibach – zdumiała się Dorota, zupełnie odrywając się od głównego tematu rozmowy.

– Niedawno byliśmy w Dolomitach, na Karaibach wcześniej. Mniejsza z tym, nie twoja sprawa. Jedziemy do Dubaju i mam się teraz czym zajmować. Jowitka chce wypocząć, bo wbrew obiegowej opinii o urzędnikach miejskich łatwej pracy nie ma. Chcemy złapać pozytywną energię i mamy do tego prawo. Nie mam obowiązku niańczyć i popychać do przodu bandy nieudaczników życiowych, którzy sami nie potrafią niczego załatwić i się przebić.

– Licz się ze słowami – syknęła Dorota.

– To ty licz się ze słowami. Ja mówię, jak jest. Stwierdzam fakty.

Albo jesteś pomnikiem, albo gołębiem. Wy nie jesteście gołębiami.
To na was srają.

Podniósł się z krzesła i sięgnął po swój markowy płaszcz z wielbłądziej wełny, który spoczywał na oparciu sąsiedniego siedzenia. Taki drogi płaszcz nawet zwisać potrafił z gracją i klasą. Dopił kawę i odstawił filiżankę na stolik.

– Temat do rozmowy nam się wyczerpał. Baw się dobrze. Ty zamawiałaś, ty płacisz. Mam nadzieję, że nie będziemy mieli okazji do podobnych spotkań.

– Podobnych nie – wycedziła przez zęby pąsowa ze wzburzenia. – Trochę innych tak. Spotkamy się w sądzie.

Goryczka prychnął lekceważąco, narzucił płaszcz i bez słowa opuścił kawiarnię.

Dorota oparła łokcie na blacie i ukryła twarz w dłoniach. A jednak nie wytrzymała. Język zerwał się ze smyczy i wyrzucił z ust słowa, które paść nie powinny. Słowa odbierające „Aniołom do wynajęcia” ostatnią nadzieję. Elena nie będzie zadowolona.

3.

Elena nie była zadowolona. Nie winiła jednak Doroty, która na przemian pochlipując i wściekając się, składała relację całemu zespołowi zgromadzonemu w mieszkaniu przy Młodych Techników. Wyrzucała sama sobie, że kobietę w zaawansowanej ciąży posłała na spotkanie z kimś, kto wydawał się skrzyżowaniem parzącej meduzy z windykatozem terenowym. Obecna w pokoju Barbara pogłaskała Dorotę po plecach, po czym podsunęła jej pod nos szarlotkę, aromatem zniewalającą nie gorzej niż tytułowe pachnidło z powieści Patricka Süskinda. Dorota otarła ostatnie łzy, w mgnieniu oka pochłonęła ciasto, po czym machinalnie wyciągnęła talerzyk po następną porcję. Porcja z miejsca została jej nałożona.

– Pozostaje nam tylko jedno – westchnęła Elena. – Trzeba się wybrać do organizatorów i powalić ich naszym urokiem osobistym.

– Elenko, kochanie, jesteś urocza do niemożliwości, ale obawiam się, że to nie wystarczy – zauważył trzeźwo Romeczek.

– Wystarczy czy nie wystarczy, warto spróbować. Kto nie ryzykuje, ten nie ma. Myślę, że wiem, jak z nimi porozmawiać.

Wszyscy spojrzeli na Elenę zdumieni, ale ona wpatrywała się

w rozciągający się za oknem krajobraz wielkiej płyty, uliczek osiedlowych i nagich drzew, na których nagły mróz bezlitośnie ścisnął zdeorientowane pączki.

– Coś ci przyszło do głowy? – upewniła się Dorota.

– Coś przyszło. I to może się udać.

– Pewnie coś szalonego – zauważyła Marta, wśród ochów i achów pochłaniająca ciasto.

– Oczywiście, że szalonego! – roześmiała się Elena i odwróciła od okna. – Cóż ja innego mogłabym wymyślić? Jeśli trzeba pojechać po bandzie, to pojedziemy po bandzie. Potrzebuję jednak wsparcia.

Wszyscy pokiwali energicznie głowami na znak, że wsparcie z ich strony ma jak w banku.

– Basiu, czy poszłabyś ze mną?

– Oczywiście! – Barbara wyskoczyła w górę i prawie stanęła na baczność. – A co im powiemy?

– Coś im powiemy i pokażemy. Mam plan. Zaraz do nich napiszę i wymogę na nich spotkanie. Będą musieli nas wysłuchać, zobaczycie.

Nie zwlekając z przejściem od słów do czynów, w dwóch susach znalazła się przy laptopie i całą swoją uwagę skupiła na piętnastu calach monitora.

4.

Tego, że im się udało, Dorota nie mogła traktować inaczej jak w kategorii cudu. Romeczek skakał jak mały chłopiec, który otrzymał wymarzony zestaw Lego (dzieci zawsze marzą o zestawach za minimum trzysta złotych), nawet Marta, jak zawsze nieco zdystansowana do reszty (i stopniowo coraz bardziej się dystansująca) z niedowierzaniem i podziwem kręciła głową. Minęły trzy dni od momentu, kiedy Elena z ogniem w oczach rzuciła się do komputera, i właśnie otrzymali informację, że tak, zarówno miasto, jak i komitet organizacyjny sześciu uczelni zgodzili się na to, by „Anioły do wynajęcia” poprowadziły inauguracyjny koncert Juwenaliów 2018, który odbędzie się na Polach Marsowych. Rzecz naprawdę niezwykła. Pokonali resztę konkurentów czymś, co Elena nazywała siłą uroku osobistego, a na myśl o czym Barbara uśmiechała się tajemniczo i mówiła, że po prostu nie mogli się oprzeć.

Co więcej, czternastego maja, przed koncertem rozpoczynającym trzydniową balangę studencką we Wrocławiu, miał odbyć się idący przez centrum miasta korowód żaków w rozmaitych przebraniach, im dziwniejszych, tym lepszych. Logiczne więc było, że prowadzący

koncert nie mogą wyglądać normalnie, co znakomicie wpisywało się w dotychczasową stylistykę „Aniołów do wynajęcia”.

– Myślę, że możemy połączyć nasze dotychczasowe doświadczenia – zaproponowała Barbara. – Marta świetnie spisała się jako dynia, pamiętasz, Martusiu?

Martusia pamiętała. Co prawda o wiele bardziej utkwił jej w pamięci kalafior na dopalaczach, który do tej pory odbijał jej się czkawką, kiedy tylko wspominała ostatni nieudany egzamin na PWST, ale dynia też była do przyjęcia. Zresztą dobrze, że się przebiorą, bo w jakiś pokrętny sposób łączyło się to z jej planami. Planów tych, póki co, nie znał nikt poza Anką i Markiem (oni je poznać poniekąd musieli), ale inni dowiedzą się o nich niebawem. Wszystko w swoim czasie. Skądinąd też będą musieli, bo wszystko zmierzało w dobrym kierunku.

Barbara postanowiła wystąpić w stroju motylka, który taką furorę zrobił na przyjęciu urodzinowym u Dzióbeczka. Wyszła z założenia, że rozradowani studenci, którzy już zapewne wleli w siebie niejedno piwo dla kurażu i podrasowania doznań, przebrani na najróżniejsze sposoby, nie mogli się bardzo różnić od sześciolatnich dziewczynek. W sytuacjach takich jak korowód przebierańców wszyscy są jak dzieci. Bajecznie kolorowe skrzydła spoczywały dobrze zabezpieczone na szafie w jej mieszkaniu i ostatnio miał okazję podziwiać je Teodor. Teodor zresztą, gdyby tylko chciał, mógłby je podziwiać codziennie, zarówno wcześniej rano, jak i późno wieczorem. Miał taką możliwość. Miał ją od niedawna, co napawało Barbarę jednocześnie drżeniem i radością. Miał też możliwość przygotowywać dla niej śniadania, jeśli tylko chciał, a chciał, a ona dla niego kolacje, z czego on również się cieszył. Oczywiście dzieci nie miały o tym pojęcia i Barbara myślała sobie, że odległość ma czasami swoje dobre strony. Powie im, rzecz jasna, ale wszystko w swoim czasie.

Wszyscy zgodzili się co do tego, że Romeczek musi przeistoczyć się w księżniczkę. Suknia w odcieniu słodkiego rózu była absolutnie obowiązkowa, tak samo blond peruka oraz długie sztuczne rzęsy. Sam Słowacki nie czuł się ani szczególnie wyróżniony, ani zachwycony tą wizją, ale podporządkował się żeńskiej większości. Zachichotał wdzięcznie i zatrzepotał rzęsami w sposób, który

według niego był wybitnie kobiecy, po czym zaśpiewał kawałek *Paradise City* Guns N' Roses, starając się maksymalnie dostosować do wysokich tonów Axla Rose'a. Wypadło to mało księżniczkowo, ale zrobiło wrażenie, dlatego rozległy się brawa, zwłaszcza że Romeczek dysponował zaskakująco dobrym głosem.

Pomyślał sobie, że naprawdę dobrze się składa, że jakimś cudownym zrzędzeniem losu wypali ta heca z juwenaliami, bo będzie to świetne zwieńczenie jego powieści. Prawie gotowej powieści, to ważne. Brakowało mu takiego mocnego akcentu na koniec, takiej kropki nad i, dawki szaleństwa i od pewnego czasu szukał odpowiedniego rozwiązania, którego ku swojej irytacji nie mógł znaleźć. Jakie to szczęście, że Elena zaryzykowała z tą studencką imprezą! Dokładnie o to mu chodziło.

Bo było coś, o czym Elena nie wiedziała. To znaczy przede wszystkim nie wiedziała o książce, ale to coś dodatkowego ściśle wiązało się z powstającą powieścią i sprawiało, że Romeczek dostrzegał rzeczywistość w zupełnie innych barwach niż do tej pory. Jego ukochana dowie się o tym i – ho, ho – jaka będzie zdumiona i zaskoczona, kiedy on powie jej, czego potajemnie dokonał i z jakim skutkiem. A potem chyba upiją się ze szczęścia, tylko wcześniej wskoczą do łóżka, by przeżyć najlepszy seks w ich życiu. Upiją się potem, kiedy już wygrzebią się z pościeli. Elena więc dowie się obowiązkowo, ale wszystko w swoim czasie.

W przypadku Doroty bałwanek z waty cukrowej nie wchodził w grę. Ósmy miesiąc ciąży to już nie przelewki i o ładnej figurze albo chociaż takiej do przyjęcia mogła mówić już tylko w czasie przeszłym. Przytyła kilkanaście kilo, a kiedy stała, najpierw dostrzegało się jej duży brzuch, potem długo, długo nic i dopiero resztę Doroty. Metodą burzy mózgów i wspólnej narady doszli do wniosku, że obfitujący w płatki kwiat z wysokim stanem byłby idealnym pomysłem. Dużo płatków by było, bardzo dużo. To zapewniłoby jej swobodę i jednocześnie ukryło brzuch. Nie ukryłoby charakterystycznego, kaczkowatego chodu kobiet w końcówce ciąży, ale należało przypuszczać, że w tym stanie umysłu i upojenia nie tylko radością, nikt nie zwróci na to uwagi. Zwieńczeniem stroju miał być kapelusz rozmiarów Saturna, na którego widok nawet Maryla Rodowicz jęknęłaby z zazdrością, koniecznie uzupełniony

mnóstwem kwiatów.

Dorota zgodziła się na to rozwiązanie i przyznała, że lepszą opcję trudno byłoby znaleźć. Prawdę mówiąc, zgodziłaby się na wszystko, bo teraz jej uwagę zaprzętało kompletowanie wyprawki dla dziecka, poszukiwanie odpowiedniego łóżeczka, najlepszych możliwych smoczków, butelek i tego typu spraw. Szukała ich zresztą razem z Jarosławem, który zaangażował się mocno i po przełamaniu lodów, kiedy już wylądowali razem w łóżku, towarzyszył Dorocie wszędzie, gdzie tylko się dało. Zupełnie jakby to było jego dziecko. Zdarzało się jej coraz częściej wybiegać myślami w przód i rozmyślać o możliwych scenariuszach wydarzeń. Scenariuszy było wiele, ale wszystkie w pewnym momencie sprowadzały się do tego, że ona i Jarek tworzą jedną rodzinę, on znakomicie sprawdza się w roli ojca, a ona jest idealną matką. Potrząsała w takich chwilach głową, jakby chciała zapiąć na smycz niesforne myśli, by nie wybiegały na tereny zupełnie im nieznane bez żadnej kontroli. Nie wiadomo, co będzie, jak będzie i kiedy będzie. I czy w ogóle. Sprawy, w co wierzyła, jakoś się ułożą. Wszystko w swoim czasie.

Jedyną osobą, która miała wyglądać zupełnie normalnie, acz uroczyście, była Elena. Wśród całej zgrai przebierańców i odmieńców miała wyróżniać się długą, wieczorową suknią, taką – jak to się wyraził Romeczek – jaką mają panie w telewizji przy okazji Opola i tego typu bajerów. Ponieważ jednak drobna, niebieskooka blondynka nie mogła dać się zagłuszyć przez resztę imprezowiczów, zdecydowano, że suknia będzie w odcieniu strażackiej czerwieni.

– Niezwykle seksowna – zauważył trzeźwo Romeczek.

Elena przyklasnęła z entuzjazmem, bo ogniście czerwona suknia pełniła rolę tekstylnej kropki nad i w tym całym szaleństwie, w jakim mieli wziąć udział.

Wielka szansa przed nimi stała. Ogromna. Jeśli się spiszą i swoją rolę odegrają koncertowo, czekała ich sława i chwała, lawina zleceń, świetlana przyszłość i dziewiąty krąg w niebiosach. Nie mówiąc o przyszłych pieniądzach. Jeśli zawalą, dalszy los „Aniołów do wynajęcia” będzie właściwie rozstrzygnięty. Pewność, że im się uda, była w Elenie ugruntowana na mur-beton, pod znakiem zapytania

stała jedynie inwazja przyszłych zleceń. To, kiedy spłyną i czy okażą się do udźwignięcia, bo może trzeba będzie jeszcze kogoś zatrudnić. Nad tym jednak pomyśli kiedy indziej. Wszystko w swoim czasie.

5.

Czternastego maja przyroda okazała daleko idącą łaskawość. W ogóle łaskawość ta zaczęła się dla Wrocławia zaraz po Wielkanocy i trwała nieprzerwanie przez cały kwiecień, czyniąc ten miesiąc trzecim w rankingu kwietniów o najwyższych zmierzonych temperaturach. Przyroda szalała. Niemile zaskoczone mroźną końcówką marca drzewa wystrzeliły zielenią, jakby chciały nadrobić stracony czas i przy okazji wystartować w wyścigu na najbujniejszą zieleń na tej planecie. U ptaków trwał niekończący się okres godowy, gołębie gruchaniem konkurowały z hałasem na ulicach, a powietrze przesycone było seksem. Wszystko, co żyło, przygotowywało się do rozmnażania, niezależnie od tego, jak proces przekazywanie genów miałby się odbywać. Z pomocą łóżka i pościeli czy bez.

Już w kwietniu wrocławianie nosili krótkie rękawy, a maj wziął sobie za cel kontynuowanie szlachetnej, kwietniowej tradycji i zafundował temperatury nieschodzące poniżej dwudziestu pięciu stopni. Słowem, tak pięknej wiosny nie pamiętali najstarsi wrocławianie. Ci, których ściągnięto na te ziemie zaraz po wojnie. Bo tych wcześniejszych nie było jak zapytać.

Na samym początku maja z rozmachem zakwitły kasztany, jakby starały się dodać otuchy zestresowanym maturzystom. Niewiele później kwieciami obsypały się lipy, których intensywny aromat unosił się wieczorami po miejskich parkach. To, że zakwitły prawie dwa miesiące wcześniej, nie ucieszyło alergików oraz tych, dla których bez względu na okoliczności zawsze jest źle („Co za anomalie w tym roku! Świat zwariował! Wszystko zmierza ku zagładzie, zobaczycie!”). Wszyscy inni jednak eksplodowali optymizmem, co trzeba naprawdę docenić, zwłaszcza że Polacy to absolutni mistrzowie świata w narzekaniu na wszystko.

Dziękowały waliły więc w pnie drzew jakby wypuszczały serie z karabinu maszynowego, korniki mnożyły się, dostarczając im jadła, koty zamieszkujące dachy i piwnice darły się jak opętane, a ostatni niedowiarkowie zmieniali opony zimowe na letnie. Bo było lato, prawdziwe lato najpiękniejszej jak dotąd wiosny dwudziestego pierwszego wieku.

Nic więc dziwnego, że czternastego maja powitała wszystkich piękna pogoda. Innej przyroda nie miała na stanie. Słońce świeciło cudnie, na niebie niezobowiązująco pałętały się tu i ówdzie jakieś niewielkie chmurki, kiedy prezydent Wrocławia oddał w ręce studentów klucz do miasta. Klucz trafił w ręce cud-dziewczyny grającej rolę królowej, przekazany jej z rąk króla, który powalająco przystojny nie był, ale przecież nie musiał. Wystarczyło, że jego rudo-czerwone włosy wyraźnie kontrastowały z odcieniem bujnej brody, którą zapewne pracownicy na ten dzień zapuszczał i pielęgnował.

Klucz został więc przekazany, a państwo królestwo wsiedli do brązowego kabrioleta z lat trzydziestych w towarzystwie najbliższej świty, by dumnie przejechać głównymi ulicami miasta w kierunku Pól Marsowych, gdzie miało się rozpocząć wielkie, trwające kilka dni koncertowanie.

Nie pozostało nic innego, jak zacząć świętować. Już dwa dni wcześniej studenci zrobili sobie próbę generalną totalnego szaleństwa w postaci Festiwalu Kolorów, podczas którego można było wysypać na siebie tonę barwnych proszków, by od stóp do głów tak bardzo wyglądać jak uosobienie tęczy i magii przyjaźni, że zachwyciłoby to wszystkie jednorożce w naszej galaktyce. Teraz

zebrali się tłumnie na placu Wolności przed Narodowym Forum Muzyki, by stamtąd ruszyć barwnym pochodem przez ulice Wrocławia w kierunku Politechniki Wrocławskiej, gdzie przewidziano metę.

Zapewne nigdy wcześniej Wrocław nie widział tylu rycerzy Jedi, tylu mistrzów Yoda i tylu lordów Vaderów, zwłaszcza idących ramie w ramie z kolejnymi wcieleniami myszki Mickey. Grupa młodych desperados uzbrojonych po zęby w futerały gitar (zapewne mieli kumpli na Akademii Muzycznej), w wielkich kapeluszach sombrero, kryjących ich tożsamość przynajmniej przez jakiś czas, paradowała z dwiema siostrami zakonnymi, które z kolei ciągnęły za sobą kolegę w falbankowym bikini koloru tęczy. Kolega nieco się opierał i jakby wstydził, onieśmielony odwagą własnego stroju (co sugerowało, że nie z własnej woli go wybrał, a po prostu przegrał zakład), ale trzy piwa później śpiewał razem z desperados i wywijał z zakonnkami przy akordach Lipali. Szczególnym uznaniem wśród studentów cieszył się Slash, przynajmniej do momentu, kiedy wyciągnął gitarę i próbował coś zagrać. Później lubili go nieco mniej, ale i tak kompanem okazał się przednim. Poza tym miał kapitalny kapelusz. Nie wiadomo co w tym tłumie robili Harry Potter z Hermioną, ale szybko się wydało, że to dwoje maturzystów przepelnionych nadzieją dołączenia od października do wybrańców na medycynie. Czarownice z Salem wcale nie wydawały się okrutne, wprost przeciwnie, wobec czego zaczęli się koło nich kręcić pewni siebie szturmowcy. Można więc z czystym sumieniem powiedzieć, że przebranie wiedźmom nie wyszło. Jakiś zombie kłął na czym świat stoi i przyklejał sobie ucho, które nijak nie chciało się trzymać. Anioł z jednym skrzydłem poklepał go po plecach, jakby chciał powiedzieć: „Daj spokój, stary, myślisz, że ty masz problem...”

Śpiewający, piszczący, grający i tupiący tłum sunął zwartą masą z placu Wolności przez ulicę Kazimierza Wielkiego na plac Dominikański niczym kolorowy, gigantyczny wąż boa przemieszczający się przez miejską dżunglę. Nad głowami studentów powiewały najróżniejsze flagi i transparenty. Z placu Dominikańskiego wąż dotarł na plac Społeczny, prześlizgnął się grubym cielskiem pod estakadami, na których zatrzymywały się

zdumione samochody (zatrzymywały się zresztą z konieczności, bo z racji zamkniętych ulic tkwiły w przeogromnych korkach), by następnie pulsując i falując, jakby ciężko oddychał, wtoczył się na most Grunwaldzki. Most wytrzymał wiele, dlatego studenckiego węża również zniósł z godnością. Cielsko sunęło dalej naprzód, aż w końcu dotarło na dziedziniec między budynkami Politechniki Wrocławskiej i tam zwinęło się, na powrót tworząc gęstą masę.

Po czterech godzinach wstrzymywania oddechu miasto z ulgą wypuściło smogowe powietrze. Ulice zostały otwarte, zniecierpliwione samochody wtoczyły się w nie na nowo, a kierowcy momentalnie docisnęli pedały gazu, chcąc nadrobić stracony czas. Przy okazji trąbili na siebie, warczeli i organizowali zawody na najdłuższy środkowy palec wystawiony przez okno, co jest normalnym elementem kultury drogowej w Polsce i nie należy się temu dziwić.

Kiedy wąż, którego średnia wieku oscylowała wokół dwudziestu trzech lat, zmieniał strukturę pod Politechniką, na Polach Marsowych trwały ostatnie nerwowe przygotowania. Sprawdzano nagłośnienie i mikrofony, a ubrani na czarno panowie biegali z kablami lub gmerali przy oświetleniu, nie tracąc czasu na zbędną wymianę zdań.

Na zapleczu sceny „Anioły do wynajęcia” przebrane i wymalowane czekały na swój wielki moment.

– Trochę się cykam – przyznał się Romeczek.

– Przestań, każdy się cyka – syknęła Elena.

– Trema to normalna rzecz, wiem coś o tym – dodała Marta. – Trema jest zawsze. Chodzi tylko o to, żeby robić to, co ma się zrobić, pomimo niej.

– To ci mądrości... – pokręcił głową Romeczek, a Marta przewróciła oczami i pokręciła głową.

– To uciekaj.

– Co?!

– No właśnie. Jak nie uciekasz, to nie narzekaj i nie obniżaj morale.

– Dobrze już, dobrze, uspokójcie się – załagodziła Barbara i zamachała motylimi skrzydłami. – Wszystko będzie dobrze, zobaczycie. W kościach czuję, że damy taki show, jakiego nigdy nie było.

Romeczek pojednawczo burknął coś pod nosem i niczego nie dodał. Reszta zespołu przestępowała z nogi na nogę i próbowała uspokoić nerwy. Nikt z nich nie przypuszczał, jak bardzo prorocze okazały się słowa Barbary.

6.

Praktycznie cały tłum spod Politechniki przepłynął stopniowo na Pola Marsowe. Niektórzy jak wolne elektrony odrywali się od macierzystego atomu, by uzupełnić niezbędną energię w stoiskach sprzedających piwo lub przekąsić małe co nieco przy licznych zaparkowanych foodtruckach, po czym stopniowo dołączali do reszty. Wielobarwne morze ludzi rozlewało się szeroko i daleko. Kto był na tyle sprytny, już zajmował najlepsze miejsca tuż po sceną, skąd mógł nie tylko wszystko widzieć (słyszeć można było w promieniu trzech kilometrów), ale również zrobić najlepsze fotki, by je następnie umieścić na Facebooku lub Instagramie.

Tuż przed sceną, na samym środku przytulone do barierki stały dwie policjantki. Wiele sugerowało jednak, że łapanie przestępców nie jest ich głównym źródłem dochodu. Być może świadczyły o tym czarne, o wiele za duże policyjne czapki, które niemal opierały się na oprawkach ciemnych, policyjnych okularów. Być może spódniczki na tyle krótkie, że pasek od spodni mógł poczuć na plecach oddech konkurencji. Braki w odzieży nadrabiały bronią i ta dla odmiany wzbudziłaby szacunek u Terminatora. Z niecierpliwością czekały na rozpoczęcie imprezy.

- Ty, stara, nieźle będzie.
- Czemu tak myślisz?
- Bo niezła ekipa stoi tam z tyłu sceny.
- Gość w różowej kiece jest spoko. Cud, że nie połamał sobie nóg w tych szpilkach, wyraźnie nie ma wprawy, ale ogólnie okej.
- Cycki ma krzywe.
- No i co z tego? Ty też masz krzywe. Każdy ma krzywe, nie ma idealnych cycków.
- Zwłaszcza takich dorobionych u facetów.
- No widzisz.
- Motylek trochę starawy.
- No i to właśnie jest nieźle. Ciekawe, co będzie.
- Wiadomo, co będzie. Niezły cyrk. Nie wiem, skąd oni ich wytrzasnęli.
- Rób zdjęcia.
- Ty też rób, potem powrzucamy.
- Dziewczyny sięgnęły po telefony i pstryknęły „Aniołom do wynajęcia” kilka fotek.
- Tamta ruda w kapeluszu...
- No?
- Ty, ona ma poduszkę pod kiecką, co nie?
- No chyba tak. Albo jest w ciąży.
- A tam w ciąży! Już weszłaby baba w takiej ciąży na scenę! Poduszkę ma przywiązaną jak nic. Nie wiem, po jaką cholere, ale to pewnie się wyjaśni. Tak czy siak może być niezły odpał.
- Dobra, czekaj, chyba się zaczyna!

– Dobra, czekajcie, chyba zaczynamy – powiedziała Elena, bezskutecznie starając się opanować tremę. – Chodźcie, dają znak. Działamy, jak było ustalone!

Z głośników z impetem popłynęły dźwięki muzyki, która miała być sygnałem do rozpoczęcia. „Anioły do wynajęcia” wśród oklasków publiczności, gwizdów i śmiechów wkroczyły na scenę. Przewodziła Elena, która, trzeba przyznać, imponująco prezentowała się w długiej, czerwonej sukni, a pochod zamykał Romeczek, potykający się w swoich szpilkach, czym wzbudził falę śmiechu, ale i sympatię studentów.

– Cześć! Witam was wszystkich serdecznie na najlepszych juwenaliach w Polsce! – krzyknęła entuzjastycznie Elena, a jej słowa spotkały się z owacją rozentuzjasmowanego tłumu.

– To będzie najbardziej niezapomniana impreza w waszym życiu. Możecie mi wierzyć! – dodała do mikrofonu Dorota i znów rozległy się brawa.

– Zanim oddamy was w ręce chłopaków z Lipali, to musimy powiedzieć, że, cóż, jesteśmy trochę dziwni – odezwał się Romeczek swoją kwestią, a tłum zarechotał, bo co jak co, ale Romeczek wiedział, co mówi – ale bardzo pozytywnie zakręceny. Patrzą na was i widzę, że wcale się nie różnimy! – Znowu rozległy się brawa oraz śmiechy. – Nazywają nas „Aniołami do wynajęcia”, ale nie wiem, czy chcecie wiedzieć, z jakiego nieba pochodzimy. (Śmiechy i pojedyncze brawa). – Poprowadzimy dla was tę imprezę, dlatego zapnijcie pasy i trzymajcie się swoich kubków z piwem, bo będzie rzucało! – krzyknął i rozległy się brawa, gwizdy i śmiech.

– Przygotujcie się na prawdziwy muzyczny rollercoaster. Po nim wasze życie już nie będzie takie samo! – krzyknęła Marta. – Ludzie, trzymajcie się, przed wami Lipali!!!

– Tłum zaszalał, a „Anioły do wynajęcia” usunęły się ze sceny, którą zajęli muzycy. Fani alternatywnego rocka, zbyt młodzi, by pamiętać najlepsze czasy Illusion i Acid Drinkers, nie mieli nic przeciwko, by poszaleć przy mocnych rytmach. Zespół wziął we władanie scenę i tłum i zaczął przenosić wszystkich w inną rzeczywistość za sprawą dźwięków gitar elektrycznych i perkusji, a magia rocka płynęła ze sceny i dokonała aneksji wszystkich studenckich serc. Koncert rozpoczął się na dobre.

Za sceną „Anioły” gratulowały sobie dobrego początku. Romeczek przytulał Elenę, Barbara tuliła Martę, a Dorota uśmiechała się

szeroko.

– Uf, muszę odpocząć – powiedziała i przysiadła na wielkiej skrzyni, w której wcześniej zapewne spoczywał jakiś wzmacniacz czy odsłuch.

– Jak się czujesz? – zainteresowała się Elena.

– Wszystko w porządku, tylko wiesz, dziewiąty miesiąc. Już coś tam z przodu dźwigam i to męczy. Ale spokojnie, jest świetnie, dam radę.

– No to ekstra. – Elena poklepała ją po plecach.

Koncert trwał, a tłum studentów z każdą piosenką rozgrzewał się coraz bardziej. Ludzie skakali, krzyczeli i śpiewali, gotowi przyjąć wszystkie atrakcje, które jeszcze były przed nimi. Panowała atmosfera szaleństwa, luzu i niczym nieskrępowanej radości. Piwo wylewało się z kufli, ale nikt o to nie dbał. Gdzieś ponad głowami unosił się imponujących rozmiarów różowy, dmuchany jednorożec, ktoś wyciągnął miecze świetlne, ktoś gdzieś chyba widział fruujące staniki, ale mogło mu się wydawać i nie był tego pewien. Orgia kolorów skapana w mocnym roku opanowała świat, a przynajmniej pewien rejon świata, akurat w tamtym momencie bardzo ważny.

Godzinę później występ Lipali nieuchronnie zmierzał już do końca i zespół niedługo miał ustąpić miejsca punkrockowemu Pull The Wire. Z tyłu sceny Romeczek ponownie założył szpilki, bo do tej pory skakał na bosy. „Anioły do wynajęcia” szykowały się do swojego zadania.

– Pamiętacie swoje kwestie? – upewniała się Elena.

– Tak, tak – zapewniał Romeczek.

– Coś jest nie tak – powiedziała nagle Dorota.

– Coś ty! Wszystko jest świetnie! – zaprotestowała Elena.

– Ja wiem, że świetnie, ale coś jest nie tak.

– Daj spokój, dacie radę, jesteście świetni. Wchodźcie ty i Romeczek, my, jak wcześniej ustaliliśmy, przed następnym zespołem.

Muzycy w końcu zakończyli swój występ i pożegnali się z publicznością.

– Dobra, wchodźcie z Romeczkiem, teraz!

Dorota ze Słowackim weszli na scenę, żeby zapowiedzieć Pull The Wire, ale wcześniej zgodnie z planem mieli przeprowadzić zabawny dialog zarówno z tłumem, jak i z sobą nawzajem, co miało być krótkim antraktem między mocnym brzmieniem gitar poszczególnych zespołów. Szło świetnie. Romeczek wygłupiał się naprawdę wzorowo, czym zaskarbił sobie sympatię tłumów, a Dorota dzielnie mu sekundowała. Pozostało im już tylko spuentować swoją wymianę zdań i zaprosić muzyków na scenę.

– I co na to powiesz, moja droga? – zapytał Romeczek falsetem zgodnie ze scenariuszem.

Dorota zamiast odpowiedzieć, dziwnie milczała i patrzyła się na Romeczka zbaraniałym wzrokiem. Romeczek rozejrzał się niepewnie i na wszelki wypadek zrobił głupawą minę oraz dygnął wdzięcznie, by zyskać na czasie. Gdzieniedzie rozległ się stłumiony chichot.

– No co na to powiesz, co? Moja droga! – ponaglił i łypnął okiem na Kotecką.

– Powiem ci, że... Powiem ci, że rodzę – odpowiedziała Dorota dziwnym głosem.

Tłum się zaśmiał, uznając to za przedni dowcip.

– Dlaczego ona zmienia kwestię? – stojąca poza sceną Elena szturchnęła Barbarę.

– Obawiam się, że wiem dlaczego – Barbara przełknęła ślinę, jakby nagle jej gardło zrobiło się zbyt wąskie.

Romeczek na scenie dokonywał cudów improwizacji.

– Nie żartuj, skarbie, ja poważnie pytam, sprawy wagi państwowej poruszam, a ty mi tu z bajerami wyjeżdżasz. Kwiatki nie rodzą, tylko pylą. A takie okazały jak ty pylą... bardzo.

– Kiedy ja mówię poważnie. Pylę... To znaczy rodzę. Wody mi odeszły...

Zbaraniały Romeczek popatrzył ku stopom Doroty, a tłum studentów starał się zrobić to samo, dlatego niektórzy zaczęli podskakiwać w górę, żeby sięgnąć wzrokiem ku scenie.

– O kurwa – prosto do mikrofonu stwierdził Romeczek, porzucając falset i wracając do swojego zwyczajnego barytonu.

U stóp Doroty Koteckiej powiększała się kałuża.

– Ty, ona faktycznie jest w ciąży, to żadna poduszka! – policjantka spod sceny z bronią godną Terminatora zwróciła się do swojej koleżanki.

– Ale jaja! Nagrywaj to, stara! Nie mów mi, że nienagrywasz!

Tłum nie wiedział, co ze sobą robić. Powoli docierało do wszystkich, że sytuacja wymknęła się spod kontroli i dzieje się coś, czego absolutnie nie było w planach, przynajmniej nie w tym momencie. Studenci momentalnie wyszarpnęli z kieszeni telefony i zaczęli nagrywać. Na scenę wpadła Marta i podbiegła do Romeczka.

– Co się dzieje?!

– Ona rodzi – wyjaśnił Romeczek prosto do mikrofonu.

– Dzwonź po Jarosława – zwróciła się do Romeczka Dorota i złapała się za brzuch.

– Eee, Kaczyńskiego?

Tłum ryknął śmiechem, trzymając ponad głowami wyciągnięte telefony.

– Jakiego Kaczyńskiego! Do Stawinogi, głupku! Niech po mnie przyjedzie. Natychmiast!

To, co się zaczęło dziać, trudno opisać słowami. Romeczek bezradnie spojrział za scenę w kierunku Eleny, a ta rzuciła się do torebki i wyszarpnęła z niej telefon. Barbara najpierw złapała się za głowę, potem za serce, a na końcu zakryła rękami usta. Dorota, wspomagana przez Słowackiego, jęcząc, zeszła ze sceny. Na samym środku została tylko Marta w przebraniu dyni, która gorączkowo zastanawiała się, co ma teraz zrobić. Tłum na zmianę gwizdał, klaskał, śmiał się, szalał, czyli sam nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Marta w końcu w dwóch susach skoczyła do muzyków stojących po drugiej stronie sceny i z oczami wybałuszonymi ze zdumienia obserwujących całe zajście. Dopadła do lidera grupy i coś mu powiedziała, a kilka sekund później muzycy dziarsko wyszli na scenę i przejęli ją we władanie. Marta oddała im swój mikrofon i momentalnie znalazła się przy „Aniołach”. Koncert juvenaliowy trwał, tłum dość szybko przeniósł całą uwagę na punkrockową ekipę i afera z „Aniołami” powoli traciła na znaczeniu oraz zacierała się w pamięci odpowiednio znieczulonej piwem.

– Panie doktorze, proszę przyjechać natychmiast! Ona rodzi! – krzyknęła do telefonu Elena.

Stawinoga chyba nie zrozumiał, o co chodzi, bo Elena bezradnie popatrzyła na resztę grupy. Dorota wyrwała jej słuchawkę z ręki.

– Jarek, to ja. Przyjeżdżaj natychmiast na Pola Marsowe. Chyba się zaczęło. To znaczy na pewno się zaczęło. Musisz być przy mnie.

Stawinoga rzucił dwa krótkie zdania i rozłączył się, a Dorota wydawała się wyraźnie spokojniejsza.

– Zaraz tu będzie, był akurat w przychodni. To niedaleko stąd.

Dziesięć minut później niedaleko z piskiem opon zatrzymała się Dacia Duster i wypadł z niej Stawinoga, o mało się nie przewracając. Dopadł do Doroty, pocałował ją, dotknął brzucha, zarzucił sobie jej rękę na ramię i pomógł wstać.

– Jedziemy do szpitala na Brochów, tam pracuję.

– Jedziemy z wami – odparła natychmiast Elena.

Stawinoga popatrzył zdumiony na resztę i na Dorotę.

– Nie ma mo...

– Jadą z nami i koniec! Ja tak chcę! – syknęła Kotecka.

Wszyscy jak stali, rzucili się w kierunku Dacii. Jarosław siadł za kierownicą, Dorotę umieścili na siedzeniu koło niego, a Barbara, Elena i Romeczek wcisnęli się z tyłu.

– Ja się nie zmieszczę! – zawołała z rozpaczą Marta. – A sama tu nie zostanę, nie ma mowy!

Wszyscy popatrzyli po sobie.

– Masz kluczyki do mojego – Słowacki wyjął zza gorsetu kluczyki do swojego starego, zramolałego Forda Fiesty i rzucił w stronę Marty. – Stoi tutaj.

Marta popatrzyła na rzęcha i doznała wrażenia, że ziemia osuwa jej się spod nóg.

– Nie prowadziłam, odkąd zrobiłam prawko!

– Dasz radę! To jak z jazdą na rowerze, tego się nie zapomina. Jedź za nami. Wszyscy na Brochów.

Ku grupie rączym kłusem biegło dwóch mężczyzn w garniturach.

– Zaraz! – zawołał jeden z nich. – A państwo gdzie?

– Do szpitala! – odparli wszyscy jednocześnie.

– A co z koncertem?! – drugi facet w garniturze wskazał ręką w kierunku sceny.

– Teraz przecież grają, czyli jest dobrze – odparła Elena. – A potem niech pan zapowie następnych. Da pan radę, wystarczy powiedzieć „Przed wami...” i tutaj wstawiamy nazwę. – My naprawdę musimy lecieć.

– Ale...

– Przepraszamy najmocniej, ale to nagły wypadek! – odkrzyknęła Barbara z wnętrza samochodu.

Drzwi Dacii Duster zatrzęsęły się i samochód ruszył. Zaraz za nim, charcząc i rwąc do przodu na przemian z gwałtownym hamowaniem, wyjechał ford Romeczka. Oba samochody zniknęły za zakrętem.

Mężczyzna w garniturze kopnął najbliższy kamień.

– No ja pierdołę! Przypomnij mi, dlaczego ich w końcu wzięliśmy?

– No cóż, ich oferta pod pewnym względem była nie do pobicia. Chodź, Staszek, daj spokój, baba rodzi, to mogło się przydarzyć każdemu.

Mężczyzna nazwany Staszkiem wzrokiem zmienił swojego kolegę w kupkę popiołu, a kiedy już prochy rozrzucił na wietrze, odetchnął głęboko i zawrócił w stronę sceny, gdzie zespół dawał z siebie

wszystko, a tłum studentów wdzięcznie to przyjmował.

– Do dupy taki interes. W przyszłym roku zrobimy to normalnie.

7.

Dacia i ford z piskiem opon (ford z mniejszym piskiem, za to drogę hamowania miał dłuższą i mało nie wjechał w dacie) zaparkowały pod szpitalem im. Falkiewicza przy ulicy Warszawskiej na wrocławskim Brochowie. Z dacji Jarosław wystrzelił jak z procy, zostawiając w środku pasażerów, po czym równie szybko wrócił z wózkiem inwalidzkim, na którym z pomocą Romeczka posadził Dorotę. Całe towarzystwo wygramoliło się z auta i pognało w kierunku izby przyjęć.

Mijani po drodze ludzie zapominali skręcić i wpadali na słupy, zakrywali dzieciom oczy, upuszczali to, co trzymali w rękach, kiedy tylko zobaczyli gnającą w stronę wejścia ewidentnie męską postać we wściekle różowej sukni z potężną krynoliną, potykającą się o własne szpilki, wiekowego motyla ze zmasakrowanymi skrzydłami, dziewczynę z dynią na głowie oraz kobietę, której profesja nie była jasna, choć ogniście czerwona suknia (podciągnięta teraz do wysokości ud) mogła nasuwać pewne przypuszczenia. Jedyna normalnie wyglądająca osoba pchała przed sobą wózek inwalidzki, na którym siedziało, pojękując głośno, skrzyżowanie bezy z chryzantemą.

Na izbie przyjęć Jarosław załatwił formalności szybko i sprawnie, po czym całe towarzystwo wtoczyło się do windy i pojechało na porodówkę.

– Tędy – zakomenderował krótko Jarosław, kiedy już dotarli na właściwe piętro.

Cała grupa rączym cwałem pognęła w kierunku wskazanym przez lekarza. Z sali porodowej (w której może rodzić kilka kobiet naraz, bo tak naprawdę jest to wielkie pomieszczenie składające się z kilku salek połączonych wspólnym korytarzem) wyszła niczego nieświadoma położna, zapatrzona w trzymane w ręku papiery.

– Dzień dobry, pani Agatko, mam tu pilny przypadek – zagadnął Stawinoga.

Pani Agatka podniosła wzrok, upuściła papiery, krzyknęła i przywarła plecami do ściany.

– Jezus Maria!

– Spokojnie, pani Agatko, to ja, a ci ludzie mi towarzyszą.

– Pana poznaję, panie doktorze, ale, do diabła, kim oni są?!

Stawinoga zerknął na zebranych.

– Pani się nie boi, pani Agatko, to żadne diabły, tylko „Anioły”.

– Do wynajęcia – dodał różowy transwestyta, a w jego głosie wyczuć można było nutkę dumy.

Oddziałowa patrzyła na wszystkich i stała nieruchomo, jakby wrosła w linoleum. Przenosiła spojrzenie od kobiety-dyni, przez starą babę z migającymi czułkami na głowie, faceta w różowej sukni i wysokich szpilkach, na których ewidentnie nie umiał chodzić, po małpę w czerwonym.

– Pilny przypadek mam – ciągnął Stawinoga. – Dorota... To znaczy pani Dorota rodzi, wszystko przebiega bardzo szybko, musimy ją natychmiast umieścić na sali. Ja się przebiorę, przygotuję i poprowadzę poród. Kto jest na zmianie?

– Zygmunt.

– Znakomicie. Pani przygotuje psychicznie Zygmunta i weźmie panią Dorotę, a ja już idę.

Grupa jakby się poruszyła.

– My też idziemy! – zdecydowanie stwierdził różowy mężczyzna.

Pani Agata, ochłonawszy z pierwszego szoku, przybrała władcą postawę i wzięła się pod boki.

– Do środka wchodzi tylko rodzina!

– To my! – krzyknęli wszyscy.

– Chodzi mi o to, że ojciec. Pan jest ojcem?

– Ja? – przeraził się Romeczek. – Czy ja wyglądam na ojca?

– Faktycznie, prędzej na zdziwaczałą ciotkę. Równouprawnienie, cholera jasna, tak to się kończy.

– Pani Agato, nie ma z nami ojca – załagodził sytuację Stawinoga.

– Wchodzę ja, bo wiadomo. – Państwo zaczekają tutaj i będą wspierać Dorotę duchowo. No, idziemy.

Zniknęli za drzwiami porodówki.

Cztery niezwykle rzucające się w oczy osoby pozostały na korytarzu. Ustalono, że nie ma sensu, żeby czekali tu wszyscy. Nie ma nawet sensu, żeby w ogóle czekali, ale Romeczek zaparł się, że nie ma opcji, on zostaje i będzie Kotecką wspierał, jak obiecał, a słowo u niego droższe pieniędzy, których zresztą chwilowo nie posiada. Koniec końców Romeczek z Eleną zostali. Bo tak w ogóle kto wie, może się przydadzą. Barbara wymogła na nich obietnicę, że będą składać relacje z pierwszej linii frontu, a ona z Teodorem nie pójdą spać, póki nie usłyszą, że wszystko w porządku. Elena ma zadzwonić nawet w środku nocy.

– W środku nocy, a więc Teodor... – Słowacki stopniowo łączył wątki.

– Tak – przyznała Barbara i zarumieniła się zupełnie dziewczęco, czego nie było widać pod makijażem scenicznym, po tych wszystkich wydarzeniach domagającym się nie tyle poprawek, co gruntownego remontu.

– Gratulacje! – Elena klasnęła w dłonie. – Dzieci wiedzą?

– Dowiedzą się w swoim czasie. Kiedy ustalimy datę ślubu.

– Ślubu! – zakrzyknął Romeczek. – Co to się narobiło! Cudownie, Basiu, ucałuj Teodora!

– Jesteście zaproszeni. Na wesele też. Nie wyobrażajcie sobie zbyt wiele, to będzie skromna impreza składkowa, każdy przyniesie jakieś ciasto czy sałatkę.

– Oczywiście, że przyjdziemy! Cudowna nowina! – Elena rzuciła się Barbarze na szyję.

– Rany boskie! Ślub! – Romeczek łapał się za głowę, jakby rzeczywistość docierała do niego w aplikowanych raz po raz dawkach.

Wszyscy wyściskali się wzajemnie, a Barbara otarła łzy wzruszenia. Na odchodnym Romeczek podał rękę Marcie i jakoś dłużej ją przytrzymał, co nie uszło uwagi Eleny. Marta spuściła wzrok zakłopotana.

– Powodzenia, Marto. Jutro. Z całego serca powodzenia.

Elena uniosła do góry brew. Marta bąknęła coś pod nosem, uśmiechnęła się, pomachała ręką na pożegnanie i poszła.

Zostali we dwoje. Usiedli na krzesłach stojących pod ścianą. Romeczek pogwizdywał pod nosem, Elena zastanawiała się, czy poruszyć temat dziwnych znaków porozumiewawczych między nim a Martą, czy też odpuścić i czy w ogóle jest czym zaprzętać sobie uwagę. Póki co milczała.

– Chciałabym wiedzieć, co w tej chwili porabia szanowny ojciec tego dziecka.

– Ten piękny picuś z urzędu miasta, co mu chciałem wyciąć w ryj?

– Mhm. Ciekawa jestem, czy u niego też jest dzisiaj taki cyrk jak u nas.

8.

Mniej więcej dziewięć godzin wcześniej, o ósmej rano, dzień pracy w poniedziałek czternastego maja dla Bartłomieja Goryczki wyglądał cały czas tak samo jak cała masa poniedziałków przed nim. To znaczy, pomijając ten cały cyrk, jakim były juwenalia. Póki co jednak rzesza studentów spała snem sprawiedliwych lub robiła coś innego, w każdym razie nie szlajała się w dziwnych gaciach po ulicach Wrocławia. W ogóle dzień Goryczki zaczął się standardowo.

Budzik przerwał jego sen o piątej rano, dzięki czemu Bartłomiej miał możliwość przeprowadzić wszystko, co sobie zaplanował. Wziął więc chłodny prysznic, by rozbudzić całe ciało i zmyć z niego pozostałości snu, całkiem przyjemnego zresztą, o ile sobie przypominał. Następnie zrobił zwyczajowe szybkie trzydzieści pompek w trzech seriach po dziesięć oraz trzydzieści brzusków, również w trzech seriach, i już czuł się gotowy do tego, co sam uważał za słodkie zwieńczenie przedpracowych przygotowań, czyli do szybkiego acz intensywnego seksu z Jowitką.

Zrzucił więc kołdrę ze swojej kochanki, która w międzyczasie również się obudziła. Jowitka miała na sobie półprzejrystą, satynową, króciutką koszulkę i dwa kawałki cienkiego sznurka,

które zapewne miały udawać majtki. Goryczka uznał, że kochanka jest należycie przygotowana do swojej roli, dlatego sprawnym ruchem zerwał z niej bieliznę i po prostu w nią wszedł, nie bawiąc się w takie bajery jak gra wstępna.

Pięć minut później po kilkukrotnym „och, misiu” i „nie przestawaj” zakończonym jednostronnym orgazmem (czym Goryczka zupełnie się nie przejął, bo przecież nie miał w planach mistrzostw świata w wyścigu na dochodzenie, tylko krótkie rżnięcie dla zachowania higieny seksualnej) zlaź z zupełnie już przebudzonej Jowitki, ułożył fryzurę, dokończył poranną toaletę, włożył jedną ze swoich ulubionych koszul – tym razem od Tommy’ego Hilfigera – oraz marynarkę (tej samej marki) i zabrał z szafki w przedpokoju kluczyki do samochodu. Na koniec wrócił jeszcze do Jowitki i klepnął ją w pupę na do widzenia. Spojrzał ostatni raz w lustro i już go nie było.

Punktualnie o siódmej rano wchodził do swojego gabinetu. Jowitka dotarła do urzędu niedługo po nim. Nigdy nie jechali do pracy razem – zachowywanie pozorów zwyczajnej znajomości Bartłomiej traktował jak rzecz świętą. Ostatnie, czego by sobie życzył, to plotki współpracowników. Do ósmej rano przeglądał papiery przyniesione mu przez sekretarkę (zupełnie niezły tyłek pod opiętą, ołówkową spódnicą, ciut za głęboki dekolot i to nachylanie się nad biurkiem – jeśli rzeczywiście jest tak, jak mu się wydaje, to może kiedyś warto będzie to wykorzystać), w których znalazł tę samą nudę, co zawsze. Wydawało się więc, że dzień potoczy się zwyczajnie, Goryczka odbębni swoje godziny i o piętnastej zmyje się do domu.

I wtedy właśnie, gdzieś około ósmej, świat wywinał salto mortale.

Drzwi jego gabinetu otworzyły się i do środka (bez pukania!) weszło dwóch mężczyzn, którzy wyglądaliby zupełnie normalnie, gdyby nie to, że towarzyszyło im trzech innych z napisem „CBA” na ciemnych bluzach. Tych dwóch mężczyzn podstawilo mu jakieś legitymacje pod nos i powiedziało coś, co przekraczało wszelkie granice percepcji, a mianowicie, że jest aresztowany. Goryczka spojrzal ponad ramieniem przybylych i zobaczył, że ta z niezłym tyłkiem zagląda przez drzwi i otwiera szeroko oczy ze zdumienia, a jeszcze szerzej usta, nie przestając chłonać wszystkiego, co mówią

dziwni panowie. Później zapewne puści to dalej.

Panowie argumentowali swoje wtargnięcie i to, co zamierzają zrobić, lakonicznie, ale konkretnie. Bartłomiej Goryczka jest oskarżony o ustawianie przetargów i osiąganie z tego procederu znacznych korzyści majątkowych, a zatem wykorzystywanie swojej władzy do łamania prawa, czym naraził na spore straty, bla, bla, bla, bla.

Bartłomiej słuchał tego wszystkiego i nie posiadał się ze zdumienia. Nie dlatego że nie miał pojęcia, o czym mówią. Zdumiało go po pierwsze to, że się zorientowali, po drugie, że doszli do tego tak szybko. Ktoś musiał puścić farbę. Ktoś, kto dużo wiedział. Liczył na to, że zgarnie jeszcze trochę kasy, a następnie pozaciera ślady, polikwiduje konta i albo odpuści (co było mało prawdopodobne), albo przeczuci się na jakiś inny, równie dochodowy biznes (co było prawdopodobne znacznie bardziej). Niestety nie zdążył.

Parę minut później opuszczał swój gabinet skuty kajdankami w eskorcie agentów CBA, żegnany przez nader liczną publiczność złożoną ze wszystkich pracowników urzędu ze sprzątaczkami włącznie. Ta z niezłym tyłkiem miała też niezły zasięg. Prześlizgnął się wzrokiem po twarzach zgromadzonych, zatrzymując spojrzenie nieco dłużej na Jowitce, która stała gdzieś pod ścianą i wyglądała na bezgranicznie zdumioną i przerażoną. No cóż, Jowitkę żegnał z lekkim żalem. Pieprzyła się naprawdę nieźle. Dużo bardziej martwił się o swoje pieniądze.

9.

– Strasznie długo to trwa – westchnął Romeczek, spoglądają na zegarek. – Wydawało się, że to tak myk-myk, wody odeszły i za moment dzidzius, a to ciągnie się i ciągnie.

Dochodziła dwudziesta druga. Razem z Eleną wytrwale siedzieli na korytarzu przed porodówką w szpitalu na Brochowie.

– Może coś się stało? – drażył.

– Nie uprawiaj czarnowidztwa. Pewnie nic się nie stało. Z porodami różnie bywa, a Dorota ma czterdzieści dwa lata, więc być może nie idzie tak po maśle, jakby miała osiemnaście.

Rzeczywiście jak po maśle nie szło. Dorota na przemian parła i nie parła, jak jej kazano, a pomiędzy krzykami bólu klęła na czym świat stoi, przysięgając, że jeśli kiedykolwiek dotknie ją jakiś mężczyzna, to chyba go zabije. I że nigdy więcej ciąży. I jeśli kiedykolwiek najdzie ją ochota na seks (w co szczerze wątpi), to najpierw łyknie całe pudełko tabletek antykoncepcyjnych, a temu durniowi, który się do niej zbliży, każe nałożyć trzy prezerwatywy naraz. I że jakiś idiota wymyślił porody, jakby nie można było tak przez pączkowanie jak drożdże. A mamy z nimi podobno trzydzieści

procent wspólnego kodu genetycznego. Ona się poddaje. Niech oni coś zrobią, bo ona nie urodzi i koniec.

– Dorota, kochanie, jeszcze troszeczkę, już jesteś na finiszu. Już widać główkę, dasz radę.

Dorota krzyknęła i odrzuciła głowę do tyłu. Z twarzy spływały jej strużki potu. Nagle wyciągnęła rękę, chwyciła Jarosława za fartuch i z całej siły przyciągnęła do siebie, zatrzymując jego twarz tuż przy swojej i spojrzała na niego strasznym wzrokiem.

– Zrób coś – wydyszała. – Powiedz coś do mnie takiego, co doda mi sił. Zmobilizuj mnie. I to zaraz, draniu jeden, bo, do kurwy nędzy, nie urodzę! Sprężaj się, ale już!

Położna przewróciła oczami i zerknęła na Jarosława nie mniej wyczekująco niż Dorota. Stawinoga nie bez problemu wyrwał się ze stalowego chwytu Doroty, odetchnął głęboko, na chwilę zamknął oczy, a potem westchnął.

– Dobrze, chciałem to zrobić później, ale nie mam wyjścia. To musi zadziałać.

– No mów, do cholery!

Wyprostował się na całe swoje sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, nabrał głęboko powietrza do płuc i... wstrzymał oddech. Sala pogrążyła się na moment w całkowitej ciszy (nie licząc aparatury). Gdyby wleciał tam wtedy jakiś zabłąkany komar, z pewnością narobiłby hałasu. Czas już miał się zatrzymać, sekundy już, już kamieniały, kiedy Stawinoga wreszcie wypuścił powietrze i niezwykle miękkim głosem zapytał:

– Wyjdiesz za mnie?

Zburzenie Pałacu Kultury nie wywołałoby większego zamieszania.

– Co takiego?! – zawołała Dorota.

– Co takiego?! – zawołała położna.

– Kocham cię. Wyjdiesz za mnie? – powtórzył uparcie lekarz.

Dorota wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

– A dziecko?

– Dziecko też kocham, choć nie jest moje. Nie obchodzi mnie jego ojciec, ważne, że jest twoje. Będę je kochał jak własne.

– A babcia?

– Co babcia? Babcię też kocham.

– Nie o to chodzi. Co babcia na to powie?

– Co powie? Nie wiem, co powie. Pewnie rypnie na kolana przed obrazem Ostrobramskiej i podziękuje za wysłuchanie modlitw. Dostanie, o co prosiła, od razu w pakiecie z prawnuczką. A w ogóle to nie zmieniaj tematu. Pytałem, czy za mnie wyjdiesz.

Dorota uśmiechnęła się szeroko, jakby nie leżała zlana potem na łóżku porodowym z rozrzuconymi nogami, tylko siedziała w pięknej, zwiewnej sukience gdzieś na ławeczce koło wieży Eiffla.

– Tak, wyjdę za ciebie. Oczywiście, że za ciebie wyjdę. Ja też cię kocham.

– Uf. No to do boju. Jesteś na ostatniej prostej. Sprężasz się i dziewczyna wyłazi na zewnątrz. Przyj!

– Tylko mnie jeszcze pocałuj. Tak wiesz jak.

Jarosław pocałował ją tak gorąco, jakby wyssał całą namiętność z wszechświata i przekazał Dorocie metodą usta-usta. Położna czerwona jak burak wachlowała się dłońmi.

– Myślałem, że świat zwariował do reszty, a on się dopiero rozkręca – wtrącił Zygmunt, który w jakiś sposób zmaterializował się obok.

Stawinoga wreszcie się wyprostował.

– Jedziemy. Kiedy dam ci znak, przyj.

– Teraz to dam radę jak jasna cholera! I przepraszam za wszystko, co mówiłam o mężczyznach.

Udało się. Niewiele później na sali rozległo się jedno czy drugie stłumione chrumknięcie, a potem rozdierający dziecięcy płacz, pierwszy protest małego człowieka, któremu całe życie przyjdzie stawiać czemuś czoła. Pierwsza oznaka asertywności i pierwsza walka o prawo do powrotu do tego, co było. Małeńka, czarnowłosa dziewczynka została odpowiednio zawinięta w pieluszkę, na chwilę

położona na piersi Doroty, a następnie umieszczona w niemowlęcej kuwetce i odwieziona na oddział położniczy celem dopełnienia dalszych niezbędnych procedur medycznych.

Kiedy jechała w kuwetce pchana przez położną, nieświadoma była faktu, że odprowadzają ją dwie pary oczu wybałuszone ze zdumienia. Jedna – męska – z nich wyposażona była w wielkie, sztuczne czarne rzęsy, które ewidentnie ledwo się trzymały, druga, kompletnie zapłakana, pozbywała się właśnie resztek makijażu.

Te same dwie pary oczu niebawem zrobiły się jeszcze większe, kiedy dowiedziały się o oświadczeniach Jarosława przyjętych przez Dorotę. Romeczek z Eleną pokiwali z zadziwieniem głowami, a kiedy okazało się, że to nie będzie pierwszy ślub w skromnym gronie „Aniołów do wynajęcia”, do kiwania dołączył się również Stawinoga. Obiecано sobie doszlifować szczegóły i uzupełnić wiedzę wszystkich o wszystkich, ale ponieważ pora już była późna, a wsparcie zostało udzielone, Stawinoga delikatnie, acz stanowczo wygonił Romeczka i Elenę do domu i polecił im odpocząć, bo oni też mieli prawo czuć się zmęczeni.

Przed godziną dwudziestą trzecią opuścili szpital i zanim wsiedli do Romeczkowego forda fiesty (fatalnie zaparkowanego przez Martę), zdążyli jeszcze zadzwonić do Barbary i Teodora z najnowszymi wieściami. Po obu stronach telefonu doszło do potoku łez wzruszenia, szczęścia i ulgi, padło obustronne „dobranoc” i w końcu Romeczek uruchomił silnik swojego samochodu.

– Tylko nie prowadź w szpilkach – poleciła Elena. – Podrzesz dywanik.

Romeczek zgodził się, zrzucił szpilki i na bosaka wcisnął pedał gazu.

Przez okno szpitalne odprowadzał ich wzrokiem najszcześniejszy ginekolog w tej części galaktyki.

10.

Elektroniczny zegarek stojący na biurku przy komputerze pokazał drugą w nocy, dając tym samym do zrozumienia, że już sam fakt, że ktoś to wskazanie dostrzegł, należy uznać za wysoce niestosowny. Druga w nocy to pora, kiedy zegarki mogą informować świat do upojenia. Mogą wręcz wydzierać się analogowo – za pomocą drewnianej kukułki, wydającej z siebie odgłos paszczowy, który nawet po pijaku trudno pomylić z kukaniem – lub cyfrowo, wyrzucając w przestrzeń partie fotonów z nastaniem każdej kolejnej sekundy. Jeśli ktoś się temu przygląda, zamiast spać, czynią to z fochem i bywają nieco skrępowane.

Zegarek na biurku Eleny nie bardzo wiedział, jak się zachować, ponieważ jego właścicielka po zerknięciu nań nie poświęciła mu potem ani sekundy uwagi. Wpatrywała się natomiast intensywnie w ekran komputera, kręciła z niedowierzaniem głową, a na jej ustach zagościł uśmiech, z początku skąpy, potem coraz szerszy, aż w końcu Elena zakręciła się na obrotowym krześle i głośno roześmiała.

Patrzyła na stan swojego konta bankowego.

Tak, tak, ze wszystkich szalonych decyzji życiowych, jakie

podejmowała, ta pobiła wszelkie rekordy wariactwa. To było jak skok w przepaść z zamkniętymi oczami i pytaniem zadany już w locie: „Przepraszam, czy tam jest woda?”. Owszem, Elena nigdy nie miała problemu z opuszczaniem strefy komfortu, wprost przeciwnie – jak mogło pokazać jej dotychczasowe życie – na sam widok majaczącej gdzieś na horyzoncie wyspy stabilizacji, kierowała swój statek w zupełnie innym kierunku, ale tym razem to naprawdę przesadziła.

Pomyślała sobie jednak o wszystkim, co się wydarzyło na przestrzeni tych kilku ostatnich miesięcy, aż do... – właściwie który dzisiaj? Ach, tak, już 15 maja 2018 roku – no więc od połowy września aż do maja i stwierdziła, że gdyby miała decydować raz jeszcze, zrobiłaby to samo. Nigdy w życiu nie przypuszczała, że rzeczywistość może jej zafundować (zupełnie gratis!) tyle gwałtownych zwrotów akcji, tyle niespodzianek, tyle emocji, że egzystencja przypominała poranne wsiadanie do rollercoastera i wysiadkę dopiero wieczorem, kiedy już człowiek kompletnie nie przypominał siebie samego.

Tak to już jest. Życie to od razu premiera bez próby generalnej i na dodatek bez przewidzianych powtórek. A jednak... Kiedy pomyśli o tych wszystkich emocjach, o tych ludziach, których poznała, to czy można było zrobić inaczej? Pewnie tak, ale cóż. Wszystko można, ale nie wszystko warto. Elena teraz widzi, że innej drogi nie byłoby warto wybierać.

Usłyszała kroki z tyłu za sobą, a potem Romeczek położył jej rękę na ramionach, pochylił się i złożył na jej szyi długi pocałunek. Odwróciła się i uśmiechnęła.

– Romeczku, zostawiłeś mi ślad po szmince. Mówiłam, żebyś nie brał tej w kolorze strażackiej czerwieni, ciężko zmyć ślady.

– Daj spokój, zaraz i tak idę do łazienki. W końcu kiedyś trzeba – odpowiedział przyjemnym barytonem. – Po prostu nagle poczułem ochotę na twoją szyję. Jakbym miał jakieś przyzwoite kły, to wpiłbym się w ciebie bez litości.

Elena przyciągnęła go do siebie, chwytając ręką za dekolt bufiastej sukienki w odcieniu słodkiego różu i namiętnie pocałowała w usta. Odchyliła się i ze śmiechem starła z warg czerwoną

szminkę. Romeczek odruchowym gestem poprawił biust, po czym zatrzepotał długimi rzęsami, co w jego zamyśle miało wyglądać uwodzicielsko. Sztuczne rzęsy z lewej powieki odkleiły się i z wdziękiem sfrunęły na ziemię. Romeczek podniósł je i bardzo niekobieco podrapał się po łydkach skrytych pod różowymi rajstopami.

– Ładnie ci w tym kolorze – powiedziała Elena, przyglądając mu się i nie przestając uśmiechać.

– Wiem – przyznał mężczyzna. – W końcu jestem blondynem z jasną cerą. Jestem wręcz stworzony do różu.

Ziewnął głośno i szeroko. Mózg najwidoczniej wcisnął czerwony przycisk, informując, że jedzie na rezerwie i za moment po prostu się wyłączy.

– Zmęczony?

– O matko, jeszcze jak! Wykończony! Tyle się dziś wydarzyło!

– To połóżmy się, Romeczku.

– Tak, tak, położymy się, tylko wcześniej chyba musisz się o czymś dowiedzieć.

– O tak.

– Wiesz, o co chodzi? – Romeczek zamrugnął zdumiony.

– Domyślam się. Ale ty też musisz o czymś wiedzieć.

– Oho! No to mamy ukrytą prawdę.

Elena westchnęła i ostatni raz zerknęła na stan konta. Tak, muszą w końcu porozmawiać. Chyba nie można tego odkładać dłużej. Gdyby ktoś kilka miesięcy temu powiedział jej, że tak właśnie się to wszystko potoczy, powaliłaby go śmiechem. Kilka miesięcy temu sprawy rysowały się zupełnie inaczej...

– To najpierw ty – zaproponował Romeczek. – Powiesz mi, co takiego śmiesznego jest w tym komputerze.

– Dobrze. Na naszym koncie firmowym jest okrągłe dwadzieścia złotych. Zrobiliśmy na „Aniołach do wynajęcia” interes życia, nie ma co. Biorąc pod uwagę to, co zaszło dzisiaj na juwenaliach, yyy, właściwie wczoraj, możemy oficjalnie powiedzieć, że to koniec.

– Koniec ostateczny?

– Ostateczny. Firma się z tego nie podniesie.

– Żałujesz?

– Że się nie podniesie? Jasne!

– Nie, czy żałujesz, że w ogóle się za to zabraliśmy?

– Skąd, Romeczku, to była najlepsza rzecz, na jaką w życiu wpadłam. No, poza rzuceniem wszystkiego i ruszeniem z tobą do Polski. Pomyśl tylko, zakładasz firmę w branży, o której nie masz pojęcia, a po dziewięciu miesiącach masz dwa śluby.

– I sławę największej porażki juwenaliowej wszech czasów – westchnął Romeczek.

– To fakt – uśmiechnęła się Elena. – Długo nikt nas nie przebije.

Słowacki postanowił jednak wydostać się z różowej sukni i właśnie walczył z zamkiem na plecach. Elena podeszła do niego i pomogła mu go rozpiąć. Romeczek odetchnął z ulgą, wylazł z sukni, zdjął blond perukę i przeniósł wszystkie siły do walki z różowymi rajstopami.

– Nie rozumiem tylko jednego. Jakim cudem dostaliśmy to zlecenie? Co im z Barbarą powiedziałyście, że wybrały właśnie nas?

– Złożyłyśmy im propozycję nie do odrzucenia.

– Mianowicie?

– Jesteśmy „Aniołami”. Powiedziałyśmy im, że nie muszą się martwić, bo nagroda nasza jest w niebie – uśmiechnęła się Elena.

– Czyli...

– Że zrobimy to za „Bóg zapłać” i będziemy mieć do naszego anielskiego portfolio.

– Ja pierniczę... – Słowacki usiadł z wrażenia. – Tyle nerwów za darmo.

Elena Wołodymerewna podeszła do niego i przytuliła się.

– To była nasza ostatnia szansa na zrobienie wokół siebie zamieszania i przebicie się. Mogliśmy konkurować wyłącznie

cenowo, bo doświadczenie mamy przecież zerowe. Postawiłyśmy wszystko na jedną kartę, ale cóż, wyszło, jak wyszło.

Odsunęła się od niego i z powrotem usiadła przy komputerze.

– No dobrze, ja uchylłam rąbka tajemnicy. Kolej na ciebie.

Słowacki w międzyczasie zdążył na powrót przeistoczyć się w mężczyznę. Teraz siedział w pasiastych spodniach od pizamy i T-shircie, a jedynym elementem łączącym go jeszcze z kobiecością, były waciki kosmetyczne i płyn do demakijażu, którymi pracowicie usuwał charakteryzację z twarzy.

– Cóż, musisz wiedzieć, że prowadzenie strony internetowej i fanpage'a to nie wszystko, czym się zajmowałem. W międzyczasie...

– Pisałeś książkę.

– Wiedziałaś? – spojrzał na nią zaskoczony.

Elena okręciła się na krześle i założyła ręce za głowę.

– Trudno było nie wiedzieć, Romeczku. Żaden z ciebie konspirator. Musiałam się nieźle namęczyć, żeby udawać, że nic nie widzę.

– Nie wściekałaś się.

– Na początku tak, ale ostatecznie nie robiłeś tego kosztem innych spraw. Poza tym, cóż, to zupełnie dobra książka. Szkoda jej.

– Wcale nie.

– Nie szkoda?

– Nie, bo musisz wiedzieć coś jeszcze. Dla książki znalazł się wydawca.

Elena Wołodymerewna zerwała się na równe nogi i podskoczyła, a gdyby skoczyła jeszcze wyżej, uderzyłaby głową o sufit. Pisnęła z radości.

– Naprawdę?!

– Naprawdę. Pomysł, streszczenie i niedokończony tekst wysłałem do wszystkich możliwych wydawnictw. I *voilà!* Ktoś stwierdził, że warto ją wydać. Za parę miesięcy ukaże się drukiem. Muszę tylko ją

dokończyć.

– Niesamowite! To cudownie! I to książka o nas. Podczytywałam, musisz wiedzieć.

– O „Aniołach do wynajęcia”. Tak.

– No proszę! Teraz to ja mogę nawet wrócić do galerii handlowej.

– Nie wrócisz do galerii. Na pewno znajdziemy jakieś inne rozwiązanie. W końcu ostatnio pomysłów nam nie brakowało.

Elena przeciągnęła się.

– Wiesz, co myślę?

– No?

– Że to jest dobry moment na seks.

– Teraz? Jest druga w nocy!

– Nie dasz rady?

– Kto? Ja? Dam! Jasne, że dam! Zaraz ci pokażę!

Pokazał. Och, jak pokazał. Dał radę koncertowo, ściągnawszy uprzednio z Eleny czerwoną suknię i zaprowadziwszy ją na łóżko. Sami zdumiewali się, ile energii są w stanie z siebie wykrzesać po tak szalonym dniu.

– No tośmy sobie wszystko wyjaśnili – rzekła Elena, głaszcząc Romeczka po piersi.

– Jeszcze nie do końca.

– Jak to?

– Jest jeszcze sprawa Marty.

– O! A co z Martą?

– Musisz wiedzieć o czymś jeszcze...

11.

Piętnasty maja 2018 roku był dla Marty jak urodziny i ślub jednocześnie, czyli jak coś, na co się czekało tyle czasu i cieszył się człowiek jak głupi, ale kiedy już stało się faktem, miało się ochotę rzucić wszystko i uciekać z wrzaskiem. Piętnastego maja Marta Malinowska czujnie spoglądała w oko kamery, a kamera spoglądała na nią. Fakt, że sprzęt obsługiwał niezwykle przystojny kamerzysta, wbrew pozorom wcale niczego nie ułatwiał. Wprost przeciwnie, bo Marta czuła się spięta podwójnie. Po pierwsze debiutem, po drugie strachem, jak wypadnie w oczach tego faceta.

Pomieszczenie, gdzie kręcili zdjęcia, było naprawdę spore. Marta gotowa była założyć się o zapiekankę z kalafiora (a nie cierpiała kalafiorów), że nigdzie w żadnym domu nie ma tak dużej łazienki. Inna sprawa, że nigdzie w żadnym domu łazienka nie musi pomieścić kamer, oświetlenia, mikrofonów, jakichś dodatkowych bajerów i wszystkich, którzy je obsługują. W żadnej łazience pralka nie jest atrapą i żadna łazienka nie robi za składzik proszków do prania.

Bo proszek do prania grał tu główną rolę. Oprócz Marty, oczywiście.

Słowo stało się ciałem i przeraziło Martę do szpiku kości. Kiedy trzy miesiące temu wysłała maila w odpowiedzi na ofertę agencji reklamowej, która szukała aktorek do reklamy proszku do prania, nie wierzyła, że to cokolwiek da. Starła się przecież tyle razy, zaliczyła tyle castingów, że naprawdę nie chciało jej się nawet tego zliczać, nie mówiąc już o jakiejś nadziei na odpowiedź. Jakakolwiek zresztą, nie tylko pozytywną.

Jakież więc było jej zdumienie, kiedy odpowiedź nadeszła, a w niej zaproszenie na casting. Serce zabiło jej wtedy jak szalone, ochoczo zmierzając w stronę zawału, i Bóg jeden wie, jakim wysiłkiem woli skłoniła nerwy do jako takiego uspokojenia się. Co prawda termin castingu sprawiał, że musiała stanąć na rzesach, żeby zmienić grafik w pracy, a dodatkowo wykręcić się z jednego ze zleceń „Aniołów do wynajęcia”, ale gdzie wola, tam znajdzie się sposób, jak to mówią. Odpowiedzieli i to się liczyło, a sposób faktycznie się znalazł.

Inna sprawa, że wymagał rozmowy z Romeczkiem, gdyż nie dało się tego uniknąć. Prawdę mówiąc, wymagał rozmowy z Eleną jako kierowniczką tego całego cyrku, ale Marta jakoś tak czuła, że z Romeczkiem będzie jej bardziej po drodze i że on akurat wykaże więcej zrozumienia dla jej sytuacji.

Rzeczywiście wykazał. Pokiwał głową na wieść o castingu Marty i niespodziewanie nawet się ucieszył.

– Czyli wypływasz na szerokie wody?

– Jeszcze nie wiem. Na pewno jest to szansa, z której chciałabym skorzystać. Bo wiesz... Chciałabym. Po prostu. Szkoda mi to odpuścić.

– Jasne, jasne. Rozumiem. Jak pojawia się szansa, trzeba po nią sięgać. Niewykorzystane okazje się mszczą. Przynajmniej w piłce nożnej. Czy coś tam. Czyli mam cię kryć?

– Powiedz coś Elenie, dlaczego mnie nie będzie. Proszę.

– Spokojnie, damy radę. Tylko obiecaj mi coś.

– Jasne.

– Po pierwsze, dasz z siebie wszystko.

– No raczej.

– Po drugie, składasz mi raporty z postępów. Na bieżąco.

No i składała. Jeden Romeczek wiedział więc, że Marta idzie na casting. On jeden wiedział – i zdumiało go to nie mniej niż samą Martę – że rekruterzy wzięli Martę Malinowską pod uwagę tylko dlatego że wspomniała o swojej współpracy z „Aniołami do wynajęcia”. Na szczęście chodziło o projekty sprzed niezapomnianego występu na juwenaliach. Gdzieś tam jednak poczta pantoflową rozniosło się, że jest grupa o nieszablonowym podejściu do zleceń, może i bez doświadczenia, ale bardzo kreatywna, a na jej członków warto zwrócić uwagę, bo nie wiadomo, do czego są zdolni. Być może do czegoś naprawdę dobrego.

Romeczek, i tylko on, wiedział więc, że Marta otarła się o zawał po raz drugi, kiedy okazało się, że pokonała w cuglach inne, bardziej doświadczone kandydatki do roli Kobiety Piorącej w Najlepszym Proszku, nawet profesjonalne aktorki. Zaskarbiła sobie tym samym ich dozgonną nienawiść, bo jak to jest możliwe, żeby jakaś siksa znikąd zastąpiła je, które mogły się pochwalić rolą Matki Karmicielki Mleczną Kanapką oraz Kobiety Walczącej z Biegunką. Szok i niedowierzanie. A wszystko przez te „Anioły”.

Dlatego to właśnie Romeczek i tylko Romeczek trzymał kciuki za pierwszy dzień zdjęciowy i dlatego właśnie dłużej przytrzymał jej dłoń, życząc jej powodzenia, kiedy zegnali się na szpitalnym korytarzu. Co nie uszło uwadze Eleny. Marta wiedziała, że nie uszło. Wie się takie rzeczy. To znaczy kobiety wiedzą, bo z mężczyznami to nie wiadomo.

Była więc spięta i stremowana, kiedy makijażystka przygotowywała ją do wejścia na plan. Miała ochotę zwać natychmiast zaraz po przyjsciu i onieśmielała ją atmosfera kompletnego wariactwa. Słyszała, że ludzie z telewizji są w stanie pracować w gigantycznym chaosie, który dla nich jest tylko jedną z wersji porządku, a teraz miała okazję się przekonać, że z twórcami klipów reklamowych jest podobnie.

Człowiek dowiaduje się sam o sobie najdziwniejszych rzeczy, kiedy znajdzie się w sytuacji dla siebie nietypowej. Marta odkryła więc, że gdy pierwszy strach minął, znakomicie czuje się przed

kamerą i zupełnie zapomina o jej istnieniu, grając swobodnie i naturalnie. Nigdy w życiu nie kupiła Najlepszego Proszku, ale przedstawiała go tak, jakby w całym chemicznym asortymencie hipermarketów istniał dla niej tylko on. Robiła to przy tym tak szczerze, że ten i ów naiwny mógłby się założyć, że rzeczywiście tak jest.

– Dobra, na dzisiaj koniec! – zagrział w końcu głos reżysera. – Jutro zrobimy dwie dokrętki i zostanie nam dalsza robota, ale już nie na planie. Do domów, ludzie! Już was tu nie ma.

Ekipa zaczęła się zbierać. Marta odłożyła na bok opakowanie Najlepszego Proszku i sięgnęła po leżący gdzieś w stercie innych rzeczy plecak.

– Idziesz już? – usłyszała za sobą.

Odwróciła się i zobaczyła, że to ten przystojny operator kamery. Paweł.

– No tak, zbieram się.

– A gdzie idziesz?

– Do domu.

– Daleko?

– Kawalek. Na Rydygiera.

– Aha.

– Stał i nie ruszał się. Marta zamieniła się w oczekiwanie.

– A co?

– No nic. Idziemy z Piotrkim na piwo gdzieś niedaleko rynku. Idziesz z nami?

O rany boskie, on ją zaprasza! On! Ja! Ratunku!

– No spoko – odpowiedziała, starając się za wszelką cenę ukryć drżenie w głosie. – A gdzie?

– A mamy takie jedno fajne miejsce, pokażemy ci. Zresztą odprowadzę cię potem. Mam po drodze. Też mieszkam na Nadodrzu.

Też mieszka na Nadodrze. Ma po drodze. Odprowadzi ją. Boże!

– W sumie mogę iść – zgodziła się, wspinając się na szczyty kamufłazu, by nadać swoim słowom ton obojętności, jakby ją pytał, czy skoczy do mięsnego po salceson.

– To chodźmy.

I poszli. Marta Malinowska nie miała bladego pojęcia, że piętnastego maja 2018 roku rozpoczęła się jej podróż ze stacji „ja” do stacji „my”. Podróż zakończona sukcesem. Wreszcie.

Epilog

Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki ewidentnie należące do posiadacza masywnych buciorów w rozmiarze czterdzieści cztery oraz towarzyszące im lżejsze krocзки, stukotem świadczące o tym, że postać je stawiająca ma na sobie wysokie szpilki. Chwilę później drzwi pokoju widzeń skrzypnęły i ustąpiły po szarpnięciu, a do pomieszczenia wszedł strażnik, przepuszczając w drzwiach smukłą szatynkę ze sporym, wiklinowym koszykiem. Koszyk został uprzednio sprawdzony i nie zawierał niczego poza żywnością, a sama żywność nie kryła w sobie żadnych niespodzianek w postaci pilników schowanych w chlebie i tego typu spraw. Na dobrą sprawę chleba też nie było, były za to bułeczki. Smaczne i świeże.

Kobieta uśmiechnęła się promiennie do strażnika, a on pod wpływem tego uśmiechu jakby zmiękł, a następnie wypiął dumnie pierś i wyprostował się jak struna. Gdyby był gołębiem, gruchałby teraz jak szatan, zataczając kółka w tańcu godowym. Ale nie był. Zamiast tego chrząknął.

– Pół godziny. Ani minuty dłużej. To i tak po starej znajomości, bo nie powinienem.

– Oczywiście – zgodziła się energicznie szatynka i zatrzepotała

długimi rzesami, a trzepotać umiała przepięknie i tak, by osiągnąć zamierzony efekt. – Czy pokój jest na podglądzie? Bo widzi pan, my... No, wie pan... Tyle się nie widzieliśmy... Sam pan rozumie – znów zatrzepotała i wypięła pierś, co sprawiło, że bluzka rozpięta o jeden guzik za daleko rozsunęła się, odsłaniając fragment koronkowego stanika.

Strażnik prychnął lekceważąco.

– Możecie dupczyć, ile chcecie. Ale pół godziny i koniec.

– Dziękuję, więcej nam nie trzeba – szatynka wydeła usta jak do selfie i postawiła na baczność cały swój niewątpliwy seksapil. – Zapuka pan?

– Jasne. Zapukam. A wy sobie pukajcie, he, he – zaśmiał się ubawiony własnym dowcipem, po czym wyszedł i zamknął drzwi.

Szatynka momentalnie przeszła głęboką metamorfozę, stając się wizytówką spotkań biznesowych.

– Cześć, Bartek – powiedziała i zdecydowanym ruchem odsunęła krzesło przy stole, po czym usiadła, zakładając nogę na nogę. Opięta spódnica podsunęła się do połowy uda.

– Cześć, Jowitko. Strasznie za tobą tęskniłem.

– Nie wątpię – rzuciła krótko. – Zobacz, co dla ciebie mam.

Otworzyła klapki koszyka i wyciągnęła z niego sztuce i talerze, drobniutkie kanapeczki z czarnym kawiozem, niewielką karafkę białego wina, winogrona i kilka rodzajów sera oraz parę innych smakołyków, które w sumie składały się na lekki, acz mogący nasycić posiłek godny członka zarządu dużej spółki. Na końcu wyjęła niewielki wazonik i włożyła w niego kwiaty, które również miała w koszyku.

– Niestety nie pozwolili mi wnieść świeczek. Choć prosiłam najlepiej, jak umiałam.

– Daj spokój, jest świetnie. Co za żarcie! Nawet nie wiesz, jaka to odmiana od tej aresztanckiej paszy.

Nie czekając na zaproszenie, Bartłomiej Goryczka zaczął pochłaniać kanapeczki, opróżniać deskę serów i popijać winem.

Jowitka skubnęła winogrona, przeżuła mikrokawałek bułeczki i skupiła się na obserwowaniu, jak były dyrektor w urzędzie miejskim nasyca głód. Głód fizyczny i głód wyższych sfer.

– Boskie – mamrotał Goryczka z pełnymi ustami. – Mmmm, naprawdę boskie. Aleś mi sprawiła niespodziankę. Co to za okazja?

Jowitka uśmiechnęła się tajemniczo i założyła nogę na nogę. Spódnica uniosła się jeszcze wyżej.

Wiesz, jest taki film *Chłopaki nie płaczą*. Kojarzysz?

Mhm, mniam. I co?

I tam jest taka scena, kiedy chłopak zaprasza dziewczynę do drogiej restauracji. I wiesz, dlaczego to robi? – Jowitka nie przestawała się uśmiechać.

Bartłomiej zeszywniał i powoli odłożył na talerz niedojedzoną porcję tiramisu, po czym utkwiał rozszerzone ze zdziwienia oczy w Jowitce.

– Nie mów, że ty też tak. To byłoby strasznie kiczowate.

– Mój drogi, życie w ogóle jest kiczowate od narodzin po grób. Jedna wielka opera mydlana, naprawdę.

Goryczka przełknął do końca porcję trzymaną w ustach i odłożył łyżeczkę. Przez chwilę się nie odzywał.

– Dlaczego?

– Cóż, odpowiedź będzie równie kiczowata jak całe życie. Poznałam kogoś, spotykam się z nim.

– Co?! Jak to?! Zdradzasz mnie?!

Jowitka przewróciła oczami i skrzywiła się.

– Na miłość boską, po co tak eskalować i sięgać po słowa, które są takie na wyrost i niestosowne. Nie jesteśmy małżeństwem, niczego sobie nie przysięgaliśmy. A mamy nowoczesne podejście do życia, pamiętasz?

– Znam go? – spytał ponuro Goryczka.

– A czy to ma znaczenie?

– Dla mnie ma. Kto to jest?

– Ryszard.

– Ryszard? Dyrektor Ryszard?! Ależ on ma więcej lat ode mnie!

– I o wiele więcej możliwości. Nie mówiąc o klasie.

W Bartłomieju Goryczce zapłonął wewnętrzny ogień.

– Jowitko, kochanie, daj spokój. Wszystko się ułoży. Jestem tu tylko tymczasowo, mam dobrego adwokata, facet nie przegrywa. Wyjdę i zaczniemy nowe życie.

Jowitka westchnęła głęboko.

– Niestety to niemożliwe. Już postanowiłam.

Ciemne oczy Bartłomieja zrobiły się jeszcze ciemniejsze i błysnął w nich złowrogi blask. Twarz zmieniła się nie do poznania, przybierając zacięty wyraz. Jowitka mimo wszystko pomyślała, że kiedy staje się groźny, jednocześnie jeszcze bardziej przystojnieje. Co za paradoks.

– No to sobie idź, suko, jeśli chcesz. Niech cię rżnie ten stary prosiak. Widocznie nie możesz pohamować chuci i trzeba cię porządnie wyruchać, żebyś mogła funkcjonować. Tylko zniknąłem z pola widzenia, a już ściągasz majtki przed innym.

– Spotykamy się już od jakiegoś czasu – Jowitka gładko przeszła ponad lawiną obelg. – Jeszcze zanim zostałeś aresztowany.

– Jeszcze lepiej! Idź w cholere, pieprz się z nim, jeśli chcesz. Mam to w dupie. Zresztą na dłuższą metę wkurwiają mnie takie głupie cipy jak ty. Mam pieniądze i jak wyjdę, opłacę sobie jakąś dziwkę. Robią, co im się mówi, i nie fikają. Ty sobie weź tego wieprza. Ja mam kasę i to mi wystarczy.

Jowitka podniosła się z krzesła i spokojnymi ruchami z powrotem zaczęła pakować koszyk.

– *À propos* pieniędzy. Jest coś, o czym musisz wiedzieć. To jest druga sprawa, z którą przychodzę.

Goryczka wyglądał tak, jakby zebrały się nad nim i zawisły wszystkie gradowe chmury z półkuli północnej. Nozdrza falowały mu z wściekłości. Powoli docierała do niego prawda, a groza

sytuacji uderzyła go na odlew jak pięścią.

– Ty mnie wydałaś.

Jowitka z uwagą przyjrzała się swoim wypielęgowanym paznokciom.

– Pamiętasz ten wieczór na Kubie, kiedy leżeliśmy w tym wielkim łóżku hotelowym, a ty za dużo wypiełeś? Seks był niezły, przyznaję. A potem roztaczałeś przede mną ogrom swojego geniuszu finansowego i przebiegłości. Pochwaliłeś się wszystkimi kontami zakładanymi na słupy, które potem sam obsługiwałeś. Pamiętasz, co wtedy zrobiłeś?

Goryczka milczał i sapał. Gdyby wzrok mógł zabijać, Jowitka w mgnieniu oka rozpadłaby się na najdrobniejsze molekuly.

– Pozwól, że ci przypomnę. Zacząłeś bełkotać i słać się na nogach. Chwilę potem walnąłeś się na łóżko jak długi i zacząłeś chrapać. A mnie zostawiłeś przed swoim laptopem. Uzyskanie zapisanych w przeglądarce haseł to była bułka z masłem.

– Oddałaś im wszystkie konta.

– O nie, nie wszystkie – Jowitka uśmiechnęła się. – Zostawiłam sobie trzy. O nich nie wiedzą. Jaka szkoda, że tak bardzo byłeś zajęty klepaniem mnie w tyłek i rżnięciem w tamtym dniu, że kiedy wychodziłeś do pracy, zapomniałeś telefonu. Parę przelewów i po wszystkim. Została drobna kwota. Ot, żeby opłacić tę skromną kolację. Widzisz, jak to jest. Za dużo seksu robi z ciebie krótkowidza.

Szpilki zastukały w podłogę, Jowitka skierowała się do wyjścia, zabierając ze stołu koszyk.

Ale patrz pozytywnie. Jesteś teraz bez grosza i utraciłeś dochody. Poprzednia kobieta nie ma jak z ciebie ściągnąć alimentów. Czy to nie piękne?

Zastukała w drzwi, żeby zawołać strażnika. Drzwi otworzyły się i klawisz ze zdumieniem zatrzymał wzrok na Goryczce, który teraz przypominał drapieżne zwierzę tuż przed skokiem na swoją ofiarę. Jowitka sięgnęła do torebki od Prady (oryginalnej) i wyjęła nieduże opakowanie, po czym położyła je na stole.

Ach, zapomniałam. Przyniosłam ci czekoladki. Oryginalny Michel Cluizel. Zawsze chciałeś spróbować.

Odwróciła się i wyszła, pozostawiając Bartłomieja Goryczkę sam na sam z efektem geniuszu francuskiej manufaktury Cluizel za skromne dziewięćset euro.

Spis treści

Okladka

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

Prolog

POCZĄTEK

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

ANIOLY DO WYNAJĘCIA

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

FINAL

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

Epilog

Karta redakcyjna

Copyright © by Malwina Ferenz, 2018
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Zdjęcia na okładce: © Dina Belenko / Trevillion Images

Redakcja: Kamila Markowska / panbook.pl
Korekta: Katarzyna Smardzewska / panbook.p
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl